

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 9 (336) • ROK XXIX • WRZESIEŃ 2023



ŚLĄSKI
WRZESIEŃ



fot. Tomasz Biemek



Obchody kolejnej rocznicy napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę skłaniają do refleksji na temat obrony Katowic i Górnego Śląska w 1939 roku. Znaczący udział w tych działaniach mieli śląscy harcerze, a obrona katowickiej wieży spadochronowej stała się symbolem Września 1939 roku na Śląsku. Po wojnie wydarzenia te utrwaliłi pisarze i poeci; przypominają o nich pamiątkowe tablice i pomniki.

Szczegóły strony 4, 8

fot. Tomasz Biemek



Wkrótce w katowickiej Galerii Artystycznej na pl. Grunwaldzkim przybędzie nowe popiersie. W trakcie obchodów rocznicy nadania Katowicom praw miejskich odsłonięty zostanie pomnik upamiętniający znanego aktora Franciszka Pieczkę. W głosowaniu, w którym wzięło udział ponad tysiąc mieszkańców, jego kandydatura zdobyła przeważającą ilość głosów – za Gustlikiem opowiedziało się 426 osób. Na zdjęciu Galeria Artystyczna na pl. Grunwaldzkim.



Miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk” zaprasza na spotkanie z Anną Gurbicz i Witoldem Turantem, autorami „Dziennika zdruzgotanego życia”. Prowadzenie: prof. Marian Kisiel. Katowice Miasto Ogrodów, 21 września 2023, godz. 18.00. Podczas spotkania opowiemy o życiu ukraińskich cywilów, w szczególności kobiet, w wojennej rzeczywistości, o wielkich smutkach, ale także małych radościach, bez których ich życie byłoby nie do zniesienia.

Spotkanie uświetni swoim występem ukraińska wirtuozka bandury i śpiewaczka o europejskiej renomie, Margareta Storonianska (na zdjęciu).

Dr. Dariuszowi Pohlwi

Prezesowi Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”
szczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składa

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

Nr 9 (336). Rok XXIX. WRZESIEŃ 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA



Biblioteka Śląska

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA-GESLARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM
4 Stefan Zabierowski ŚLĄSKI WRZESIEŃ 1939 W LITERATURZE
8 Krystyna Heska-Kwaśniewicz „POMNIK WZNIEŚLI HARCERZE HARCERZOM”, 40. LAT TEMU
NA KATOWICKIM RYNKU
11 Andrzej Śnioszek ECHA Z INNEJ KRAINY. ROZMOWA Z JANEM PAWŁEM KRASNODEBSKIM
12 Piotr Zaczekowski ŁĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (VI)
16 Anna Gurbicz, Witold Turant DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (14)
19 Piotr Skowronek DUSZPASTERZ AKADEMIKÓW. ROZMOWA Z KS. DR. STANISŁAWEM
PUCHAŁĄ
22 Piotr Skowronek STANISŁAW LIGOŃ. NAUCZYCIEL RYSUNKU
26 Małgorzata Lichekaa AMERYKAŃSKIE ZGORSZENIE Z GLEIWITZ
29 Jacek Okoń GDY SYNOWIE GÓRNIKÓW SIĘGAJĄ PO PIÓRO
32 Weronika Górka OŚPIEWAĆ MOMENTY GRANICZNE
42 Nikola Setnicki NOTATKI O SZTUCE (1) Przełożył Marian Kisiel
52 Wojciech Lipowski JAK BYĆ KOCHANĄ
55 Andrzej Śnioszek NA 70 URODZINY DONATA KIRSCHA
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek REYMONT REMANENT EDYTORSKI PRZED
STULECIEM ŚMIERCI NOBLISTY
76 Ryszard Twardoń SKALPEL ANATOMIA (2)
80 Weronika Górka CELEBRACJA TWÓRCZEJ SWOBODY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 50 Radosław Kobierski OSOBLIWOŚĆ, HORYZONT ZDARZEŃ
51 Jerzy Łapiński FOTOGRAFIA
66 Jerzy Madeyski, Jarosław Lewicki, Maciej M. Szczawiński TRÓJGŁOS O SZTUCE JERZEGO
HANDERMANDERA
69 GALERIA: JERZY HANDERMANDER – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 Piotr Müldner-Nieckowski COŚ MNIEJSZEGO NIŻ ŚWIAT
14 Piotr Müldner-Nieckowski WIERSZE
40 Janina Barbara Sokolowska WIERSZE
46 Jarosław Lewicki HANSI (1)
58 Bianka Rolando WIERSZE
74 Marek Piechota ZE STARYCH I NOWYCH PRZYOKAZYJEK (5)

FELIETONY

- 230 BIAŁE KRUKI Jan Malicki NA PRZYKŁAD SZYMON PISTORIUS (OK. 1568 – PO 1638)
34 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski BIAŁA PODLASKA, LEJK I KONKURS
AKORDEONOWY
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA Jan Miodek CHECHŁO – CHEBZIE – PUFERKI
37 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki REWOLUCJA, FARSA, KREW
38 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich „UCZMY SIĘ ŚLĄSKA...”
39 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA Tomasz Słupik WIRUS POPULIZMU
56 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (1)
57 NOTATNIK SPORTOWY Ryszard Jasnorzewski GOKART DLA MALUCHA
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko KOMPOZYTOR NORMALNEJ MUZYKI

KSIĄŻKI

- 62 Andrzej Juchniewicz BLISKO ORWELLA
63 Ryszard Bednarczyk STATEK SZACHISTÓW
64 Magdalena Boczkowska GIRLS WORK IN PROGRESS
65 Tomasz Pyzik DAR POWROTU

Na okładce:

Jerzy Handermander, Nabrzeże III, olej, 1981 r.

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmiany



Czwarta nad ranem

1 Pierwszy dzień w szkole. — Jest rok 1968, idę do szkoły w stylowym (chyba), granatowym mundurku z białym kołnierzykiem (był przypięty na guziczki), z teksturowym tornistrem na plecach. W tornistrze *Elementarz* Mariana Falskiego, zeszyt w trzy linie, blok rysunkowy, kredki i piórnik — a w nim: ołówek, obsadka, stalówka i gumka „myszka”. Świat jakoś inaczej pachniał, opadające liście z drzew tworzyły dywan dla pierwszoklasisty. Szkoła. Przeróżający budynek. Na ścianach wisiały portrety Gomułki i Cyrankiewicza, powyżej nich godło państwa, drewniane ławki (z oparciem) były pomalowane na zielono z otworami na kałamarze i z wyżłobionym miejscem na ołówek. Wszystko dziwne i nowe. Za chwilę dowiedzieliśmy się od Pani: „To jest klasa. Tu jest lekcja”. „A my co mamy?”. — „Co tu kuka — kuku kuku?”. — Katecheza była poza kościołem, ale chodzili wszyscy, nikt nie mówił o seksualizacji dzieci, pruderię i liberalizm uczuć mijaliśmy bez większych emocji: zresztą było tabu mówione, obserwowane i szeptane. Uczyliśmy się kaligrafii, chodziliśmy za ręce, miało być spokojnie, pogodnie i bezpiecznie. — I to wszystko minęło, a teraz wspominamy tamten czas jako nierzeczywistość.

2 Boisko. — Wypadaliśmy z krzykiem (darcie) na dwór, znudzeni niespełną godziną lekcją. Na boisko! Hałastrą, zgrają, banda rozwydrzonych dzieciaków. Kopać piłkę, albo gonić się jak znarowione konie. Boisko było centrum świata i szkoły. Tutaj grało się w dwa ognie, w szczypiorniaka, w nogę. — Jeżeli nie pamiętam lekcji geografii, na której Nauczyciel pokazywał nam, że Wieprz wpada do Wisły, to pamiętam, że z lubością przyglądał się płatonogim dziesięciolatkom, walczącym o piłkę jak karpie w stawie, kiedy rzuci się im kąsek chleba.

3 Seks. — Był taki przedmiot: „Przygotowanie do życia w rodzinie”. W domyśle: „socjalistycznej”, a może nie w domyśle, może ten przymiotnik zrosł się wtedy z „rodziną”... Nie pamiętam. Prowadząca (był to czas szkoły średniej) dawała nam do czytania „Magazyn Rodzinny” (nowe polskie pismo). — Kupowaliśmy dziesięciocizłotowy miesięcznik, nikt nie czytał. Był w tym jakiś wstyd, że o rzeczach intymnych można mówić otwarcie. — Dzisiaj inaczej. Ale w moich czasach *Sztuka kochania* Michaliny Wisłockiej była bestsellerem, a dzisiaj jest archaiczną bzdurą, ramotką, którą zastępuje taki czy inny portal internetowy.

4 Nauczyciel. — Kształtuje postawy, jest Mistrzem. Nie ma w domu nikogo o podobnym autorytecie. Ani ojciec, ani matka, ani dziadkowie (mieszkają zresztą gdzie indziej). A tu pełnia zaufania, wiara w nieomyślność. — Jak zniszczyć autorytet, jak przywrócić dziecko domowi? — Wystarczy naskoczyć na nauczyciela; powiedzieć: nie masz być przyjacielem ucznia, ale jego wychowawcą; wmówić mu, że ideologizuje; odebrać mu pensję, dodać obowiązków. Poirytowany, zmęczony ciągłymi napaściami nauczyciel przestanie być autorytetem, przestanie uczyć, zaniechane odrabiać dniówkę naczelnym pracownik niewykwalifikowany. Nie będzie przyjacielem, odbije kartę, pójdzie do domu. — Nie zostanie po lekcjach, nie wysłucha wątpliwości, jakie targają młodym istnieniem. — A w domu? — „Jestem zmęczony / zmęczona; idź się poucz”.

5 Książki zbójceckie. — Wszyscy mieliśmy takie „książki zbójceckie”, czytane pod kołdrą, gdzieś w ukryciu, wbrew światu i obyczajności. — „Ach, te to, książki zbójceckie! / *(ciska książkę)* / Młodości mojej niebo i tortury! / One zwicznęły osadę mych skrzydeł / I wyłamały do góry, / Że już nie mogę na dół skręcić lotu”. — To Mickiewicz ustami Księdza. A co na to Gustaw? — „Starcze! a gdy ja zacznę oskarżać nawzajem, / Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać? / Ty mnie zabiłeś! ty mnie nauczyłeś czytać [...]”.

6 Lektura. — Szkoła jest ciągiem lekcji, nauką czytania. Dlaczego te lektury są wciąż ponawiane? Dlaczego pytamy o to samo, jaki w tym jest cel? Georges Poulet, wielki przedstawiciel genewskiej szkoły interpretacji, pisał: „Przeczytać tylko jedno dzieło danego autora, to mieć z nim tylko jedno spotkanie. [...] Rozumieć, to znaczy czytać, a czytać, to czytać wielokrotnie, czy w szczególności, przy lekturze innej książki, odbierać doznania, których poprzednia nam nie przekazała wystarczająco”. — Na tym polega istota szkoły. Lektury wielokrotne.

7 Obywatelswo. — Nudziły nas nieustanne apele. Codziennie (różnie w różnych szkołach): o 7.30 lub o 8.00. Czasami na dużej przerwie. Narzucona lekcja obywatelstwa. Pouczano, uświadamiano, grożono. Zaczynało się od hymnu państwowego albo od harcerskiego. Zależy gdzie. Dyrektor przemawiał, surowy wzrok nauczycielek wyla pywał niesfornych uczniów (zwykle w drugim lub trzecim rzędzie). Ceremonia przemocy. „Masz za długie włosy”. „Klasa III a znowu nie wykonała planu zbiórki makulatury”. — Jakby to było najważniejsze! — A w młodym człowieku, który przestępował z nogi na nogę, który słuchał tego niebywałego „trucia”, rodziła się obojętność. — Obojętność obywatelska.

8 Tolerancja. — Dopiero później, znacznie później, zrozumieliśmy, że jest czas zgody i niezgody, konformizmu i nonkonformizmu rozumianych w wymiarze społecznym. Że zgoda lub jej brak na system, w którym się uczestniczy, nie musi automatycznie pociągać za sobą sprzeciwu wobec Innego. Że można być konformistą i jednocześnie empatycznym człowiekiem. I nonkonformistą we wszystkim, również we świąństwie. — Tolerancja nie jest przypisana do postawy buntownika, ani do skarłałego truchła klerka. Tolerancja jest odpowiedzią na przeciętność życia i przeciętność myślenia. — Czy szkoła nauczyła nas tolerancji?

9 Obcy. — Boimy się obcego, obcy nam zagraża. Ale kto jest obcym? I jak ujawnia się obcy w nas? Lekcja numer 1 w przedmiocie: „Wychowanie obywatelskie”. — O ile jest taki przedmiot!

10 Dwie miesięczne myśli. — Pierwsza: „Tożsamość kulturowa ma dwóch głównych wrogów: indywidualizm i kosmopolityzm”. — Druga: „Nie da się zaprzeczyć, że wciąż rosnąca liczba imigrantów z Trzeciego Świata w Europie stwarza nieznaną dotąd problem. Ludzie wygnani z domu przez nędzę, spariżowani jeszcze kolonialnym poniżeniem, nie mogą odczuwać w stosunku do kraju, który ich przyjmuje, pociągu i wdzięczności, jakie czuje większość uciekinierów z Europy Wschodniej. Ich przybrana ojczyzna nie jest ziemią obiecaną: zardroszcza jej bogactwa, nienawidzą za imperialistyczną przeszłość. Jedna rzecz jest w każdym razie pewna: Nie uda się rozwiązać tych problemów, jeśli z obalenia przywilejów uczynimy prerogatywę jednej tylko cywilizacji i zastrzeżemy wyłącznie dla Europejczyków dobrodziejstwa suwerenności indywidualnej i tego, co Tocqueville nazywa «równością stanów»” (Alain Finkielkraut, *Porażka myślenia*, przeł. Maryna Ochab, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 76, 108).

Marian Kisiel

Coś mniejszego niż świat

Świat –
coś mniejszego niż Światło,
staje nam na drodze
i wytwarza cień.

Siedzę ci na kolanach
i cała wielkość przestrzeni
jest w moich rękach,
w twoich policzkach
z nimi zrośniętych
jak ślad przeszkód w widzeniach.

Przecież są miłe w dotyku
i pomyśleniu,
nie musisz się wzdrygać
i szukać ognia,
iskier ani granatu,

przecież wszystko wraca,
tak jak sobie
marzyłaś.

Śląski wrzesień 1939 w literaturze

STEFAN ZABIEROWSKI

1 Ukształtowana w rezultacie zakończenia I wojny światowej Polska posiadała kształt granic niezwykle trudny do obrony. Jak pisał w kolejną, dwudziestą, rocznicę Września 1939, w jednym z esejów, Kazimierz Wyka: „Kampania wrześniowa roku 1939, rozegrana na ziemiach i od dziwacznych granic ówczesnej Rzeczypospolitej; rozegrana przez dwóch partnerów całkowicie różnej wagi, przez najbardziej nowoczesną podówczas machinę wojenną hitlerowskich Niemiec i prymitywnie uzbrojoną, ułańską i pieszą armię polską; kampania stoczona pomiędzy państwem o najwyższym potencjale gospodarczym, ilością stali na głowę mieszkańca, a państwem lnu na wyroby ludowe, kartofli na wodkę, nafty na oświetlenie, – miała wszel-

kie znamiona dziwnego i paradoksalnego epizodu”.

Z dość podobnymi obserwacjami, jak u znakomitego historyka literatury i kultury, napotkać się możemy w wywodach wysokiej rangi polskiego oficera, zastępcy szefa Sztabu Głównego (i Sztabu Naczelnego Wodza) w roku 1939, płka Józefa Jaklicza. Pisał on: „Front polski dawał Niemcom już w położeniu wyjściowym druzgocącą przewagę nie jednego, lecz dwóch kierunków. Manewr do bitwy był stworzony przez sytuację naszych granic politycznych.. Sytuacja ta pozwalała na uderzenie skrzydłowe jedno- lub dwukierunkowe, z Prus Wschodnich czy Moraw, względnie z obu tych obszarów i bezpośrednio wyjście na tyły armii polskiej. Pozwalała im ponadto, jeszcze w czasie pokoju, na koncentrację dowolnych ilo-

ści sił, na każdym z tych kierunków, bez obawy o jej zakłócenie. Najtrudniejszy, wstępny akt operacyjny był stworzony. Jeżeli po tej lapidarnej analizie, przeprowadziliśmy porównanie sił niemieckich (znanych prawie dokładnie przed wojną) i sił polskich i wykazali różnicę ich uzbrojenia i wyposażenia, to każdy jako tako wykształcony i trzeźwy wojskowy nie mógł się ani przez chwilę łudzić, że z wojny tej, jeżeli prowadzić ją będziemy osamotnieni, wyjdziemy zwycięzcami. Los naszej niepodległości mógł się rozstrzygnąć nie nad Wisłą, lecz znacznie później nad Renem lub Mozą”.

Szczególnie po dojściu Hitlera do władzy w roku 1933, polska sytuacja strategiczna uległa zdecydowanemu pogorszeniu, bowiem nasz kraj znalazł się między dwoma totalitarnymi mocarstwami. Były to – hitlerowskie Niemcy i stalinowski Związek Sowiecki.

Kiedy mowa o Śląsku, to największe zagrożenie tego obszaru stanowiła Rzesza Niemiecka. Zaś polskie plany operacyjne – nie do końca gotowe przed wybuchem wojny w roku 1939 – na wypadek starcia z Niemcami wyznaczały Górnemu Śląskowi szczególnie doniosłą rolę. Zakładano, że w razie agresji niemieckiej polskie siły zbrojne, stawiając zacięty opór na pierwszej linii obrony, będą się cofać na ostateczną linię obrony, która opierała się na wielkich rzekach – Narwi, Wiśle i Dunajcu. Tutaj Polacy musieli się bronić wytrwale, czekając na obiecaną traktatami pomoc mocarstw zachodnich: Francji i Wielkiej Brytanii.

W owym manewrze odwrotowym Śląskowi, który znajdował się w obszarze działania polskiej armii „Kraków”, przypadło szczególnie ważne zadanie, bowiem stanowił on oś owego odwrotu wojsk polskich na ostateczną linię obrony. Dlatego też jak najdłuższe utrzymanie obszaru Śląska w polskich rękach było szczególnie doniosłe. W tym celu na granicy polsko-niemieckiej zbudowano cały łańcuch fortyfikacji, które miały zabezpieczać przeprowadzenie tej operacji. Jak pisał płk. Jsklicz: „Budowa pierwszych fortyfikacji stałych, mających osłonić Górny Śląsk przed zaskoczeniem, została zapoczątkowana za życia Pierwszego Marszałka [Piłsudskiego – S.Z.]. W latach 1936–1938 rozbudowano i urządzono Fortyfikacje Górnego Śląska według najnowszych zasad zachodnich”. Z południa zaś zabezpieczał ten obszar zespół schronów usytuowanych w Węgierskiej Górze.

2 Obronę Śląska w 1939 roku postaram się przedstawić w oparciu o utwory literac-

Fot. Tomasz Bieniek



Wieża spadochronowa w Parku Kościuszki w Katowicach za sprawą literatury przeszła do legendy

kie – przede wszystkim powieści – pisarzy, których biografie w różny sposób związane były ze Śląskiem. Będą to twórcy: Kazimierza Gołby *Wieża spadochronowa* (1947), Wojciecha Żukrowskiego *Dni kłęski* (1952) oraz Jana Józefa Szczepańskiego *Polska jesień* (1955), Wilhelma Szewczyka *Ptaki ptakom* (1967) i oparty na niej scenariusz filmowy (wspólnie z T. Komorowskim) z roku 1976. Sięgnę też do reportaży z tego okresu, a także do materiałów śledztwa prowadzonego przez prokurator Ewę Koj z IPN w Katowicach w sprawie „zbrodni wojennych będących zbrodniami przeciwko ludzkości stanowiących ludobójstwo popełnione przez żołnierzy Wehrmachtu oraz członków Freikorpsu”. Skorzystam też z cennego *Posłowania* Krystyny Heskowej-Kwaśniewicz do edycji *Wieży spadochronowej* z roku 1996.

Przywołane tu powieści dość dokładnie przedstawiały nastroje w ostatnich miesiącach przed wybuchem działań wojennych. Z nastrojami ówczesnymi korespondował tekst, przypominiany przez krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny”, zwany *Przepowiednią z Tęgoborza*. Czytamy w *Dniach kłęski*: „tuż przed wojną Kurier Krakowski wydrukował rymowaną przepowiednię z Tęgoborza, wnet obiegła całą Polskę, wtedy jeszcze nikt nie sądził, że w belkocie tych strof może się kryć najtrwalsza broń. Chyba już dosięgamy dna upadku, jeśli takiej szukamy otuchy”.

Z nawiązaniem do tekstu owej przepowiedni spotykamy się także w powieści Szczepańskiego. Dość zacytować: „Ale postępową katoliczka nie dała się zbić z tropu. [...] A tutaj są naprawdę zdumiewające antycypacje. Niech pan słucha. «Krzyż splugawiony na wschodzie upadnie...». Co on mógł wiedzieć o swastyce? I to jest autentyczne. Moja matka widziała tę przepowiednię jeszcze przed wojną światową. To jest fakt...”.

Obok lęku obecna była także przesadna wiara we własne siły. Postawy te dobrze oddaje, zawarta w *Polskiej jesieni*, rozmowa bohatera tego utworu, podchorążego Pawła Strączyńskiego z intelektualistą panem Domanem, który przedstawiał swemu rozmówcy wizję katastroficzną: „Bo ten nasz świat ginie. Za dwa, trzy miesiące już go nie będzie... Mówię poważnie. Jutro, pojutrze cała ta niezgrabna budowla zacznie się walić, zacznie się nam sypać na głowy... – Przygarbił ramiona, jakby przeczuwając już lecące z góry cegły. Byłem oburzony. – Pan nie wytrzyma wojny nerwów – zawołałem. Roześmiał się zjadliwie i wyciągnąwszy niespodziewanie zza siebie rękę, uderzył mnie twarzym palcem prosto w pierś. – Brawo! Silny, zwarty, gotowy, brawo! Więc i z pana potrafili już zrobić pozytywkę. Może to i lepiej, panie kolego, może i lepiej dostać w łeb pod narkozą”.

Sytuacja na Śląsku zaczęła się komplikować na wiosnę 1939 roku. Wówczas mia-

ły miejsce początki dywersji niemieckiej. Jak opowiadał na kartach *Dni kłęski* napotkanym na drodze odwrotu żołnierzom górnikom z Bogucic:

„– Zaczęli Niemcy naszych werbować, dawali pracę, anćug i przeszkolenie wojskowe. Przychodzi do mnie kamrat, a z kieszeni mu sterczy «Sturmer» – od razu wiem, co za jeden.

– Ściągali chłopców do Frajkorpsu, niby że Śląsk chce jedności pod Niemcem...

– Ruszył się szmugiel, na tę stronę – granaty, parabelka, patronasze...

– A my do nich pół funta wursztu pod czapką, taka była propaganda, aż ich zazdrość żarła, bo u nich krucho z omastą”.

Na Śląsku, podobnie jak w całej Polsce, pod koniec lata 1939 dominowały nastroje patriotyczne. Świadczyły o tym hasła na plakatach, artykuły prasowe, audycja Radia Katowice, czy prezentowana kronika filmowa Polskiej Agencji Telegraficznej, z dnia 3 maja 1939, ukazująca defiladę, jaka miała miejsce tego dnia w Katowicach, z udziałem wojska, powstańców śląskich i harcerzy. Można w tym miejscu dodać uwagę, że za parę miesięcy grupy te zaczęły ze sobą ściśle współpracować w obronie ziemi śląskiej. Ale na długo przed rozpoczęciem działań wojennych nasiliła się na Śląsku dywersja niemiecka. Przywołajmy stosowny fragment powieści Gołby: „Stach zrozumiał jedno – że „piąta kolumna” jest w Katowicach groźniejsza niż mu się dotąd zdawało, i że sąsiad jego Reinhold Wallotek, gra w niej ważną rolę. Wspominał słowa ojca o policji i pomyślał ze zgrozą, że „piąta kolumna” wdarła się także tam i sparaliżowała akcję. Nic dziwnego, że funkcje policji wobec Niemców przejmowali coraz częściej powstańcy”.

Przywołajmy też stosowny fragment reportażu Melchiora Wańkowicza: „Sojusznicy z naciskiem interwenują, aby nie drażnić Niemców. Ma miejsce dramatyczna rozmowa telefoniczna Becka z Grażyńskim. Na tysiąc pięćset aresztowanych pozwalają zatrzymać tylko pięćdziesięciu. Akta są jeszcze nie rozpatrzone, trzeba więc puścić pierwszych lepszych. Można sobie wyobrazić, co działo się w duszach ludzi z organów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Śląska! [...] Ale z zewnątrz już przed wojną przybywają coraz nowe grupy. Grupa dywersantów przybyła do Katowic i wysadziła szkoły niemieckie przy ulicy Młyńskiej i Stawowej. Gazety niemieckie rozdarły szaty”.

Jak wiadomo działania wojenne rozpoczęły się 1 września, ale dla losów Ślą-



Tablica w Parku Kościuszki upamiętniająca harcerzy broniących Katowic we wrześniu 1939 roku.

ska kluczowe znaczenia posiadał dzień 2 tego miesiąca. Informował historyk, Leszek Moczulski: „[...] w armii „Kraków” kryzys zarysował się coraz wyraźniej. W zasadzie zostało już złamane jej prawe skrzydło i wojska broniące Częstochowy zostały odizolowane. Na południowym skrzydle brygada motorowa pułkownika Maczka broniła się skutecznie, lecz opór jej można było liczyć tylko na parę dni. Natomiast w centrum niemiecka dywizja pancerna przejechała przez gros dywizji generała Monda, rozrywając front. W tej sytuacji generał Szylling, zagrożony oskrzydleniem dwustronnym i rozrywany w centrum przez przeważające siły nieprzyjaciela, prosi o zgodę na odwrót, aby skupić się bliżej Krakowa. Naczelny Wódz godzi się na wycofanie [...]”.

3 Decyzje Naczelnego Wodza sprawiły, że regularne oddziały armii „Kraków” zaczęły opuszczać obszar Górnego Śląska, odeszła też obsada fortyfikacji śląskich, choć ją do pewnego stopnia zastąpiły oddziały powstańców, co pokazuje w swojej powieści Gołba.

W ślad za wojskiem podążali wysocy funkcjonariusze państwowi. Opis ich odjazdu i porzucenie na łaskę najeźdźcy miejscowej ludności stanowi jeden ze wstrząsających fragmentów przywoływanych utworów. Przywołajmy stosowny cytat z *Wieży spadochronowej*:

„Gdy około godziny szesnastej zszedł przed gmach, zauważył długi łańcuch lśniących limuzyn, przygotowanych do odjazdu pod eskortą granatowej policji, która zajmowała nadto dwa samochody ciężarowe i jeden pancerny. Nigdy jeszcze nie widział tak licznego skupienia tak świet-

nych maszyn. Wewnątrz jednych siedzieli już pasażerowie, do innych wsiadali pośpiesznie. Ponagłali się wzajemnie, unikając starannie spojrzeń, gromadzących się na chodnikach gapiów, coraz to przepędzani przez policję. Z twarzy odjeżdżających widać było, że woleliby w ziemię się zapaść, niż mieć teraz świadków ucieczki. Czuli się upokorzeni, strąceni z piedestału wielkości, na którym ponad tą ziemią stali przez długie lata. Byli to bowiem najwyżsi dostojnicy województwa i miasta”.

Gołba, sam zwolennik Wojciecha Korfatego, krytycznie spoglądał na ekipę sanacyjną, która rządziła wówczas polskim Śląskiem. Bodaj na jeszcze bardziej krytyczny opis lekkomyślnego porzucenia miejscowej ludności przez przedstawicieli lokalnej elity władzy napotkamy w socrealistycznych *Dniach kłęski* Wojciecha Żukrowskiego. Przywołajmy stosowny cytat: „Nasz wojewoda lubił porządek. Miał spisanych wszystkich powstańców i wydział polityczny zbierał kartoteki. Bał się komunistów. Zwlekali z wywiezieniem aktów, aż przyszedł gorący czas, wtedy kazano znieść skrzynie i spalić w piecu od centralnego... Namordowali się harcerze, zwlekli, powpychali do piwnic... Instrukcja była dobra, ze stycznia – ale jak się miały spopielić, kiedy latem nie ma ognia pod kotłem. Gestapo wzięło akta. Każda teczka to jak kwatery cmentarza, według list zbierali do lagrów, nie szło się wypierać, mieli czarno na białym...”.

Kiedy polskie oddziały wojskowe – po krótkich zaciętych walkach obronnych – na rozkaz opuszczały ziemię śląską, na miejscu pozostali ostatni jej obrońcy – uzbrojeni powstańcy śląscy i harcerze. Byli to przedstawiciele dwu patriotycznych pokoleń – ojców, którzy wywalczyli w powstaniach przynależność ziemi śląskiej do Polski i synów, wychowanych już w nie-

podległym państwie polskim. Dodajmy, że wedle zachowanych dokumentów, zarówno powstańcy, jak też harcerze, byli zobowiązani do opuszczenia Śląska wraz z cofającym się wojskiem, ale większość z nich postanowiła pozostać.

Jeden z młodych bohaterów *Wieży spadochronowej* dostrzegł opuszczające koszary w drodze na linię frontu polskie oddziały wojskowe: „Ulicą szło wojsko. W gęstym mroku, nad którym iskrzyły się tylko gwiazdy, stąpały zwarte kolumny w pełnym rynsztunku i w hełmach. To katowicki 73 pułk piechoty wymaszerował z koszar. Wbity w ciemność wzrok chłopca wyróżniał poszczególne kompanie. Szli jak widomwy korowód, w śmiertelnym milczeniu, jedynie łoskot kroków świadczył, że idą ludzie.[...] Kompanie skręciły na prawo, w górę Mikołowskiej. A zatem nie był to odwrót. Ulica ta przechodziła później w szosę, wiodącą na południowy zachód, na Mikołów i Wiry. Jeśli to prawda, że czołgi Wehrmachtu przebrały polski front w kierunku na Orzesze i Pszczynę, to właśnie tam – za Mikołowem – oczekiwać należy wielkiej bitwy, od której zależeć będzie los Katowic”.

Opis tej samej formacji, stojącej w okolicach Janowa Lubelskiego, już w późniejszej fazie wojny, napotykamy w *Polskiej jesieni Szczepańskiego*. Dość zacytować:

„Przed wjazdem do Janowa staliśmy długo obok milczących szeregów jakiegoś pułku piechoty. Doktor Kurek, który przysiadł się na przodek naszego jaszczaka, twierdził, że to 73 p.p. z Katowic i że tylko Ślązacy zdolni są do zachowania takiej dyscypliny. Rzeczywiście, wyrównane i nieruchome kompanie robiły takie wrażenie, jakby czekały na swą kolej w defiladzie. Hełmy połyskiwały wilgocią księżycowego światła, równiutko, jeden przy drugim, pasy tornistrów leżały gładko na obciążonych płaszczach. Karabiny usta-

wione na «spocznij» przy nodze pochylały się pod jednakowym kątem. Nikt nie rozmawiał, nikt nie palił. A przecież, jak twierdził doktor Kurek, pułk miał za sobą ciężkie walki i poważne straty.

Przyglądaliśmy się Ślązakom z szacunkiem. To się nazywa wojsko!”

Nie było w tym przesady. Dość przypomnieć, że katowicki 73 pułk piechoty, w skład którego wchodziły również grupy obsadzające fortyfikacje, należał do wyróżniających się jednostek armii «Kraków». Jak pisał historyk pułku Jan Przemsza-Zieliński: „Na polach bitewnych pod Gostynią, Żwakowem, Wyrami, Alwernią, Sroczkowem, Rozwadowem i Hutą Krzeszowską, Banachami, Solą, Puszcza Solską, Biłgorajem, i w swej ostatniej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim, walcząc odważnie, ofiarnie i nieustępliwie, pułk stracił 60 procent swego ogólnego stanu, a sztandar pułku odznaczony został 11 listopada 1966 roku w Londynie (decyzją tamtejszej kapituły orderu VM) Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego *Virtuti Militarii*”.

Ostatecznie, kiedy Katowice opuścili żołnierze i władze, miasto nie pozostało całkowicie bezbronne. Powstała spontanicznie Straż Obywatelska, sprawująca realną obronę stolicy Śląska. Informował w swojej powieści Gołba, że: „Trzon jej stanowiło około trzystu powstańców i dwustu harcerzy, którzy razem nie mieli jednej setki karabinów. Broń tę wzięto jedynie wychodzącym na patrol. Wystarczała ona do utrzymania porządku w mieście, nie pozwalała jednak na zorganizowanie zbrojnego oporu w razie wystąpienia Freikorpsu”.

Informacje te znajdują potwierdzenie w monografii Władysława Steblika *Armia „Kraków” 1939* (1989). Czytamy tam: „Na konferencji (bodaj 10 sierpnia) z udziałem przedstawiciela Związku Powstańców Śląskich [...] zaplanowano zorganizowanie na Śląsku 22 batalionów Ochotniczej Powstańczej Samoobrony po około 600 ludzi [...] Miały one jednak liche uzbrojenie (przypadkowa broń z małą ilością amunicji)”.

Czyniono wiele, by Katowice można było bronić przed zbliżającym się regularnym wojskiem niemieckim. Starano się obsadzić ważne dla obrony miasta obiekty strategiczne. Były wśród nich – Dom Powstańca przy ul. Matejki, budynek Teatru Śląskiego, wieżowiec przy ul. Żwirki i Wigury i – najważniejsza z naszego punktu widzenia – wieża spadochronowa w Parku Kościuszki. A dokładniej się wyrażając dwie, stojące naprzeciwko siebie, wieże. Z jednej strony ulicy Kościuszki była to wieża obserwacyjna, zaś z drugiej – wieża spadochronowa. Przedstawił Gołba: „W przeciągu kwadransa obsadzone zostały obie wieże: obserwacyjna, drewniana, znajdująca się po lewej stronie szosy za halami wystaw, i wyższa od niej spadochronowa, o lekkiej konstrukcji żelaznej, stojąca na łączce w samym



Schron bojowy „Wyrwidąb”, jeden z pięciu tego typu obiektów wchodzących w skład pozycji Węgierska Górka, broniącej województwa śląskiego od południa.

parku. Inni chłopcy zajęli pozycje skrzydłowe, sadowiac się na drzewach bądź kryjąc się wśród krzaków na samej krawędzi parku”.

Później przystąpiono do organizacji obrony wieży. Gołba informował, że „przeżegnali się chłopcy i odwrócili od miasta. Stach jako zastępowy objął nad nimi komendę. Przede wszystkim rozstawił ich w ten sposób, że wszyscy skryli się za ogrodzeniem z grubej blachy, by nie być w zasięgu niemieckich lornetek, które teraz niewątpliwie zwracały się ku wieżom. Dwa erkaemy i cztery zwykłe karabiny umieścił w małej wieżyczce szczytowej i skierował je na południe. Potem przeliczył posiadaną amunicję. Było jej mało, bardzo mało, zaledwie na początek obrony”.

Tak przygotowani harcerze stoczyli pierwszą, zwycięską walkę z nadchodzącym oddziałem regularnej armii niemieckiej. Czytamy w powieści Gołby: „Gdy czołówka Wehrmachtu wynurzyła się z Piotrowic i zaczęła posuwać się na Brynów, padły pierwsze strzały. To przemówiły oba erkaemy wieży spadochronowej, „którą natychmiast wsparła ogniem wieża obserwacyjna. Po pierwszych chybieniach złapano cel mocno i dobrze. Wypuszczono kilka zgrabnych serii, jakich by się nie powstydział strzelec regularnej armii”.

Ale obrońcy wieży mogli odnotować jeszcze jeden sukces. Wieżę zaatakowały dwa myśliwce niemieckie – messerschmitty. Przyjęte zostały ogniem obrońców, a jeden z nich został uszkodzony. Harcerze, wspierani przez powstańców, odparli też atak bojówki Freikorpsu.

Wedle powieści Gołby obsada wieży spadochronowej składała się z 4 harcerzy, a później doszły jeszcze 3 harcerki, które przybyły do wieży z zaopatrzeniem – z prowiantem i pewną ilością amunicji. Przy tak skromnej obsadzie harcerze rozpoczęli walkę ze zbliżającymi się od strony Brynowa oddziałami niemieckimi. Piechota niemiecka wsparta została ogniem dział przeciwpancernych. Przywołajmy jeszcze jeden cytat:

„Na wieży spadochronowej zrozumiano, co to znaczy. Stach kazał druhnom natychmiast zejść na dół. Nie usłuchała żadna. W krótkim westchnieniu polecili Bogu swoje młode dusze. Stach zatknął biało-czerwoną flagę. Zakwitła wspaniale w łunie gasnącego dnia. Musiał ją ujrzeć cały walczący Śląsk – na najwyższym maszcie okrętu, który idzie na dno.

– A teraz ognia – do ostatniego naboju! Niech żyje Polska!”

4

Przedstawiony w powieści Gołby opis obrony wieży spadochronowej budził dość istotne zastrzeżenia niemieckiego historyka II wojny światowej, świetnie władającego językiem polskim, Johana Bohlera. W książce *Der Uberfall*.



Jeden ze schronów bojowych Punktu Oporu Radoszowy w Rudzie Śląskiej Kochłowicach, który w 1939 roku strzegł przedmieść Chorzowa i Katowic.

Deutschlands Krieg gegen Polen (2009) pisał on: „Autor opisał między innymi jak garstka harcerzy obu płci wspinała się na opuszczoną przez 73. Dywizję Piechoty wieżę spadochronową, gdzie natknęła się na pozostawiony tu przez polskich żołnierzy karabin maszynowy. Według Gołby ta mała grupa przez cały dzień broniła wieży przed niemieckim atakiem dysponując tylko jednym karabinem. Podczas obrony harcerze mieli zadać nieprzyjacielowi dotkliwe straty, a nawet zestrzelić jeden z niemieckich samolotów. W jaki sposób nieprzeszkoleni w obsłudze broni młodzi ludzie byli w stanie dokonać takiego wyczynu, pozostaje tajemnicą autora powieści. Mimo to książka ugruntowała powojenny mit o bohaterskiej obronie Katowic, a harcerze z wieży spadochronowej urosli do rangi symbolu tej legendy”.

Analizując tę wypowiedź niemieckiego historyka, należy się zgodzić z jej ostatnim zdaniem. Rzeczywiście wieża spadochronowa w Parku Kościuszki urosła do rangi symbolu. Tu pełna zgoda. Natomiast wcześniejsze sformułowania skłaniają do sprzeciwu. Wystarczy uważnie zapoznać się z tekstem powieści Gołby oraz stosownymi opracowaniami historycznymi.

I tak nie walczyła w obronie Śląska 73. dywizja piechoty, bo takiej w ogóle nie było... Był natomiast 73. pułk piechoty, który wchodził w skład 23. dywizji piechoty. Prawdopodobnie autor pomylił oznaczenie cyfrowe tych jednostek. Obrońcy wieży nie dysponowali jednym karabinem maszynowym (rzekomo pozostawionym przez polskie wojsko), ale mieli do dyspozycji dwa ręczne karabiny maszynowe. Fakt zestrzelenia niemieckiego myśliwca nie znajduje potwierdzenia w tekście powieści. Jeden niemiecki samolot został jedynie uszkodzony.

Natomiast nieuzasadnione jest zdziwienie niemieckiego historyka, że polscy harcerze umieli sprawnie posługiwać się bronią strzelecką. Ci młodzi ludzie przed wojną przechodzili kursy przysposobienia wojskowego. Obrona wieży nie trwała cały dzień, jak lecz prawdopodobnie parę godzin..

Przekazany przez Gołbę opis obrony wieży spadochronowej w Parku Kościuszki posiada liczne cechy legendy literackiej. Obok faktów historycznie sprawdzalnych, jak ten że rzeczywiście broniono tej wieży, co znajduje potwierdzenie w dokumentach polskich i niemieckich, mamy do czynienia z faktami, których już dziś nie można zweryfikować.

Nie wiemy dokładnie ilu było obrońców wieży i czy wszyscy zginęli. Utwór Szewczyka *Ptaki ptakom* (a szczególnie jego adaptacja filmowa) ukazuje, że wieżę broniły jedynie harcerki, a opis ich śmierci powiększa jeszcze tragizm przedstawianej sceny końcowej. Nie ma żadnych dowodów, że wieża była atakowana przez myśliwce niemieckie i jeden z nich został zestrzelony.

Natomiast opis obrony wieży spadochronowej w Parku Kościuszki jest nader mocno nasycony emocjonalnie. Niewielka grupa harcerzy słabo uzbrojona stawiała opór samodzielnemu jednostkom niemieckim. Obrona wieży spadochronowej, w trakcie której zginęli wszyscy obrońcy, wpisuje się w szereg najbardziej bohaterskich bojów Września 1939, wśród nich obrony poczty gdańskiej, obrony Westerplatte, obrony Oksywia, czy bohaterskiej walki w obronie fortyfikacji nad Narwią (Wizna). Wszystkie te boje są walką bez szans zwycięstwa, w której giną wszyscy lub wielu obrońców. Rysem zmiennym tych wszystkich bojów jest ich moralna słuszność.

„Pomnik wznieśli harcerze harcerzom” 40 lat temu na katowickim Rynku

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Rozstrzelani pod ścianą nie szukają twarzy
I włosów podpalonych,
Gdzie są ich imiona?
Z płaskorzeźby zatartej
Tylko cisza woła.

Tadeusz Kijonka *Elegia katowicka*

4 września 1939 roku, w dniu wejścia oddziałów niemieckich do Katowic rozstrzelano wielu obrońców miasta, ale największa egzekucja, a właściwie masakra, dokonana przez Freikorps Ebbinghaus odbyła się w podwórzu ul. Zamkowej, graniczącej z Rynkiem. Zamordowano wtedy dowódcę powstańczej obrony miasta, bohatera Nikodema Renca z synem Józefem. Wiemy też na pewno, że zastrzelono na katowickim Rynku hm. Aleksandra Rzeszotkę oraz harcerzy: Jana Bytomskiego, Leona Łukomskiego, Władysława Pierończyka, Wilhelma Szajchta oraz Jerzego Scheidta, a także zasłużonego aptekarza z Chorzowa – Edmunda Baranowskiego. Zgładzono tam też niektórych obrońców Parku Kościuszki, złapanych już po rozbiciu Wieży Spadochronowej. Większość nazwisk jednak jest nieznana, choć relacji zostało wiele i przebieg rzezi można odtworzyć nawet w szczegółach. Najwięcej informacji przekazał Rafał Kocik, chorzowski harcerz, mieszkający w dzielnicy zwanej Klimzowcem. Miał we wrześniu 1939 roku 19 lat, właśnie wrócił z obozu w Jeleśni i zaraz zaangażował się w działania Pogotowia Harcerzy. Złapany przez „dwóch cywilów z opaskami z hakenkreuzem” 4 września w okolicy ul. Gliwickiej, znalazł się w grupie 30–40 osób, wojskowych, powstańców, harcerki i harcerzy prowadzonych na podwórze na rogu Rynku i ul. Zamkowej (ob. Korfantego). Potem wprowadzono kolejną grupę osób, w której też byli harcerze. Wszyscy wiedzieli, co ich czeka, ale zachowywali się bardzo godnie. Ocalał cudem, właściwie uratował go harcerski krzyż, który osłabił uderzenie kuli. To wszystko zeznał prokuratorowi Zygmuntovi Brzyckiemu przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach 25 kwietnia 1967 roku.

Natomiast Rafał Wieczorek, mieszkający w Panewnikach, opowiedział prokuratorowi Brzyckiemu, co widział 4 lub 5 września 1939 r., obserwując wraz z Pawłem Dyrdą przez dziurę w płocie i zarośla cmentarz *vis á vis* sanktuarium oo. franciszkanów: dwukrotnie przyjechała furmanka, na której znajdowały się zwłoki dziewcząt i chłopców ubranych w mundury harcerskie oraz kilka ciał w mundurach

powstańczych i ubraniach cywilnych. Widłami zrzucano je wszystkie do wykopanego wcześniej grobu i przysypano chlorem; następnego dnia było tak samo. Wędług rozeznania Wieczorka, zwłok było około 80. Jeszcze we wrześniu 1939 roku opowiedzieli o tym druźnie Adeli Karczyńskiej, jednej z czołowych postaci konspiracji harcerskiej na Śląsku, także ściśle związanej z Wojskową Służbą Kobiet. To były ofiary egzekucji na katowickim Rynku. Janina Koczy, również zeznająca przed prokuratorem Brzyckim, powołując się na świadectwo ówczesnego grabarza Mrowca, podała cyfrę nawet 200 osób. Większość zeznań zebrał Andrzej Szefer i wydał w książce *Bohaterowie spod znaku lilijki. Harcerze Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego w latach wojny i okupacji hitlerowskiej w świetle zeznań własnych i świadków* (Katowice 1984). Każdą informację można tam sprawdzić.

Zachowało się też zdjęcie prowadzonych na egzekucję, które piętnaście dni po wydarzeniach wrzucił ktoś do mieszkania rodziny Nikodema Renca. Zdjęcie zrobione było aparatem Leica i takie odbitki otrzymały rodziny wielu zamordowanych. Po wojnie, po 18 latach, Franciszka Łukaszewska rozpoznała na fotografii prasowej opublikowanej w katowickiej „Panoramie” wśród osób prowadzonych w Katowicach ulicą 3 Maja na rozstrzelanie swego syna, Leona Łukaszewskiego. Szedł z podniesionymi rękami jako trzeci, za aptekarzem Baranowskim i Władysławem Pierończykiem.

Wszędzie, we wszystkich zeznaniach i wspomnieniach powtarzają się informacje o harcerkach, harcerzach i powstańcach. To im wszystkim, rozpoznanym i nierozpoznanym obrońcom miasta w 1939 roku Tadeusz Kijonka zadedykował swój boleśnie realistyczny wiersz *Egzekucja*:

Katowice, 4 września 1939

Jak na tym zdjęciu
co roku tego dnia
idą na śmierć pod eskortą
z uniesionymi rękami.

Ten starszy pan w okularach
z odchylonym krawatem
z Edmund Baranowski,
adwokat z Hajduk Wielkich.

Za nim dwaj w białych koszulach
Rozpoznani na zawsze –
ten wątył w pumpach na szelkach,
to harcerz Władek Pierończyk
i druh Łukaszewski Leon,
też nie w harcerskim mundurze.

Na spójny, nieprzerwany czas historii nałożył poeta bolesną kliszę, odtwarzając zawsze we wrześniu tamte wydarzenia i tak przywraca je pamięci, bo w *Egzekucji* wciąż idą katowicką ulicą 3 Maja na miejsce ostateczne. Barbara Szacka twierdzi, że w pamięci zbiorowej jest tęsknota za przeszłością i tak zapewne było tym razem, ponieważ tęsknota za tamtymi ludźmi, za ich męstwem i wiernością ideałom kazała utrwalić na zawsze ich postacie i miejsce kaźni. Jak więc je utrwalono w Katowicach? Zaczęło się zaraz po wojnie, gdy na katowickim Rynku został postawiony niewielki pomniczek, z tablicą upamiętniającą wydarzenie, ale rozebrano go w związku ze wyburzeniami i przebudową Rynku. Ocalała tablicę wmurowano w ścianę kolejnego budynku przy ul. Skośnej, a gdy i on został zburzony, tablica powróciła na Rynek. Położono ją płasko, niepozornie, nieopodal jezdni przy ulicy, wtedy jeszcze Armii Czerwonej. W roku 1967 chciano ją zlikwidować, podobno była zagrożeniem dla ruchu. W tym samym czasie zagrożone było też istnienie Wieży Spadochronowej w Parku Kościuszki. Prawda była taka, że to pamięć o tych symbolach była groźna, a nie one same. O tzw. „sanacyjnym” harcerstwie ówczesne władze wyrażały się bardzo źle! Jednak już od drugiej połowy lat pięćdziesiątych coraz bardziej narastało pragnienie trwałej komemoracji i tych, co zginęli w Parku Kościuszki i tych rozstrzelanych na katowickim Rynku. W szkołach co jakiś czas ogłaszano konkurs na projekt pomnika; w roku 1964, gdy w rejonie ul. Bankowej budowano zespół szkół, umyślono tam zarazem upamiętnić harcerzy. Monument w formie rozpostartych harcerskich proporców zaprojektowała Teresa Rauszer-Michałowska. W roku 1969 rozstrzygnięto konkurs Stowarzyszenia Architektów Polskich i Związku Polskich Artystów Plastyków na pomnik harcerski, wygrali plastycy krakowscy: Ryszard Trzciniński i Krzysztof Majka. Tym razem pomnik miał stanąć w centrum Katowic. Informację o tym zamierzeniu Anna Jurkiewicz ogłosiła w „Trybunie Robotniczej”, za co Edward Gierek udzielił kierownictwu gazety surowej nagany. Pozornie sprawa ucichła. Tylko pozornie, bo siłami społecznymi uzbierano więcej niż tonę metali kolorowych i 195 tysięcy złotych, a Zarząd Zieleni Miejskiej przekazał bryłę granitu. Granit zabrał Zdzisław Grudziń, metal przekazano do huty, a pieniądze zdeponowano na koncie Komendy Chorągwi ZHP im. Bohaterów Pracy Socjalistycznej.

A jednak tęsknota rosła, a z nią determinacja. W roku 1971 Koło ZBoWiD w Centralnym Ośrodku Badawczo-Projektowym Wzbogacania i Utylizacji Kopalni „SEPARATOR” zaplanowało wykonanie dużej płyty pamiątkowej i też się to nie udało. Dopiero w kolejnych latach, wraz z narastającą falą społecznego niezadowolenia, o wniesieniu pomnika zaczęto mówić coraz głośniej. Najpierw środowisko śląskich plastyków, zorganizowało społeczny konkurs. Pierwszą nagrodę zdobył artysta rzeźbiarz Tadeusz Ślimakowski z Chorzowa, a projekt przedstawiał kompozycję z karabinów i wplecionych pomiędzy nie lilijek harcerskich, jednak wykonawca – Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych – nagle wycofały się bez słowa z przyjętych zobowiązań. Sześć lat później Rada Artystyczna Sekcji Rzeźby przy katowickim Zarządzie Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków ogłosiła chytrze konkurs dla uczczenia 35-lecia PRL i on okazał się ostatecznym! Wygrał pełen ekspresji projekt figuralny Zygmunta Brachmańskiego – katowickiego artysty rzeźbiarza. 19 września 1979 roku Urząd Miasta Katowic na wniosek Miejskiej Rady Przyjaciół Harcerstwa wydał akt lokalizacyjny, ale Zdzisław Grudzień oświadczył, że póki on żyje pomnika w Katowicach nie będzie. A jednak z początkiem 1980 roku inicjatywa odżyła i 30 marca zawiązała się Społeczny Komitet Budowy Pomnika Pamięci Bohaterskich Harcerzek i Harcerzy Śląskich, którego przewodniczącym został Juliusz Szaflik. Czas się zresztą zmienił, Grudzień zmarł, a w latach 1980–1982 pierwszym sekretarzem KW PZPR w Katowicach był Andrzej Żabiński, po nim Zbigniew Messner; mieli wtedy większe kłopoty niż pomysły harcerzy. Interesujący był skład tego Komitetu. Starsi członkowie, głównie ci z przedwojennej 2 DH im. Tadeusza Kościuszki z katowickiego „Mickiewicza” oraz boguciccy harcerze, kierowali się obowiązkiem pamięci wobec poległych kolegów; młodszy, wychowani na *Wieży spadochronowej* Kazimierza Gołby i wspomnieniach starszyny harcerskiej Jadwigi Soltysowej, Ady Korczyńskiej, Alfonsa Burzyńskiego, Andrzeja Różanowicza, Alojzego Nowaka, Edwarda Nowaka i wielu innych, łączyli się z nimi w poczuciu harcerskiej wspólnoty. Służbowo w skład komitetu wchodził ówczesni komendanci Chorągwi i Hufca, prezydent Miasta Katowic i choć niektórzy z nich strzegli „właściwej” postawy ideologicznej, to generalnie też starali się pomagać. Szybko podzieliliśmy się zadaniami, wszystkie działania sprawnie prowadziły do celu, a towarzyszył im ogromny aplauz społeczności śląskiej i harcerskiej w całej Polsce, „cegiełki” rozchodziły się szybko, zakłady pracy spontanicznie przekazywały niemałe kwoty. Samorzutnie stworzony „zespół redakcyjny” (Anna Jurkiewicz, Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Kazimierz Krzyżków, Bogdan Suchy, Bernard Szafranek) przygotował jednodniówkę „Harcerz Śląski”, nawiązującą winiętą do



czasopisma z okresu powstań i plebiscytu, która wypełniła się informacjami o genezie pomnika i jego przekazie ideowym, postaciach utrwalonych przez Zygmunta Brachmańskiego, o Pogotowiu Wojennym Harcerzy i miejscach męczeństwa w Katowicach, oczekujących na upamiętnienie. W słowie wstępnym przewodniczący dr nauk ekonomicznych Juliusz Szaflik napisał: „My wszyscy, którzyśmy przeżyli, uważaliśmy za swój święty obowiązek wobec poległych Kolegów i Przyjaciół uczczenie ich walki prowadzonej aż do końca trwałym symbolem w postaci pomnika”. Pięknie w tym zdaniu wybrzmiała wspólnotowość wszystkich działań – nigdy ja – zawsze my.

Czwartego września 1981 roku w Rynku wmurowano akt erekcyjny i położono płytę z napisem: „Tu stanie pomnik ku czci harcerstwa śląskiego 4 IX 1981”, a po części oficjalnej fundament poświęcił ks. Franciszek Jerominek, przedwojenny prefekt gimnazjalny, w latach 1946–1949 kapelan 2. Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki. W akcie napisano m.in.:

Pomnik wznoszą harcerze – harcerzom, pokolenie tych, którzy żyją na polskim Śląsku – pokoleniom, które o ten Śląsk walczyły. Ma on stać się symbolem pamięci i przestroga, aby już nigdy polskie dzieci nie musiały krwią poświadczać „świętej miłości kochanej Ojczyzny” oraz dokumentem, że tu na Śląsku być harcerzem – znaczyło umieć żyć i umierać dla Polski.

Ten Akt Erekcyjny dla pamięci potomnych kładąc, wierzymy, że w symbolu krzyża i lilijki harcerskiej będzie tkwić moc na dalsze dziesiątki lat istnienia Związku Harcerstwa Polskiego, że pomnik tu wzniesiony wyzwalać będzie u każdego, który przy nim przystanie głęboką patriotyczną refleksję.

Dwa lata później powrócili harcerze na katowicki Rynek. 30 czerwca 1983 roku pomnik przewieziono z Gliwic do Katowic i zamontowano na Rynku, towarzyszyli wydarzeniu licznie zebrani katowiczanie, władze miasta i wrzuszony do łez Komitet. Dwa miesiące później 4 września nastąpiło uroczyste odsłonięcie.

Ten czas wypełniły intensywne przygotowania do uroczystości, w Komitecie i w nie całkiem legalnie funkcjonującym Duszpasterstwie Harcerskim – wraz z kapłanem diecezji katowickiej ks. Stefanem Czermińskim. I tu należy się kilka słów wyjaśnienia. Harcerze, którym wnosiliśmy pomnik, na-

leżeli do generacji, która w *Przyrzeczeniu* ślubowała „Pełnić służbę Bogu i Polsce”, dlatego kilka osób z Komitetu postanowiło, nie zważając na konsekwencje, poświęcić pomnik, oczywiście za zgodą ks. biskupa Herberta Bednorza. Oficjalne odsłonięcie miało się odbyć 4 września 1983 roku o godzinie 16.00, a my już o 12.00 zgromadziliśmy się w katowickiej Katedrze Chrystusa Króla na koncelebrowanej mszy świętej, sprawowanej przez ks. bp. Janusza Zimniaka, któremu towarzyszyli kapelani harcerscy, a także ks. Dominik Orczykowski z zakonu oo. kapucynów z Krakowa. Katedrę wypełniło około czterech tysięcy harcerzek i harcerzy z całej Polski. W uroczystej homilii, nawiązującej do samej istoty Krzyża, ks. biskup Zimniak powiedział: „Harcerze katowicko polegli w obronie wolności, oddając swoje życie podobnie jak Chrystus, wyrzekli się wszystkiego, bo domagała się tego wierność krzyżowi. Nie złożyli broni, gdyż nosili wypisane na swoim krzyżu jakże ewangeliczne wezwanie: „Czuwaj”. Dzięki temu wezwaniu oddali wszystko i stali się rzeczywiście uczniami Chrystusa. Czy więc ponieśli klęskę? [...] Nie, oni zwyciężyli!”. Po eucharystii zesłaliśmy wszyscy ul. Wita Stwosza na katowicki Rynek, utworzyliśmy potrójny krąg (ktoś najwyraźniej będący służbowo natychmiast wyłączył już przygotowane mikrofony) i jeszcze przed oficjalną uroczystością, która nie przewidywała „akcentów religijnych”, ks. bp. Zimniak po zaintonowaniu hymnu *Wszystko, co nasze* i modlitwie za zmarłych i żyjących harcerzy, poświęcił Pomnik, a uczestnicy odśpiewali z wielką siłą *Modlitwę Harcerską*. Służba Bezpieczeństwa traktowała to jako swoją klęskę i choć doskonale znano inicjatorów tej „dywersji”, nie potrafiono jej zapobiec. W aktach sprawy „Ministrant” czytamy: „Z przeprowadzonego wówczas rozpoznania [wynika – K.H-K], że inicjatorami poświęcenia pomnika byli: Wiczorek Paweł, Gadomska-Wiczorek Anna, dr. Heska-Kwaśniewicz Krystyna – pracownik naukowy UŚI w Katowicach oraz Suchy Bogdan”. Najgorsze jednak było to, że Pomnika nie można było już „odświeżyć”!

Oficjalne uroczystości rozpoczęły się o godzinie 16.30, udział w nich wzięły władze miasta, Związku Harcerstwa Polskiego, powstańcy oraz wrzuszony Jerzy Ziętek, otoczony przez powstańców, ale dominowały harcerki i harcerze wszystkich pokoleń,

NA PAMIĄTKĘ
ODŚLONIĘCIA POMNIKA HARCERZY ŚLĄSKICH
KATOWICE – 4 WRZEŚNIA 1983 ROKU



SPÓŁECZNY KOMITET BUDOWY POMNIKA
PAMIĘCI BOHATERSKICH HARCEREK I HARCERZY ŚLĄSKICH
POLEGŁYCH W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ 1939–1945



HARCERZE ZNOW NA KATOWICKIM RYNKU... Foto. K. Seko

najmłodszy uczestnik miał 2 lata, najstarsi byli lwowscy weterani harcerscy. Katowice dosłownie zalało morze szarych i zielonych mundurów. Numer 171. „Dziennika Zachodniego” w całości poświęcony był tematyce harcerskiej, wydrukowano w nim także program uroczystości, które trwały od 1 do 4 września. O 16.30 uroczystości opadła biało-czerwona wstęga, pomnik został odsłonięty a śpiew *Wszystko, co nasze Polsce oddamy* ponownie wstrząsnął katowickim Rynkiem, na którym tak, jak wierszu Aleksandra Baumardtena, znowu „stoją chłopcy w ordynku, stoją chłopcy, harcerze, panienki” – tylko że już nie ciążyły im karabiny. Pomnik na wysokim cokole, w jeszcze mocno gorejącym wrześniowym słońcu, pełen blasku, był porównywalny i bardzo dynamiczny Cztery młodzińcze postaci w harcerskich mundurach pełne siły i mocy wychodzą w przestrzeń miasta. Jest w ich sylwetkach siła i moc, ból i śmierć pozostawili za sobą. Zygmunt Brachmański napisał: „Skalę pomnika określa wielkość planu i otaczających go budynków. Pomnik ma formę bryły odchylonej ku słońcu; symbolizuje krzyż harcerski – mur obronny – barykadę. Grupa harcerek i harcerzy stanowiąca centralną część tej bryły jakby wychodziła z muru czy barykady, ale już nie po to, by walczyć. Niepotrzebne im już karabiny – ekspresyjna kompozycja postaci dowodzi, że harcerze zwróceni są ku życiu. Powracają na katowicki Rynek...”

„Powracal” więc harcmistrz Józef Pukowiec, komendant Tajnej Chorągwi Harcerzy, ścięty na gilotynie w 1942 w katowickim więzieniu, obok niego Stani-

śław Sołtys – w roku 1939 maturzysta katowickiego „Mickiewicza”, bohaterki skoczki spadochronowej, stracony przez Niemców w czerwcu 1944 w Rzeszowie. Postać pięknej dziewczyny, upamiętniała Olgę Kamińską-Prokopową, uczennicę Liceum Marii Curie Skłodowskiej, 21-letnią harcerkę ściętą w Moabicie. Cwik Ryszard Kot – dwudziestodwuletni harcerz, stoi jako pierwszy z prawej. Śmiertelnie ranny 1 września 1939 w walkach z bojówkami hitlerowskimi o kopalnię „Michał” w Michałkowicach, zmarł następnego dnia. Był pierwszym polskim harcerzem, który zginął w II wojnie światowej. Pomnik upamiętniał jednak symbolicznie

wszystkie harcerki i harcerzy poległych w latach wojny i okupacji, na jego odwrocie umieszczono mapę miejsc, w których ginęli, wszystkie pola bitewne i obozy koncentracyjne z lat 1939–1945. Daje ona wyobrażenie o sile i bohaterstwie śląskiego harcerstwa.

Pomnik odsłaniał przewodniczący Komitetu z harcerką i zuchem, a wraz z nimi Helena Gołbowa, żona autora *Wieży spadochronowej*. Obok nich – oczywiście – druh Rafał Kocik, była też wśród odsłaniających Jadwiga Sołtysova, współtwórczyni śląskiego harcerstwa i matka Stanisława, wreszcie i Marek Prokop – syn Olgi, najpiękniejszej katowickiej harcerki, który nie poznał swej matki (teraz był prezydentem Siemianowic). Także Alojzy Kot – najstarszy brat Ryszarda, a przy tym uczestnik powstań śląskich i członek konspiracji w latach okupacji hitlerowskiej znalazł się wśród odsłaniających. Takie wyróżnienie było próbą zadośćuczynienia za krzywdę niepamięci, za milczenie, za ból i nierozumienie.

Pomnik miał na trwałe wpisać w pamięć miasta dziewczęta i chłopców, którzy życiem potwierdzili słowa hymnu *Wszystko, co nasze Polsce oddamy*. Taka pamięć niesie w sobie przekaz wartości i wzorów obecnych w harcerstwie zawsze, także współcześnie, tu uobecnionych w konkretnych wydarzeniach, a figurálność pomnika wskazuje osoby godne naśladowania w każdym czasie. Istotnie, o każdej z postaci z pomnika można byłoby napisać książkę. Tak powstaje tożsamość, w której wspólna przeszłość

śląskiego harcerstwa i świadomość dziedzictwa spleta się z losami narodu i regionu. Tak rodzą się symbole i obowiązek przekazywania tradycji idącym pokoleniom. Nie jest kwestią przypadku fakt, iż Hufiec Katowice nosi imię „Bohaterów Wieży Spadochronowej”, a Chorągiew Śląska ZHP imię „Harcerzy września 1939 roku”. Zawsze w dniach wrześniowych śląska młodzież harcerska zaciąga uroczystą wartę pod Wieżą Spadochronową i na katowickim Rynku, kłamrą pamięci spinając dwa punkty miasta i przenosząc je w szeroko rozumianą przestrzeń publiczną.

Niestety, w latach 2010–2016, podczas przebudowy Rynku, Pomnik zdjęto z pięknego cokołu i postawiono płasko na ziemi, obok niepozornej tablicy znajdującej się w pobliżu miejsca egzekucji, a teraz tuż przy szynach tramwajowych. Można zobaczyć jak deptać po niej i po tym miejscu (może nieświadomie) ludzie „skracający” sobie drogę. Stojący koło niej monument został jakby pomniejszony, narażony nieustannie na profanację, a brak perspektywy odebrał mu całą wzniosłość i dynamikę. Wydaje się, że zmałał, „ideał się gnął bruku” – jak napisał Cyprian Kamil Norwid.

I tablica, i pomnik świadczą o życiu i śmierci osób, które zginęły za polskie Katowice, za Śląsk, za Polskę. Świadczą i o naszej pamięci, o utożsamianiu się z ich ideałami, ale też są ostrzeżeniem, by nigdy nie powtarzać tragedii tamtego września. W Warszawie, Krakowie, Poznaniu takie miejsca są czczone, zabezpieczone przed profanacją i na co dzień przypominają bohaterką historię miasta i narodu. W Katowicach – nie! Ciągłe widzimy w pobliżu nich happeningi, kramy, stoiska – przylegające wręcz do miejsc pamięci.

W roku 2019, 3 września, gdy w obecności Prezydenta Miasta, przygotowaliśmy się do składania kwiatów u stóp Pomnika. Młody chłopak z pozdrowieniem hitlerowskim, roześmiany, przedelflował przed nami zupełnie bezkarnie. Kiedy indziej młodzi czarnoskórzy ludzie urządzali ćwiczenia gimnastyczne na pomniku robiąc sobie przy okazji selfie. Takie przykłady można by mnożyć. Nie reaguje nikt, Straż Miejska jakby nie była obecna. Apele Komendy Chorągwi i Komisji Historycznej do Władz Miasta o godne zabezpieczenie miejsca nie spotykają się z należyтым zrozumieniem. A przecież pomniki są najważniejszymi nośnikami pamięci w przestrzeni społecznej i właśnie z okazji 40-lecia istnienia Harcerskiego Pomnika na katowickim Rynku warto przypomnieć przestrożę marszałka Ferdinanda Focha, że „narody tracąc pamięć, tracą życie”.

Echa z innej krainy

Z JANEM PAWŁEM KRASNODĘBSKIM
rozmawia ANDRZEJ ŚNIOSEK

W latach 70. i 80. był Pan aktywnym uczestnikiem życia literackiego. Jak po latach interpretuje Pan skalę zamieszania wokół „prozy nowych nazwisk”? Większość debiutujących wówczas autorów to dziś nazwiska całkiem zapomniane.

To już jest „inna kraina” dla pisarzy z tamtego okresu. Myślę, że wtedy łatwiej było zabłysnąć, być pisarzem. Wszystko zdawało się bardziej czytelne, bardziej uczciwe. Przebijał się ktoś z talentem, jeśli to był autentyczny talent. Teraz ci pisarze mają po sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat, część z nich przeżywa trudne chwile, bo nie ma dla nich miejsca. Nikt ich nie chce. A jeśli uda im się coś wydać, to nikt o tym nie napisze. Wielu ludzi publikuje tylko w Internecie, a są wśród nich znakomici pisarze. Niektórzy wepchali się do polityki, co już jest zupełnym upadkiem. Ale na pogrzeb tych prawdziwych pisarzy przyjdą dwie osoby. Albo żadna. A więc ta „proza nowych nazwisk” była czytelna w latach 70. i 80. Z tamtego okresu najbardziej odpowiadał mi Jan Drzeżdżon (magia) i Dariusz Bitner (liryka i okrucieństwo).

Wtedy istniały miejsca, gdzie spotykali się artyści, we Wrocławiu, gdzie mieszkąłem, Empik przypominał mi Ziemiańską; zawsze zaglądałem za bar sprawdzając, czy nie ukrył się tam Tuwim. Teraz takich miejsc nie ma. Mimo że na wydanie książki czekało się długo, środowisko pisarzy było bardzo żyte.

Na początku lat 90. masowo zaczęły upadać wydawnictwa i pisma literackie, proza polska przestała istnieć, a było na nią duże zapotrzebowanie, chociażby w bibliotekach, wiem o tym, gdyż miałem dużo spotkań autorskich w całej Polsce. Sam wydawałem wtedy swoje książki, nie wyobrażałem sobie, że mogę pisać do szuflady.

Jedną z centralnych postaci literatury tamtych lat był Henryk Bereza. Czy zetknął się Pan z nim osobiście? Jak go Pan zapamiętał?

Henryk Bereza to na pewno bardzo ważny krytyk. Poznaliśmy się jesienią 1974 roku, był jurorem prestiżowego konkursu prozatorskiego w Chorzowie. Marek Harny dostał wtedy pierwszą nagrodę, ja drugą, a Tade-

usz Kwiatkowski-Cugow, wspaniała hedonista z Lublina, trzecią. Bereza poinformował mnie, że zostałem przyjęty do ZLP. Miałem 27 lat i stałem się najmłodszym członkiem. To było ważne, że właśnie on przekazał mi tę wiadomość, cenił moją twórczość, to było dla mnie bardzo istotne.

Potem spotkaliśmy się w redakcji „Twórczości”, był to rok 1986 lub 1987. Chciałem mu dać do oceny maszynopis powieści *Odwyk*, książki dla mnie bardzo ważnej. Ale Bereza był otoczony dziwnymi młodymi asystentami, którzy dbali o to, żeby nie było powodu do zdenerwowania Mistrza; on chyba był wtedy świeżo po ostrej chorobie sercowej, stąd ta troska. Maszynopisu mu nie zostałem, poszedłem do PIW-u, książka została wydana po dwóch latach.

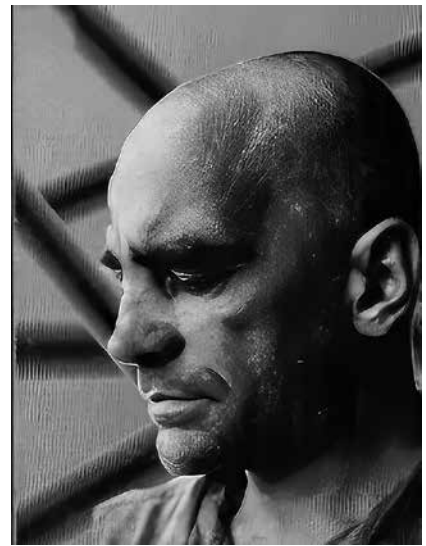
Potem oglądałem w Internecie relację z jakiegoś konkursu gdzieś w Polsce, Bereza rozmawiał z młodymi ludźmi, wszyscy byli na „ty”, bardzo mi się to podobało, był rozluźniony i wyglądał młodo, a miał wówczas 78 albo 80 lat. Kiedyś zastanawiałem się, czy ma rodzinę.

Jego *Oniriada* nadal jest książką, która musi mieszkać w mojej bibliotece.

Jaki jest Pana stosunek do konceptów historyczno- i krytycznoliterackich Berez? Pytam zwłaszcza o antynomie „języka martwego” i „języka żywego”, który według Berez cechował prozę „rewolucjonistów”. Nie mam żadnego stosunku w tej kwestii. Tylko język żywy mógł być rewolucyjny.

Co Pana zdaniem spowodowało niemal zupełny – czytelniczy i krytyczny – odwrót od artystycznej prozy spod znaku Henryka Berez i „Twórczości”? Myślę, że w „Twórczości”, w której wtedy często drukowałem, nadal są takie publikacje, które aprobowałyby Henryk Bereza. Poza tym teraz się zupełnie inaczej pisze. W psychicznym niechlujstwie, żeby tylko się sprzedać, drogo sprzedać, mieć dom i zostać celebrytą. Nie ma w tym prawdy, wszystko jest zafalszowane i wszystko jest na sprzedaż.

Czy prozie „bereziaków” bliżej do modernizmu czy postmodernizmu? Nie-



którzy badacze widzą w Marku Słuku pierwszego w Polsce postmodernistę. Inni, jak choćby Włodzimierz Bolecki, bardzo niechętnie używają terminu postmodernizm, opisując literaturę XX wieku w kategoriach modernizmu.

Nie wiem gdzie bliżej i nie wydaje mi się to najważniejsze, choć rozumiem, że może być to ważne dla krytyków. Był autentyzm, myślę, że to był największy atut pisarzy, których książki liczyły się dla Berez.

Jednym z bardziej dotkliwych zarzutów wobec debiutujących w latach 70. i 80. prozaików był „socparnasizm”. Pojawili się sugestie, jakoby pisarze celowo unikali wątków nieprzychylnych władzy, a co za tym idzie kolaborowali z Partią. Dzieki temu mogli publikować w obiegu oficjalnym. Czy w Pana opinii takie zarzuty były słuszne?

Oczywiście byli tacy, którzy szli na łatwiznę, dużo mamy takich psychicznych słabeuszy. Ale istniała znacząca grupa młodych, która okazała się silniejsza i przebiła kolaborantów. Poza tym chyba w każdym środowisku literackim zdarzał się kapuś, we Wrocławiu, z którym byłem związany, podejrzewano każdego, oprócz tego prawdziwego donosiciela, który, już po transformacji, w nagrodę za zasługi został burmistrzem sporego miasta.

Czy utrzymuje Pan kontakty z „młodymi prozaikami” tamtych dekad? Czy interesowały Pana ich dalsze losy?

Nie utrzymuję osobistych kontaktów, bo jestem samotnikiem. Jednak ich losy nie są dla mnie obojętne.

Nad czym pracuje Pan obecnie? Czy można spodziewać się nowych tekstów?

Niekiedy piszę wiersze.

Lęk jako gatunek literacki (VI)

PIOTR ZACZKOWSKI

Commentarjusz i szkolne boisko spotkały się i połączyły jak dwa nurty w morzu.

Tomas Tranströmer (*Dźwięk*)

314 Tak bywa z każdym nurtem – u kresu albo na chwilę przed nim. Tyle że nie zobaczy się morza, a dziecinne kałuże lęku.

315 Nie wiedział tego, w ogóle wiedział niewiele, gdy przebierał się do lekcji nazywanej wychowaniem fizycznym, do głupiego wysiłku, dzielącego małoletnich uczniów na lepszych i gorszych, sprawnych i nie-dołącznych, dzielnych i tchórzliwych. Zapach pozbawionej okien szatni był ciasny, ostry, mdły, ryzykowny, wieszczą katastrofę – jakby cała przyszłość zatrzymała się nie o krok od sali gimnastycznej, lecz u progu trudnej, bolesnej biblioteki (mimo że biblioteka poci się do wewnątrz i oszukuje inaczej). Sztyniał ze strachu, było mu niezadarnie, nie chciał opuszczać siebie, marzył, aby przeczekać na niewygodnej ławeczce koniec lekcji i koniec życia. Koledzy przyglądali mu się spokojnie, w zimnej ciszy, jakby był odmieńcem lub eksponatem na wystawie przyrodniczej, udostępnianej dwa razy w tygodniu, do końca roku szkolnego.

316 Podobno skazanym na piekło pozwala się, co najmniej na godzinę przed odstawieniem do windy, napisać do bliskich, którym przeznaczono niebo bądź czyściec i których nigdy nie zobaczą. Jeżeli w tych okolicznościach komuś (co zrozumiałe) nie przychodzi nic mądrego do głowy, może skorzystać z antologii listów samobójców, dostępnych – zarówno w wersji papierowej, jak i elektronicznej – w każdej poczekalni.

317 Uciekał przed siebie, blisko, daleko, z rozmysłem, przypadkowo, najdalej, na ślepo, z szeroko otwartymi oczami, otumaniony euforią bądź wypełniony zwątpieniem, z przekonaniem, dla zabawy, na próbę, pozbawiony sił, gotowy wytrzymać wszystko do jutra lub nawet do końca, a śmierć stawała leniwe pułapki.

318 Wszystkich nieboszczyków skieruje się na wieczne leczenie odwykowe i skutecznie, dzień po dniu, pozbawi uzależnienia od życia.

319 Urzędnicy mieli uporządkowane, skrupulatne ambicje. Uczyli się na pamięć wszystkich aktów prawnych, bez szemrania wypełniali obowiązki, terminowo przekazywali kwartalne i roczne sprawozdania, a w wolnych chwilach wydrapywali swoje uparcie i beznadziejnie. Raz w roku wyjeżdżali na krótkie, niekłopotliwe urlopy. Po powrocie ostrzyli pazury, albo je w niepewności ogryzali – niekiedy do krwi.

320 Całą dobę czynna jest stołówka zakładowa i czytelnia czasopism kolorowych. Przemęczonym, uwikłanym w nerwice i bliskim wypalenia udostępnia się pokoje rekreacyjne. Nie ma ograniczeń w dostępie do telefonu zaufania. Każdy chętny może skorzystać z komnaty z lustrami, powtórzyć tam najważniejsze skłony i pokłony, wymyślić nowe i je zapamiętać, a jeżeli przeżywa wyjątkowo trudne chwile – zrobić kilka głupich min i pokazać sobie samemu języka.

321 Okruchy wspólnej, przeżywanej w tym samym czasie rzeczowej melancholii domów i przedmiotów w tych domach. Materialne ubiory ludzi i rękawice mające chronić dłonie przed chłodem lub je przygotować do walki. Z materii (i żelaznej logiki) nasze zeszyty i kropki stawiane u kresu zdań.

322 Zapiski upycha w głowie. Z czasem ona sama staje się osobnym i najbardziej pokreślonym szkicem, niemożliwością i niespełnieniem. I tak już pozostanie.

323 Łaska fragmentu. Przez miniaturową chwilę. Przez nadzieję chwili. Nim inni obędą jego chwilę ze skóry.

324 Dzieciństwo mieści się w zakurzonej apteczce, którą strach otwierać.

325 W chwili, gdy wreszcie decyduje się spisać zeznania, oprawcy ogłaszają przerwę w torturach i cierpliwie, a nawet z delikatnym współczuciem, czekają na ciąg dalszy.

326 Wielu zwolenników zdobywa przesąd, że ostatni garnitur należy szyć do spółki ze śmiercią (niektórzy liczą, że wówczas coś wyjedną usłużnością albo przynajmniej niewidzialną szatę zobaczą).

327 Popularna przypowieść, obfitująca w dydaktyczne konteksty i przytyki do leniwych, pozbawiona jest prawdziwego epilogu. Nie ma wzmianki o tych, którzy ocalili najważniejszy talent. Wyruszyli w beznadziejną drogę. Zależnieni, pochyleni do ziemi, idą dalej. Nie porzucili depresji.

328 Nasza bajka o zmęczeniu nie zna granic i myli kierunki. Śmierć jest bezczelnym kompasem.

329 Podkreślano głębokie cywilne męstwo, wytrwałość i umiejętność podejmowania trafnych decyzji, gdyż zaraz po przebudzeniu brał prysznic, zjadał pożywne śniadanie, bez niczyjej pomocy ubierał się do trumny i samodzielnie wychodził, jak co dzień, na siódmą do biura.

330 Od pierwszych chwil życia topielcy widzą niebo nad sobą.

331 Nie rozumie brutalności depresji. I nie pojmuje tchórzostwa mózgu, który stoi w kącie i nie chce w niczym pomóc.

332 Za ciasne buty – jak każdego dnia. Za ciasne skarpetki, spodnie i koszula. Już zima, na wieszaku niewygodna, za mała kurtka, podbita futerkiem. Za mała kartka, na której próbuje to wszystko zanotować.

333 Gaśnie pragnienie alkoholu. Aniołowie śmierci przemierzają bandaże w zasypianej studni.

334 Kiedy przyznaje przed sobą, że przegrał, przychodzi uspokojenie. Będzie przegrywać z ulgą – bez nagłych porywów i wątpliwości, zjednoczony i pogodzony – do końca świata.

335 Myśli skaczą przez zamkniętą na głucho obręcz. Jak w cyrku, z którego wyprowadzili się sprzedawcy biletów, losów i powrotów.

336 Niekiedy wydawało mu się, że świat wie o jego istnieniu. Wtedy, przestraszony, szkicował dużo listów, których nigdy nie wysłał, a w dzienniku otwierał kącie porad dla samobójców.

337 Czego właściwie się odczyty – życia czy pisania o życiu?

338 Dziennik niby pilnuje porządku podróży, ale tak naprawdę odrywa od wielu ulotnych widoków, a potem, na ostatniej stacji, żałuje się nie notatek, lecz tego, że nie spoglądało się w mijające życie zachłannie lub przynajmniej z umiarkowanym zainteresowaniem.

339 Bruliony opowiadań, szkiców, nie mówiąc już o wielu wariantach wymyślanych od lat wierszy, to komentarze do samego siebie. Wolałyby wyrzec się książek niż utracić zapiski osobiste. Na szczęście książki, które pisze, mu nie wierzą.

340 Na przerwach dzieci bawią się w wojnę i strzelają do innych dzieci. Według opinii psychologów, dzięki temu nie tylko oswajają się z teatrem śmierci, ale również zdobywają kompetencje niezwykle przydatne w przyszłej pracy w korporacji.

341 Nie drogi wracają, a zgięte na krawędziach osobiste notesy, przypadkowe fotografie w albumach i z nagła zmalałe oczekiwania, których nie trzeba upychać w żadnej walizce.

342 Całą noc śnił notatki, od wielu lat marzone lub bezpowrotnie niegdys utracone, kameralne, dłuższe, najczęściej nieznannej miary i wartości, czasem bliskie strzępom elegii. Obudził się z oczami pełnymi popiołu. Tak podnosi się miasto, w którym spłonęła biblioteka.

343 Czcionka Arial chciałaby, aby trwały rytuały, aby każdego dnia odrabiał zajęcia dla chleba, wracał po tych zajęciach do myślenia, czytania i pisania. Jeszcze nie chce mu ujawnić sekretu wracania do alkoholu.

344 Już nie zastępujemy twarzy inną twarzą. Wybieramy maskę nałożoną na maskę sezonu, wieczoru, pięciu minut darowanych naszym słowom lub rysunkom.

345 Jeżeli potrzebny będzie wariant pozytywny i komediowy, to główny bohater nie utonie w siódmej rzeczce, przejdzie wiele dziurawych mostów, pokona niejedną przeszkodę naturalną, bezpiecznie zejdzie z najbardziej stromego i straszego szczytu, wytrzyma bez wody wiele dni na pustyni, ominie każdą pomysłów zasadzkę rozbójników, da odpór pływającym, latającym oraz pieszym drapieźnikom, zaliczy z wyróżnieniem najtrudniejsze egzaminy, zarówno ustne, jak i pisemne, i skróci kark dopiero w chwilę po wyjściu ze szkoły.

346 Bolesnej prawdy nie należy ważyć ani o poranku, ani przedwcześnie.

347 Referent lub inspektor (a nawet starszy inspektor) spotyka prawdziwych przyjaciół dopiero po przejściu przez życie i po minięciu zarzewiałej bramy cmentarza.

348 Neonowe choinki doświetlały najważniejszą ulicę w Królewskiej Hucie, ale brakowało śniegu, królewskości i od dawna nie było huty. Co krok bankomat. Lombardy. Wyprzedaże, ogłoszenia o rychłej likwidacji. W ciemnym antykwariacie, czynnym tylko w soboty, zakurzone przygody nieżyjących ludzi. Sklepy ze zbytciem dostępnym na raty, za złotówkę, w ogóle. Bezbronny szyl: „Księgarnia”. Posprzątano, wyprowadzono książki i wyniesiono półki. Odręczna kartka naklejona na drzwi wejściowe zachęcała, by w kalendarze na nowy rok zaopatrywać się obok, w salonie z używaną odzieżą.

349 Okno sceny pośredniczy w dialogu z wymyślonym, otwartym na sekrety światem. Dużo obiecują również okna ludzkich domów, nawet jeżeli te domy maleńkie. W szkołach wszystkie są przedwcześnie przestraszone i nieodwołalnie gasną po pierwszym dzwonku na lekcje.

350 W szkole – podobnie jak w teatrze – czwarta ściana jest ironią, wszyscy wszystkich podglądają i nie mają niczego dla siebie. Cała reszta przedstawienia jest równie smutna i z góry przesądzona – uczniowie siedzą na dekoracjach, gapią się w dekoracje i sami stają się dekoracją.

351 Opustoszałe pulpity ławek, odświeżone, pomalowane na zielono i odświętnie, drażniące zapachem, zwrócone twarzą w niebo, na podwórku, które kąpie się w słońcu i upale, podczas apelu poległych uczniów.

352 Kiedy zanika zdolność oddzielenia niedogodności pracy od niedogodności życia, wszystko staje się straszne.

353 Nadzieja zarosła w plenerze gęstymi brązami, ostatkami zieleni i zrezygnowaną czerwienią, poprawioną cieniem. Don Kichot szukał wiatraka, a doczekał się jesieni. Na jedno wyszło i już nigdy z tej notatki nie wyjdzie. Jak my wszyscy z życia, nawet jeżeli jutro życia zabraknie.

354 Oczy mają własną, utajnioną i wewnętrzną biografię, która ostatnia opuszcza powieki.

355 Przepaść zwróciła się przeciwko samej sobie, odwróciła się przekornie, stanęła na środku drogi. Lu-

dziom, koczującym w mieście, zmieniła się w absurdalne schody, niezdolne do współczucia, nieprzydatne do łatwych, widowiskowych upadków w dół i na zawsze.

356 Według bezpłatnej gazetki pouczającej o higienie psychicznej: „pomaga nawet ruszanie palcem w bucie”. Chciałby spróbować, ale zarówno palce, jak i najmniejsze paznokcie u nóg nie wybaczą butom kolejnej przegranej batalii o życie.

357 Na ścianach dyplomy i oprawione fotografie. Każda kolorowa, uśmiechnięta, u szczytu powodzenie. Na półkach statuetki i puchary – solidne, ciężkie, z brązu, żelaza, węgla. Depresja wynagrodzi bardziej hojnie. Rozmnoży bez umiaru ściany i pomaluje je na czarno. Sufit opadnie każdemu na wyciągnięcie ręki.

358 Alkohol pilotuje człowieka po swojemu i nie tyle chroni przed katastrofą, ile przeobraża ją w wiarę i nadzieję, a chwilami nawet w miłość. Nawet jeżeli zabrakło kogoś, komu można pozostawić spadochron, nie wykorzystany z powodów osobistych i nieodłożony na lepszą okazję.

359 Publiczność teatryku dla dzieci jeszcze nie wie, że wolność to umierająca pacynka, która wymknęła się z dłoni animatora na zawsze.

360 Poczul się sztucznie, niepewnie, niesprawnie i kłopotliwie. Co można powiedzieć o czymś, co ma początek, ale nie umie się dobrze skończyć? Czy komukolwiek, w czymkolwiek, można pomóc za szczerym pisaniem?

361 Poinstruowano, że niewielki zeszyt leżący na stoliku, w centrum, to dziennik pokładowy, który wypełnia każdy nowo przybyły lokator celi śmierci.

362 Ze swym strachem trzeba się jakoś ukryć przed strachem, ale nie pamiętamy adresu, pod który wysyłaliśmy do siebie ociemniałe i puste pocztówki.

363 Miał w sobie piękno śmierci, stroił się w nią długo, dokładnie. Nauczyciele nie tolerowali takiej ekstrawagancji, więc ukrywał prawdę pod szarym szkolnym mundurkiem.

364 Samobójstwo jest najbardziej oczekiwanym, najważniejszym podarunkiem. Co prawda byle jak, a nawet obrzydliwie opakowanym, ale wbrańcom to nie przeszkadza.

Wiem gdzie mieszka

Wiem gdzie mieszka poeta pan Piotr
W Podkowie Leśnej
Ale to nie wszystko – siedzę przy jego domu
na ławeczce
i on nie wie nie wygląda przez okno
nie przygląda mi się gdy przezywam to
co mają w sobie
kobiety zakochane w kimś kogo się nie zna
To jedna z największych z kimś przyjemności
dla których niektóre są gotowe
rzucić się z mostu wejść do płomienia
wraz z jego słowem jego uśmiechem
widzianym w telewizji może nawet prawdziwym
dokuczliwie obecnym dla kogo innego
sądząc z wierszy jego tak autentycznych
podniecających jak ciepło ławki pode mną

i jeszcze dopisuję takie strzępy myśli:
że jestem tak blisko niego osiemnaście metrów
że jest świat który – jak się wydaje – prócz pana Piotra
znam tylko ja – naprawdę mam go w całej sobie
i ciepłem przytulenia dałabym z siebie wszystko
gdybyż chciał mi zamknąć usta
kłującym policzkiem
jak w tym wierszu z linijką brzmiają:
„ale to nie wszystko”

Dzień zwycięstwa

Sędziowie, umierając z nudów, uwierzyli bandycie,
jego zapewnieniom o niewinności,
i wygrał ten diabelski proces wbrew protestom zdumionych aniołów,
odniósł zwycięstwo,
lecz potem jego myśli przeszły w lęk drogą tak krętą, że schodząc
z ósmego piętra sądu najwyższego, zaczepił butem o beton powietrza
i spadł, łamiąc rękę ciała swego, co sąsiadowi wbiło nóż w wątrobę,
a chirurdzy i tak mu tę kość jego naprawili, wszak każdy ma prawo
żyć jak człowiek, jak przepis – owo sumienie oceanów dobra – nakazuje,
i wyniósł się gdzieś na prowincję, on tam gdzieś jest, ten zwycięzca,
pewnego dnia go spotkasz na zapomnianym przystanku tramwajowym
i nic mu nie zrobisz, bo tamten od dawna leży w grobie, tamtego wątroba
została zjedzona przez czerwce, a sędzia zapomniał, że wziął pieniądze
za to, by ten mógł żyć spokojnie i godnie. Żgodnie z potrzebą. Niech żyje!

Siedzenie bezpowrotne

Gry karciane, gry pionkowe, flaszka wódki,
nawet szachy, które wymagają myślenia co się zowie,
to pomysły bezcelowe, dla samej zabawy, to strata czasu.
Rzeczy do oglądania i fajnego spędzania
niepotrzebnych godzin życia.
Pewnego dnia chwyta cię za gardło
straszny żal, okrutne poczucie przegranej,
że grałeś i siedziałeś, niszcząc swym ciężarem krzesło,
gdyż meble cofają się ku ziemi, zgniatają się pod tobą
i tracą dynamiczną zdolność reakcji, bez powrotu,
umierają razem z tobą, tak jak ty.

Pamięć

Kiedy myślę o niej dawno odeszłej
ściska moje piersi tak przejmujący żal
że nie potrafię wykrztusić ani słowa
To jest jak obręcz stalowa
założona na głowę skręcająca w śrubę
Kiedy myślę o tobie i szukam wyrazu zachwytu
nie potrafię nic znaleźć w słowniku
nic ponad banał zupełnie niegodny
twojego imienia i muszę zamilknąć
najlepiej oddać się snom
aby tęsknota nieudolność chwaleń
oprzytomniały razem ze mną
przynajmniej na tę jedną chwilę
kiedy odmrażam centrum myśli

Szachista

Jeszcze kilka ruchów i będzie...
jeszcze ścieżka do przebiegnięcia przez gońca
dróżka wzmocniona przez wieżę
i twoje blade zmęczone spojrzenie padnie na drzwi
a tam wciąż nie ma syna córka nie wróciła
jeszcze są pod gradem rakiet bijących tych
co nie wiedzą że gra się toczy jak pusta beczka
i zabija wszystko po czym jedzie
zawsze gdy ruchy kuli ziemskiej
przejmuje instynkt bandyty
Czyngis Chana, Hitlera, Stalina, Putina

Wielka Noc

Krzyż to męka nie do wiary.

I na krzyżu życie ginie.
W Syrii i na Ukrainie.
Święte było zdjęcie z Krzyża
i Ożycie. Twoje życie też się przyda.

Gdzieś lub w domu. Ty wiesz komu.

Pan Stanley

Polski poeta nazwiskiem Stanley D. z Rzeszowa
niesprawiedliwie napisał o pewnych moich wierszach, że
„Brak dyscypliny językowej, cienkie obrazy, takie zapiski”,
i zrobiło mi się go żal, zirytowały go redundancje,
czuję całym ciałem, jak go te wiersze zabolowały.
Nie powinny były. Pisałem krytycznie, ale życzliwie.
Patrzyłem przez okno na uwijające się ptaki
i pisałem tak, jak o nich myślę: całkowicie.

Co się dzieje w czasie poezji

dla (teraz już: ku pamięci) Jerzego Kronholda

O kłamliwych newsach udających poezję

Gazetowa poezja dobija zmurszałego pod czapką
czytelnika, który by chciał odskoczyć
od czoła tłumy falującego
odruchowym wznoszeniem rąk na „tak”,

gdy ideolog jednoliceńca
znów psuje powietrze
elektroniczną formułą płci i Boga,
genetyką myśli, fizycznością filozofii.

Poezja zlasowana jak to wapno w dole,
dokąd wyrzucają zwłoki
dla rozpuszczenia (wbrew zasadzie)
nazwisk, kraju i historii.

Piosenka im zastępuje czystość wypowiedzi.
Na co te zgrabne jej cytaty, skoro powtarzalne,
podwładliwe wrażenia, niuchy propagandy,
a metafora o treści sprawnie nieodkrywczej?

Sztuczny świetlik wygniatąją łokciem
w ścianie pudła po skarpetkach,
a prawo aż się prosi o głos za głuchym
w labiryncie, w którym wegetują ślepcy.

Wystarczy podnieść koc, a zobaczysz gwiazdy,
co bledną, gdy słońce wychodzi na horyzont,
aby dokarmić skórę, rozewrzeć ci oczy,
a drzewa dozielenić, by znaczyły życie.

A i z prawem porządek by zrobić trzeba
wykałaczką dłubiącą w podgniłych wersach,
blacha na dachach jest już do zerwania,
niech się uwolni strych z uwięzienia.

Uwaga, mikrofon, nie dotykać

Mam oskarżać?
Czy bronić?
Na końcu mojego palca setki tysięcy
bakterii
Na końcu twojego miliony
miliardy
dwa podobne palce
w ustach też są takie liczby
że trudno zrozumieć
na czym ten świat stoi
chyba już nie na pieniądzech
mam ich tylko dziesiątki
Na wyobraźni
na dwóch kulawych nogach
na wyraźnym
powiedzeniu jednego słowa
mam tylko jedno
a tak trudno je z siebie
wydostać

Wspaniały poeta Jerzy K.
zapytał w Bratysławie
czy wiem co się dzieje
kiedy się dobieramy do poezji
gdy ona sobie składa ze słów wszechobecność
to wszechbycie
to celowe błędzenie w okrażeniach
z których powstaje gruda –
tak, to było w Krakowie –
gruda pięści zaciśniętej przeciwko biciu
nie – to w Gliwicach lub Katowicach –
i chmura lekarstwa na zatrucie
złym słowem – w Warszawie, w Gdańsku –
nadskuteczne antidota i szczepienia
przeciw pogardliwemu unieważnianiu
naszego istnienia

Ona zakwita –
w Szczecinie –
w moim brzuchu
w twojej głowie
Powiedziałem że wiem
co się dzieje w szyszynce
i w grasicy i wszędzie gdzie
jest moje wnętrze
bo służy żeby powstająca poezja
odkrywała niewiedzę o przyszłym
odczuciu matematyki scalenia
w której trzeba aż dzielić przez zero
aby nas zauważyli

byś uczył się z niej
goić skaleczenia po wojnie ruskiej i pruskiej
czytać z czysto ludzkiego krzyku
i z tego dzisiaj czerpać przeczcucia
które są tak prawdziwe
że aż dzieją się w myślach!

Tak
to ma być w pojęciach i definicjach –
i w tobie gdy patrzymy na siebie z bliska

Już się domyślasz – także we mnie...
Nasza poezja to matka bolesna

We mnie przed naszym rozstaniem
po paru sekundach spotkania
i w tobie na dziesięć lat następnych
wspólnych przez pozór nieobecności
aż do wybuchu w burzy myślenia

To ma karmić tysiąc miesięcy dni miliony
bo już nie wiemy czy to się skończy
jutro czy może nigdy
a w każdym razie będzie w nas
pączkować tysiącami poezji
różnych i poznaczonych łaską muzyki
albo rzeźby

by zrozumieli inni
że nic się nie liczy
tylko przyjaźń siostra miłości
która niedowiarkom krzyczy:
to się dzieje i tylko w czasie poezji!

(1971, 1977, 2022)

Dziennik zdruzgotanego życia (14)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

„Rosjanie są wobec Ukrainy zazdrośni o Polskę... – i nawet gdy sami Polacy twierdzili, że ich kraj jest do dupy, tylko kiwałem głową: „oj, nie widzieliście wy prawdziwej dupy”.

Jurij Andruchowycz, *Kraina marzeń*,
[w:] „Diabeł tkwi w serze”, tłum. Ola Hnatiuk

Na froncie zacięte walki na kilku odcinkach, walka ze skutkami zalania przez wody Dniepru po uszkodzeniu zapory w Kachowce; po rosyjskiej stronie w rejonie Biełgorodu potworny bałagan, a żołnierze rosyjscy, korzystając z ewakuacji cywilów, ogoławają ich opuszczone domy i mieszkania ze wszystkiego, co nadaje się do wyniesienia. Nad pozostałą częścią Ukrainy rakiety i drony, które stały się już stałym elementem tej wojny. Na froncie dyplomatycznym zabiegi Ukrainy i życzliwych jej państw, w tym Polski, o wytyczenie jej drogi do NATO. Anna? Żyje swym codziennym życiem, pomiędzy pracą a domem, niezmiernie pełna niepokoju o siebie i najbliższych, ale także nadziei na powrót normalności. A ja w tym czasie staram się przygotować program jej wrześniowej wizyty. Wygląda na to, że oboje mamy lekką treść, albowiem oko w oko spotkamy się po raz pierwszy.

16.06.2023. Witaj, mój drogi. Dziś na całej Ukrainie od samego rana alarmy i oczywiście rakiety. Najbardziej intensywny atak miał miejsce w Kijowie. Nie mam jeszcze całkowicie pewnych wiadomości, ale wygląda na to, że wszystkie zostały zestrzelone. Oni w najbardziej zawzięty sposób ostrzeliwują Kijów, kiedy tam przybywają z wizytą ważni przedstawiciele innych państw. No tak, chcą pokazać, jacy są potężni, choć chyba mało kto już w ich potęgę wierzy. Ale dzisiaj to już osiągnęli poziom igrzysk groteskowych; w Kijowie pojawili się, wpuszczeni przez Putina w tzw. maliny przywódcy kilku afrykańskich państw, by proponować jakiś rozjem. No a dyktator pokazał, jaki z niego gołąbek pokoju. Jaka w tym logika? No właśnie taka, jaką Żydzi określają jako „pretzel logic”. Logika precla, to bardzo trafne określenie dla sposobu myślenia Putina i w ogóle rosyjskich strategów. Sądzę, że słusznie podejrzewasz, że on pokazuje, że cały świat ma gdzieś. Chwilami mnie to jednak przeraża, bo kiedy on wciąż postępuje tak samo, wydaje mi się, że jest wieczny. Trochę mnie pocieszyłeś, pisząc, że każdy dyktator zmierza do tego samego końca, w hańbie i niesławie, bo takie jest prawo historii. Oby jak najszybciej.

No cóż, wyszło szydło z worka. Przywódcy afrykańskich państw przybyli do Kijowa, by skłonić prezydenta Zeleńskiego do zawieszenia nakazu aresztowania Putina. Były ze strony afrykańskich polityków także inne sugestie, ale zdaniem strony ukraińskiej goście nie poświęcali im zbyt wiele uwagi. Poza tym, nie wydaje się, żeby zmasowany atak rakietowy na Kijów przekonał ich bardziej do starań o cel nadrzędny ich wizyty. Natomiast Ania przygotowuje się psychicznie do wizyty w Polsce i czekających ją spotkań z czytelnikami.

17.06. Cały czas o tym myślę. Po pierwsze uważam, że to wielki zaszczyt dla mnie; nigdy o czymś takim nie myślałam i nie sądziłam, że to może się kiedykolwiek wydarzyć. Jestem podekscytowana, ale jednocześnie czuję, jaka odpowiedzialność na mnie spoczywa. Będę miała szczęście opowiedzieć w Polsce o tym wszystkim, co się u nas dzieje. Uważam, że moim celem nie będzie przedstawianie nas jako tragicznych męczenników, proszących wciąż o pomoc, ale przekazanie ludziom w Polsce, że to, co stało się u nas, może stać się udziałem każdego kraju.

Taki rodzaj ostrzeżenia. Także i to, że ze złem trzeba walczyć aż do końca. Sprawiedliwość zawsze zwycięża, ale konieczna jest siła ducha i jedność.

Zastanawiam się, co ja powinienem wnieść do tego spotkania. Chyba przede wszystkim próbę przełamania stereotypów – kulturowych, narodowościowych. Poza tym uświadamiam sobie, jak niewiele wiemy o Ukrainie, jej historii, tradycjach. Będę starał się namówić Annę, żeby choć trochę, na tyle na ile zdąży, tę wiedzę nam przybliżyła. Poza tym chciałbym podkreślić wagę indywidualnych kontaktów. To jest moim zdaniem najsolidniejsza podstawa wzajemnego zrozumienia; nie wystąpienia polityków, nie doniesienia mediów, choć oczywiście ani bez jednych, ani bez drugich nie możemy się obejść. No i rzecz najważniejsza – zapewnić Annie czytelnym przekaz o wojennej rzeczywistości, codziennej, nie zawsze efektownej, ale zasługującej na najwyższy szacunek. Ale to będzie w września, a codzienność jest teraz, dzisiaj; była wczoraj i będzie jutro...

19.06. *Dzień dobry, mój drogi. U mnie wszystko dobrze i jestem w pracy. Jak dobrze? Bardzo dobrze. Jestem wyspana, bo mieliśmy pierwszą spokojną noc od długiego czasu. Żadnych dronów, rakiet ani syren. Nie masz pojęcia, jaki to luksus.*

Kontrofensywa rozwija się na wielu kierunkach. Jej tempo nie jest oszalałające, ale eksperci dobrze je oceniają i twierdzą, iż przy wciąż istniejących dysproporcjach w uzbrojeniu i liczebności wojska nie należy spodziewać się błyskawicznych postępów. Tym bardziej, że Rosjanie zdają się wyciągać wnioski z wydarzeń minionych miesięcy i postępują nieco rozważniej. Anna od kilku dni milczy, zajęta swoimi sprawami. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak zająć się swoimi.

23.06. *Jak się masz, mój drogi? U mnie wszystko w porządku. Mam kilka wolnych dni. Chłopcy nagle zdecydowali się odwiedzić ciotkę w Odessie, a ja zabrałam Sofię i mamę do naszego domku na wsi. Chcę pomóc mamie w pracach ogrodowych. Tylko, że tu niemal nie działa internet.*

A zatem Ania pomaga mamie w ogrodzie, a ja poszerzam wiedzę o Ukrainie. Właśnie ukazała się praca wybitnego ukraińskiego historyka, Serhija Plokhya, „Wrota Europy” z podtytułem „Zrozumieć Ukrainę”. Historia niewykorzystanych szans, wielu niepotrzebnych konfliktów. Jednocześnie dość klarowne wprowadzenie do sytuacji obecnej. Poza tym wiele niezwykle interesujących, a dla większości z nas, jak sądzę, zupełnie nieznanymi epizodów z dziejów tego kraju. Ot, choćby historia Doniecka, jednego z najbardziej uprzemysłowionych miast Ukrainy, a zarazem centrum wielkiego okręgu przemysłu wydobywczego i ciężkiego. Początki hutnictwa w tym rejonie wiążą się z klęską Rosji w wojnie krymskiej. Mimo, że Wielka Brytania była jednym ze zwycięzców, car udzielił w 1870 roku koncesji na założenie huty przedsiębiorcy z Walii, którym był John James Hughes. Kiedy inwestycję ukończono, okazało się, że tamtejszym przedsiębiorcom komplikuje życie brak kolejowego połączenia z Moskwą i Petersburgiem. Linię w dość krótkim czasie wybudowano, a pierwsze 200 kilometrów także były dziełem Brytyjczyków. Taki był początek Juzowki, która zmieniła oblicze południa Ukrainy; Juzowki od nazwiska Hughesa. W 1924 roku Juzówkę przemianowano na Stalino, a nazwa Donieck pochodzi z 1961 r.



Anna Gurbicz

24.06. Wróciłam wieczorem do miasta i pracuję na nocną zmianę. Mam nadzieję, że ta noc będzie w miarę spokojna. Poprzednia była koszmarna. Fajnie, że czytasz takie książki. Dzięki tej będzie ci łatwiej pojąć, co się u nas dzieje i co nas napędza. A teraz spójrz na Rosję. Tam się właśnie pisze najbardziej surrealistyczna opowieść, jaką znam. Przyznam, że to przekracza moją wyobraźnię. Nie rozumiem postępowania Prigożina. Zainicjował przewrót i zabrał się do tego całkiem nieźle. Szedł na Moskwę, powodując całkiem sporo paniki. A teraz nagle, ni z tego, ni z owego robi razem ze swoim wojskiem w tył zwrot. Żołnierze grzecznie wracają, a on daje dyla na Białoruś. O co tu chodzi? Jaki był cel i jaka logika tego burdelu, bo trudno to, co się porobiło, inaczej nazwać. Dowiemy się za 50 lat, czytając kolejną wersję „Tajnej historii Mongołów”? Być może masz rację. Dobra. Tyle na dziś. Idź już spać, bo robi się późno, i nie czytaj za długo. Dobranoc.

Niedziela dniem domysłów i spekulacji, ale tak naprawdę niczego ponadto. Na różnych odcinkach frontu zacięte walki.

26.06. U mnie wszystko w porządku. Wróciłam do domu i odrabiam zaległości w porządkach i temu podobnych.

Niedoszły przywódca niedoszłego puczu, Jewgienij Prigożyn, odnalazł się na Białorusi, jaki będzie los puczystów dokładnie nie wiadomo, ale wiadomo, że to tylko kwestia czasu, i przestaną być puczystami. Tymczasem na cywilne obiekty Ukrainy spadają nadal rakiety, a na terenach okupowanych ostrze rosyjskiej nienawiści zwróciło się przeciw nastolatkom, ponieważ ci młodzi ludzie odważają się mieć w nosie „russkij mir”. Dwu młodocianych zastrzelono, żeby pozostali nie mieli wątpliwości w skuteczność „miru”. Przeróżające? Owszem, i to bardzo. Ania korzysta z kilku wolnych dni i zajmuje się dziećmi.

28.06. Witaj, Witku. Chłopaki wrócili z Odessy. Wygląda na to, że ich pobyt był bardzo udany. Mają mnóstwo miłych wspomnień. Sprawiają wrażenie szczęśliwych, a kiedy oni są szczęśliwi, ja też jestem szczęśliwa. Ponieważ nie miał kto zająć się Sofią, wzięłam kilka dni wolnego. A jutro wracam do pracy.

29.09. Najnowsze wieści z frontu i dobre i bardzo niepokojące. Te dobre są takie, że nasze wojsko posuwa się do przodu na kierunku bachmuckim. Natomiast niepokojące, i to bardzo, dotyczą możliwości rosyjskiego ataku na elektrownię atomową w Enerhodarze koło Zaporozża. Gdyby do czegoś takiego doszło, czeka nas niewyobrażalna katastrofa. Powoli wszyscy tu nabierają przekonania, że ten atak prędzej czy później nastąpi. Władze zarządziły szkolenia i ćwiczenia dla wszystkich służb na wypadek takiej sytuacji.

Pocieszam Anię moim powiedzeniem, że lepiej na zimne dmuchać. Być może chodzi o to, by uniknąć powtórki sytuacji z Kijowa, gdzie niemal połowa schronów okazała się niedostępna – były bądź zamknięte naглуcho, bądź w stanie nienadającym się do użytku. Ania nie sprawia wrażenia specjalnie pocieszonej.

Obyś miał rację. Jednak rząd zbyt często ostatnio przypomina nam o takim zagrożeniu. W każdym razie myśl o czymś takim napawa mnie przerażeniem.

W mediach jak niemal co dzień mnóstwo cytatów wypowiedzi ważnych osób, które podejmują decyzje, czasem znaczące, a czasem będące jedynie słowami, parawanem dla bezradności. Tymczasem najważniejsze jest to, co robią tysiące ludzi tonących w błocie okopów, wdychających kurz, w mundurach przesiąkniętych zapachem prochu, często trzymającym odorem. To oni decydują o ważności wypowiedzianych w marmurowych salach słów, o znaczeniu i skutkach podejmowanych tam decyzji.

30.06. No wiesz, mogę się pod tym, co piszesz podpisać obiema rękami. Z mojej perspektywy też tak to wygląda. A perspektywy mojej codzienności? Noc minęła w miarę spokojnie, tylko drony od czasu do czasu brzęczały. Co poza tym? Rosjanie zaczęli wycofywać się z terenu elektrowni. Także zmniejszyli liczbę patroli w okolicy Enerhodaru. Mają się całkowicie wynieść na Krym do 5 lipca. A potem? Bóg jedyny wie, co nas dalej czeka. „Pamiątki” czy niespodzianki? Wiesz dobrze, że po tych sukunsynach można się wszystkiego spodziewać. Pożyjemy, zobaczymy. A ja dziś cały dzień w pracy.

Ania zamilkła na kilka dni, nie po raz pierwszy zresztą. Byłem w tym czasie zdany na media, a z doniesień wynikało, iż przeciwnatarcie ukraińskie, owszem, przynosi efekty, ale i Rosjanie wyciągnęli wnioski z ubiegłorocznej lekcji, więc wojska ukraińskie posuwają się wolniej, niż zakładano. Ponadto, w przeciwieństwie do Rosjan, nie stosują taktyki „mielonego mięsa”.

4.07. Dzień dobry, mój drogi. Przepraszam, ale byłam w tych dniach w takim stanie, że nie mogłam z niczym nadążyć. Coś stało się z moimi oczami. Są zaczerwienione i opuchnięte. Miałam problem z patrzeniem, zwłaszcza na ekran komputera. Dziś jest już nieco lepiej, ale wciąż jeszcze daleko do stanu normalnego. Radzisz mi, żebym poszła do lekarza. Słuszna rada tylko, że lekarz to ostatnia instancja, że tak powiem. Ciężko się dostać, więc dopóki można, radzimy sobie domowymi sposobami. Zmierzamy do Europy, ale jeszcze nie dotarliśmy.

Ostrożnie, ale staram się chłodzić zapalony Ani wobec europejskiej służby zdrowia. Są europejskie kraje, gdzie delikatnie mówiąc, ta instytucja nie działa jak należy. Zbiurokratyzowany monetaryzm pokazuje tam pacjentom, mówiąc przenośnie, część ciała, jakiej woleliby nie oglądać.

5.07. Od wczoraj żyjemy w niesamowitym napięciu. Nasze władze ogłosiły, że na reaktorach elektrowni w Enerhodarze Rosjanie rozmieścili ładunki wybuchowe i zagrozili, ale jak to oni – nie wprost, że w ciągu minionej nocy je zdetonują. Ich ko-

munikat mówił o planowanym prowokacyjnym ataku na elektrownię ze strony naszych sił powietrznych. Co do prowokacji nikt im nie wierzy, bo to wbrew wszelkiej logice, natomiast taka zbrodnia z ich strony jest jak najbardziej realna. Jestem dziś w pracy, ale potwornie niewyspana, bo myśląc o tym nie spałam całą noc i dziś oczy same mi się zamykają. Nie wiem, jak przetrwam dzień, ale przecież jakoś muszę. Przewyciężyć senność i ten wiszący nad nami koszmar.

Nad miasta i ich cywilne obiekty, m.in. szpitale, wciąż nadlatują rakiety i drony. Są ofiary, także wśród dzieci. W mediach pojawiają się komentarze na temat prawdopodobieństwa najgorszego rozwoju sytuacji w Enerhodarze, a Anię, mimo jej wyczerpania fizycznego i psychicznego udaje się namówić na małą chwilę wspomnień.

Moje najbardziej żywe i wyraźne wspomnienie z dzieciństwa, to kiedy idę z mamą do cerkwi i spotykamy sąsiadkę. Jest niedzielny poranek, a ona mówi do mamy: Ola, wracajcie do domu, biegiem. I zamykajcie okna i drzwi. W Czarnobylu stało się coś strasznego, potworny wypadek. Oczywiście niczego nie rozumiałam. Co za wypadek? Coś się komuś stało? Ktoś wypadł za okna, wpadł pod samochód? I co do tego mają okna i drzwi? Jednak zachowanie dorosłych podpowiadało mi, że musiało się wydarzyć coś naprawdę przerażającego. Jeszcze dziś sama nazwa Czarnobyl wywołuje u mnie przykre skojarzenia. Ta scena powracała do mnie wielokrotnie minionej nocy, a i teraz, kiedy słyszę komunikaty i polecenia, mam ją przed oczami.

Zachód w dziwny sposób dokonuje meandrów, deklarując w dalszym ciągu poparcie, jednak co chwilę pojawia się jakieś „ale”. Cóż to może obchodzić Annę? Jej zmartwieniem są nieprzespane noce, którym zdaje się, że nie ma końca.

6.07. Dzień dobry, Witku drogi. Jakbyś zgadł. Kolejna nieprzespana noc. Przez pół nocy duża część kraju starała się odgadnąć, gdzie trafią rakiety wystrzelwane przez tych palantów. Bardzo ucierpiał Lwów, a rakiety lecące początkowo w kierunku Kijowa nagle zmieniły kierunek. Nad naszym miastem ciągle było słychać brzęczenie tych cholernych dronów. Nasze reakcje na przeróżne dźwięki bardzo się, że tak powiem, zmilitaryzowały. Słyszymy wybuch i od razu wiemy: oho, nasi zestrzelili drona. Inny dźwięk mówi nam o zestrzelonej rakiecie. A taki o szczególnym natężeniu? No cóż, rakietą trafiła w cel. Po każdym wybuchu wysyłamy odpowiednie wiązanki pod adresem nadawców. Założę się, że słowa, których używamy, nie są ci obce. O nie. Nie musisz się martwić, tych słów nam nigdy nie zabraknie. Mamy ich dosyć na składzie.

7.07. Kolejna „rozrywkowa” noc w wykonaniu dronów. Nasi zestrzelili wszystkie, ale niestety, odłamki spadły na samochód i dwóch mężczyzn zginęło.

Tragiczny atak raketowy na Lwów (10 ofiar śmiertelnych) nabiera dla mnie, a zwłaszcza dla mojej żony, bardziej osobistego wymiaru. Na zdjęciu i na podstawie lokalizacji rozpoznajemy dom, w którym mieszkał jej pradziadek, filozof i rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza, prof. Kazimierz Twardowski, twórca lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej. W całym obecnie bardzo uszkodzonym kompleksie budynków mieszkało wielu przedstawicieli lwowskiej inteligencji, głównie pracowników naukowych Uniwersytetu. Dom uznawany był za zabytkowy.

8.07. Tak właśnie się objawia problem, którym jest to wojna. To zagrożenie nie tylko dla nas, dla Ukrainy, ale także dla całego cywilizowanego świata. Tylko czy świat zdaje sobie sprawę ze skali tego zagrożenia, oto pytanie. Gdyby od-

powieź była przecząca, byłby to kolosalny błąd. To w skali makro, a w mojej małej skali? Nie jest źle, jestem w pracy i muszę znosić potworny upał. Jest nie do wytrzymania. Chyba wypróbuję swoją metodę z gorącą herbatą. Powiadasz, że nauczyłeś się tego od Arabów, no a oni coś niecoś wiedzą na temat upałów. W każdym razie niecierpliwie czekam na deszcz. Powiedz mi jeszcze, czy denerwujesz się przed jutrzejszą podróżą? Nie? Bo ja się zawsze denerwuję.



Witold Turant

Kilka dni przerwy w naszej korespondencji. Jestem w podróży i wymieniamy tylko pozdrowienia. Przesyłałam Annie zdjęcia z co ciekawszych miejsc, które odwiedzam. Jak twierdzi, daje jej to poczucie życia w normalnym świecie.

23.07. Cieszę się, że szczęśliwie dotarłeś do domu. Domyślam się, że podróż miałaś udaną i bezpieczną. Zdjęcia były bardzo ciekawe, niektóre piękne, ale brakowało mi naszego pisania. U mnie nic nowego. Wszystko w porządku. Jestem w pracy i jak zwykle staram się wiązać koniec z końcem.

24.07. U nas ostatnio w miarę cicho, za to Odessa bardzo ucierpiała. Nie obyło się bez ofiar wśród cywilów. Muszę zgodzić się z twoją teorią, że Rosjanie jakby się uwzięli, żeby likwidować wszelkie historyczne ślady swojej obecności w Ukrainie. W Odessie zniszczyli lub uszkodzili wiele zabytków w ostatnich dniach. Nie wspominam nawet o już unicestwionych przez nich innych potiomkinowskich miastach. Pytasz, jaka jest tego przyczyna i jaki cel. Ja także nie wiem.

W mediach zdjęcia, pokazujące zniszczenia w historycznym centrum Odessy. Zasmucające. Także informacje o spodziewanym wkrótce przybyciu delegacji UNESCO, która ma ocenić straty. Wiele zabytków tego miasta znajduje się na liście tej organizacji. Inny dramat, wywołujący międzynarodowe poruszenie, to zerwanie przez Rosję tzw. umowy zbożowej i ostrzeliwanie ukraińskiej infrastruktury portowej, także w Odessie. Zdaniem komentatorów jest to zwyczajne niszczenie konkurencji, jako że oba kraje należą do światowej czołówki eksporterów zboża.

* * *

Anna zdecydowała się na krótką wizytę w Polsce. Wraz z Redakcją „Śląska” zapraszam na spotkanie ze współautorką naszego „Dziennika” do Miasta Ogrodów **21 września o godz. 18.00**. Przypomnę, że z Anną Gurbicz rozmawiam już ponad rok. W różnych nastrojach. Czytelnicy „Śląska” mieli możliwość prześledzić całą ich grę; od uniesień frontowymi sukcesami do głębokiego smutku, a nawet depresji wywołanej wiadomościami o zbrodniach i niepowodzeniach, a także, co oczywiście, troską Ani o najbliższych, a zwłaszcza o dzieci.

Podczas spotkania Anna chciałaby osobiście opowiedzieć naszym Czytelnikom o codziennym życiu ukraińskich cywilów, kobiet w szczególności, o wojennej rzeczywistości, o wielkich smutkach, ale także małych radościach, bez których ich życie byłoby nie do zniesienia, a także podziękować za pomoc i wsparcie, jakiego doświadczają Ukraińcy ze strony polskiego społeczeństwa.

Wydarzenie uświetni koncert wirtuozki tradycyjnego instrumentu Ukrainy, bandury, Margaretę Storonian-skiej. W jej wykonaniu usłyszymy utwory kompozytorów ukraińskich i polskich.

Duszpasterz Akademików

Z ks. dr. STANISŁAWEM PUCHAŁĄ

rozmawia PIOTR SKOWRONEK

Duszpasterz akademicki, współtwórca Sacrosongów, proboszcz Katedry Chrystusa Króla, współtwórca katowickiego Hospicjum Domowego, obecnie kapelan kaplicy na Kopalni „Guido”. Skąd takie bogactwo ról życiowych? I która wydaje się najważniejsza?

Pewnie tak to jest, że Opatrzność Boża stawia nas w określonym miejscu i czasie, stawiając przed nami konkretne zadania do wypełnienia. Z tej perspektywy patrząc na moje kapłaństwo. Przed rozpoczęciem studiów w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym na pytanie przełożonych: dlaczego? odpowiedziałem: chcę służyć Bogu i ludziom. Za tem na różne propozycje duszpasterskiego działania, nie mogłem odpowiedzieć inaczej, jak tylko: jestem gotów, podejmuję wezwanie, choć nie bez lęku czy tremy. Akurat moje kapłańskie życie realizuje się w takim czasie i w takim miejscu, że tych zadań rzeczywiście zebrało się bardzo wiele. Które z nich jest najważniejsze? Każde, ale myślę, że ten czas, kiedy przez 17 lat byłem diecezjalnym duszpasterzem akademickim, był szczególny. Z duszpasterstwem akademickim zetknąłem się już podczas studiów, gdy byłem zaangażowany w duszpasterstwo u Ojców Dominikanów i u świętej Anny w Krakowie. Po przyjęciu święceń kapłańskich zostałem skierowany do parafii świętego Krzyża w Siemianowicach, a następnie świętych Apostołów Piotra i Pawła w Katowicach, gdzie zlecono mi między innymi duszpasterstwo studentów, no i wreszcie w 1981 roku zostałem mianowany diecezjalnym duszpasterzem akademickim. To kawał mojego życia. To czas, który mnie też formował, kształtował i budował pewną postawę otwarcia na ludzi, współdziałania, wsłuchiwanie się w potrzeby młodych. Dlatego kiedy o tym wszystkim myślę, sądzę, że to tam uczyłem się postawy, którą dzisiaj nazywa się synodalną, czyli słuchania i działania, zauważania potrzeb i reagowania, szukania odpowiedzi na rodzące się pytania w postawie dialogu. Każdy czas jest dla mnie wyzwaniem. Gdy zostałem proboszczem katedry Chrystusa Króla, a byłem nim przez 15 lat, musiałem realizować inne ważne zadania, które podejmowałem w miarę możliwości i również starałem się być w nie całkowicie zaangażowanym.

Zaś, kiedy osiągnąłem wiek 65 lat musiałem złożyć urząd proboszcza. Wtedy poproszono mnie, żebym objął funkcję kapelana kaplicy św. Barbary w kopalni „Guido” Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze, 170 m pod ziemią. Kiedy otrzymałem to zadanie starałem się i tym razem wykorzystać nowe możliwości, stąd też propozycje Mszy świętych odprowadzanych dla turystów, którzy przyjeżdżają zwiedzać kopalnię, lub też dla ludzi, którzy chcą w tym właśnie miejscu niezwykłym z różnych okazji Msze święte przeżywać. Stałe propozycje Mszy świętych to „Pasterka” w noc Bożego Narodzenia z udziałem orkiestry górniczej, Msza święta w uroczystość Trzech Króli, połączona z rodzinnym kolędowaniem i w piątek przed Niedzielą Palmową „Droga Krzyżowa” kopalnianym chodnikiem. No i teraz, w każdą drugą niedzielę miesiąca w południe Msza święta dla tych, którzy chcieliby w tych niezwykłych warunkach ją przeżyć. Msza św. oczywiście jest ważna i ta sama w każdym miejscu, ale są takie okoliczności, w których w jakiś szczególny sposób się ją przeżywa.

Jak wyglądało duszpasterstwo akademickie na Śląsku?

To bardzo szerokie pytanie, zważywszy, że Duszpasterstwo Akademickie na Śląsku obchodzi jubileusz 75. lat istnienia i działania. Zaczęło się wszystko w 1947 roku, gdy pierwszym duszpasterzem młodzieży studiującej w Katowicach został ksiądz docent Józef Bańka, wówczas proboszcz parafii na Zawodziu, na terenie której znajdowało się Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych. Młodzież uczestniczyła w spotkaniach formacyjnych, wykładach, nabożeństwach, rekolekcjach dla niej organizowanych. Kolejnymi duszpasterzami byli między innymi księża: Franciszek Jerominek, Czesław Domin, Stanisław Sierła, za którego kadencji powstał kościół akademicki w krypcie katowickiej katedry oraz ośrodek duszpasterstwa akademickiego w przyziemiu probostwa katedry, Franciszek Otremba, Stanisław Holona i Oskar Thomas. Do współpracy z nimi, kierowani byli jeszcze inni kapłani.

Szczególnym czasem w historii duszpasterstwa akademickiego były lata osiem-



dziesiąte ubiegłego wieku. Po wyborze papieża Jana Pawła II, po Jego pierwszej pielgrzymce do Ojczyzny, ocknęli się Polacy, nabrali nowego ducha, poczuli się odpowiedzialni za przyszłość Ojczyzny. To był czas rodzącej się „Solidarności”, czas tworzenia się NZS-u, czyli Niezależnego Zrzeszenia Studentów, czas związany ze strajkami studenckimi i naszą – kapłanów obecnością na uczelniach, co było odpowiedzią duszpasterzy na propozycje młodych, którzy wyrażali potrzebę duchowego wsparcia i umocnienia. Organizowaliśmy więc wykłady, konwersacje, prezentacje filmów, dyskusje o tematyce religijnej. Studenci strajkujący na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego pierwsi poprosili o odprawienie Mszy świętej w sali Rady Wydziału. Zaraz potem w innych uczelniach i na pozostałych wydziałach wychodziliśmy również naprzeciw takim potrzebom.

Gdy w grudniu 1981 roku wprowadzono stan wojenny, Kościół Akademicki stał się miejscem budzenia i podtrzymywania nadziei. Był przestrzenią, w której studenci i nauczyciele akademicy spotykali się na Mszy świętej, a po niej przekazywali sobie informacje co do losu internowanych i aresztowanych. Rozpoczął się czas ożywienia życia religijnego i społecznego. Wbrew pozorom, wobec tej trudnej sytuacji, a może właśnie dzięki niej, coraz więcej młodych angażowało się w działalność duszpasterstwa akademickiego. Wtedy tygodniowo przewijało się tylko przez centralny ośrodek duszpasterstwa akademickiego, w którym proponowaliśmy najróżniejsze formy spotkań około 200 osób, więc to było duże poruszenie. W związku z tym, ten mały ośrodek zlokalizowany przy ulicy Plebiscytowej w suterrenach probostwa katowickiej katedry został przeniesiony do dużo większego ośrodka, z ka-

plicią, w podziemiach Kurii przy ulicy Wita Stwosza.

To był czas dużego zaangażowania studentów i nauczycieli akademickich w samym kościele akademickim, gdzie sprawowane były codzienne nabożeństwa, ale organizowaliśmy także różnego rodzaju rekolekcje, obozy, pielgrzymki czy wyjazdy na przykład na Europejskie Spotkania Młodych inicjowane przez wspólnotę ekumeniczną z Taizé, czy Światowe Dni Młodzieży. Podczas wakacji urządzaliśmy rekolekcje oazowe na Starym Groniu, spływy kajakowe czy rajdy górskie. Tych form było naprawdę sporo i to dawało nam szansę wspólnego przeżywania Kościoła, jako naszego miejsca duchowej formacji, kontaktu z Bogiem i z sobą nawzajem.

Wtedy powstał także „Sacrosong”?

„Sacrosong” to Ogólnopolski Festiwal Piosenki Religijnej. Po raz pierwszy miał miejsce 1969 roku w Łodzi. To była konsekwencja bardzo ożywionego działania księdza Stanisława Sierli na polu piosenki religijnej. On był pierwszym propagatorem piosenki religijnej w Polsce. Wykorzystywał ją jako formę ewangelizacji na wzór tego, co robił już w latach 50tych XX wieku Jezuita francuski Ojciec Aimé Duval. W 1968 roku Salezjanin, ksiądz Jan Palusiński duszpasterz akademicki w Łodzi, zaproponował zorganizowanie Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Religijnej „Sacrosong”. To wydawało się wtedy absolutnie nie do zrealizowania, piętrzyły się trudności i przeszkody, a jednak się udało, z pewnością dzięki dużemu poparci, jakiego udzielał temu przedsięwzięciu kardynał Karol Wojtyła. Z Katowic do Łodzi wraz z księdzem Sierlą pojechało kilkunastu wykonawców. Byli wśród nich i klerycy, a nawet siostry zakonne. Zdobywaliśmy nagrody, wyróżnienia i Puchar przechodni kardynała Karola Wojtyły. Ten ogólnopolski „Sacrosong” odbywał się potem, co roku w różnych miastach Polski. Pierwsza była Łódź, potem Wrocław, w 1971 roku Katowice i Chorzów, potem Kraków, Toruń i tak dalej. Ten ogólnopolski festiwal trwał właściwie do pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski w 1979 roku. Wtedy odbył się ostatni ogólnopolski „Sacrosong” w takim wymiarze.

Natomiast w Katowicach, z inicjatywy biskupa Herberta Bednorza, w 1981 roku zaczęła się historia „Śląskiego Sacrosongu” diecezjalnego festiwalu piosenki religijnej. Gdy biskup ordynariusz mianował mnie diecezjalnym duszpasterzem akademickim w Katowicach polecił mi również zorganizowanie festiwalu na wzór tego ogólnopolskiego. Śląski festiwal piosenki religijnej odbywał się co roku przez

dziesięć lat. Brały w nim udział liczne zespoły i soliści z całej diecezji Katowickiej. Najpierw były przesłuchania zgłaszanych kandydatów na koncertach eliminacyjnych, a potem koncerty laureatów, które odbywały się najczęściej w kościele świętych Apostołów Piotra i Pawła w Katowicach. Co roku tę świątynię wypełniali młodzi ludzie po brzegi. To był niesamowity czas i niesamowite zaangażowanie organizatorów i wykonawców, a także publiczności. To było święto młodości. Radość wyśpiewana w religijnych piosenkach. Poczucie wspólnoty. Oczywiście warunki techniczne, które mieliśmy wtedy do dyspozycji były proste, ale entuzjazm był niesamowity. Ostatni koncert „Śląskiego Sacrosongu” odbył się w 1990 roku z udziałem wyjątkowych Gości Józefa Skrzeka i Ireneusza Dudka, a od 1991 roku zaczęła się historia „Gaude Fest” w Ustroniu nowej formuły działania festiwalowego, zaproponowanego przez kleryków Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego, wcześniej zaangażowanych w organizację „Śląskiego Sacrosongu”.

Duszpasterstwo akademickie to nie tylko studenci, ale również pracownicy naukowcy.

Duszpasterstwo nauczycieli akademickich w Katowicach zaczęło swoją działalność jesienią roku 1983 od spotkań wokół encykliki Jana Pawła II „Laborem exercens”. Bazę osobową stanowili młodzi akademicy, którzy tworzyli wspólnotę zwaną *Caritas Academica*, zajmującą się pomocą materialną udzielaną członkom środowiska akademickiego: studentom, asystentom, emerytowanym profesorom, którzy w tych latach 80-ych, potem w stanie wojennym, znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Ta grupa pomocowa wywodziła się z członków uczelnianych „Solidarności”, którzy nawiązali kontakt z duszpasterstwem akademickim. Więc od spraw pomocy materialnej to się wszystko zaczęło. W tej wspólnocie zrodziła się też idea zorganizowania pierwszej międzyuczelnianej inauguracji roku akademickiego w październiku 1981 roku. To była niesamowita uroczystość po pierwszych wolnych wyborach władz uczelni, które miały miejsce w czerwcu tegoż roku. Rektorem Uniwersytetu Śląskiego został wtedy wybrany profesor August Chełkowski, a profesor Irena Bajero wa objęła funkcję prorektora. W uroczystej Mszy św. w katedrze Chrystusa Króla inaugurującej nowy rok akademicki brali udział rektorzy i przedstawiciele senatów górnośląskich uczelni w strojach uroczystych, a świątynię wypełnili studenci, nauczyciele akademicy i absolwenci. Katedra była wówczas pełna przede wszystkim młodych ludzi. Taki właśnie był pierwszy owoc

współpracy duszpasterstwa akademickiego z ludźmi „Solidarności” na uczelniach. Kiedy pomoc materialna kończyła się w 1983 roku, zaproponowałem, by nauczyciele akademicy zaangażowani w *Caritas Academica* podjęli działania bardziej intelektualne. Rok wcześniej papież Jan Paweł II wydał encyklikę *Laborem exercens* i zaczęliśmy ją wspólnie studiować. Taki był początek duszpasterstwa nauczycieli akademickich. Grupa ta potem, co roku, a nawet dwa razy w roku, organizowała sesje naukowe wokół nauki społecznej Kościoła. Od tamtego czasu w każdy wtorek o godzinie 17.00 spotykają się nauczyciele akademicy, którzy mówią, że był to dla nich i jest nadal swoisty uniwersytet, a dla nas duszpasterzy było to również wzbogacające i mocne przeżycie. Dla nauczycieli akademickich, podobnie jak wcześniej dla studentów, organizowaliśmy także rekolekcje w ośrodku rekolekcyjnym w Kokoszycach. Te wszystkie bogate w inicjatywy działania duszpasterstwa akademickiego na Śląsku starałem się udokumentować w podjętej pracy doktorskiej i wydanej publikacji zatytułowanej *Duszpasterstwo akademickie w diecezji katowickiej w latach 1947-1992*.

Czy na tej „bazie” doszło także do powstania Katowickiego Hospicjum Domowego? Wspominała o tym szefowa Hospicjum Cordis dr Jolanta Grabowska-Markowska.

Rzecz wyglądała następująco. Zaczęło się od tego, że w roku 1987 zwróciło się do mnie, jako duszpasterza akademickiego, dwoje pracowników Śląskiej Akademii Medycznej dr Grzegorz Opala i dr Maria Gross z propozycją, aby w Katowicach stworzyć Hospicjum Domowe na wzór tego, które działało już od kilku lat, jako pierwsze w Polsce, w Gdańsku. Jego kapelanem był Pallo tyn ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz. Nie wiedzieliśmy wtedy, jak to zrobić, jak do tego podejść, na jakich warunkach, w jakiej formie. Dlatego zaproponowałem, żeby ksiądz Dutkiewicz przyjechał do nas i powiedział, jak się do tego zabrać. Nasz Gość w czasie Mszy św. w kościele akademickim wygłosił płomienną homilię mówiącą o zaangażowaniu w działalność hospicyjną wolontariuszy, a następnie w duszpasterstwie akademickim odbyło się spotkanie, na które przyszło ponad 30 osób. To była pierwsza inicjatywna grupa utworzenia Hospicjum Domowego w Katowicach, gotowa nieść pomoc chorym nowotworowo w stanie terminalnym, którzy takiej pomocy potrzebowali.

W ośrodku centralnym duszpasterstwa akademickiego był zatem początek Hospicjum Domowego na Śląsku. Spotykaliśmy się co tydzień i uczyliśmy się towarzyszenia ludziom umierającym,

czy przeżywającym stan terminalny choroby nowotworowej. Byłem pierwszym kapelanem tego hospicjum, który wraz z zespołem lekarzy, pielęgniarek i wolontariuszy odwiedzał chorych udzielając posługi sakramentalnej i pociechy duchowej.

Zespół hospicyjny tworzyli ludzie młodzi i starsi, lekarze, pielęgniarki, studenci medycyny, wolontariusze. Lekarzem prowadzącym była dr Maria Gross, a mgr Teresa Trzeciak, kierownik dziekanatu w Akademii Ekonomicznej w Katowicach, osoba bardzo zorganizowana, została kierowniczką i duszą tego hospicjum. Kilka lat później, kiedy otrzymało ono osobowość prawną, została pierwszym prezesem Stowarzyszenia Hospicjum. Z doświadczenia tego pierwszego na Śląsku Hospicjum Domowego, czerpały potem hospicja rodzące się w różnych innych miastach południowej Polski, w tym również *Hospicjum Cordis*, powstałe już jako placówka stacjonarna.

Kolejnym obszarem działalności Księdza były media.

W Radiu Katowice redaktor Agata Wojterzanka, prowadziła audycje dla chorych *Gdzie miłość wzajemna*. Jako że mieszkała na terenie parafii św. Piotra i Pawła, gdzie byłem wikariuszem, zapraszała mnie do swoich audycji. W konsekwencji, kiedy w 1991 roku pojawiła się możliwość transmisji z pielgrzymki piekarskiej mężczyzn i młodzieńców przez Radio Katowice, redaktor Eugeniusz Łabus ówczesny wiceprezes Radia Katowice, zaproponował żebym wraz z nim taką transmisję poprowadził.

Robiliśmy to przez kilka lat. W 1992 roku dzięki nawiązaniu współpracy Episkopatu Polski z Polskim Radiem, Redaktor naczelny Radia Katowice poprosił o kontakt z arcybiskupem Damianem Zimoniem i w czasie tej rozmowy stwierdził, iż niedługo audycje o tematyce religijnej można by realizować niemal od zaraz. Podjąłem wtedy ten temat i zaproponowałem audycję *U progu dnia*. W środę popielcową 1992 roku miała miejsce pierwsza jej emisja. Potem niemal codziennie kierowałem do słuchaczy dobre, ewangeliczne słowo na dzień. Przez kilka lat czyniłem to sam, po czym zaprosiłem do współpracy zaprzyjaźnionych kapłanów i świeckich. Audycja *U progu dnia*, w Radiu Katowice istnieje do dzisiaj. Dodatkowo raz w ty-

godniu prowadziłem wieczorną, półgodzinną audycję *Droga*, były to reportaże, nagrywane rozmowy o chrześcijańskich wartościach w naszym życiu. W związku z tym, że byłem redaktorem audycji radiowych i współpracownikiem Polskiego Radia Katowice, zostałem koordynatorem współpracy między rozgłośnią Polskiego Radia w Katowicach a Kurią Metropolitalną, asystentem kościelnym programów radiotelewizyjnych, a potem również członkiem rady programowej Radia Katowice. Również w Telewizji Katowice zrealizowałem kilka programów, między innymi *Wigilię dla samotnych* razem z redaktorem Wojciechem Sarnowiczem, czy *Medytacje Dnia Zadasnego* z Michałem Banasikiem, a także *Posacrosongowe reminiscencje* z laureatami Śląskiego Sacrosongu oraz *Rodzinnie kołędowanie* z „Zespołem Franka”. Z Józefem Skrzekiem nagraliśmy dwie płyty z piosenkami religijnymi dla Radia Katowice.

Był Ksiądz także pomysłodawcą Drogi Krzyżowej ulicami miasta.

Tak, ale fundamentem było to, co wcześniej zainicjował ksiądz Antoni Klemens, który jednego roku szedł z młodzieżą od kopalni „Wujek” do kościoła Świętych Piotra i Pawła, następnego roku do kościoła przy ulicy Granicznej i wreszcie do katedry Chrystusa Króla. Kiedy zostałem dziekanem dekanatu Katowice Centrum, zaproponowałem w 1996 roku, żebyśmy przeszli Drogą Krzyżową z modlitwą i rozważaniami przez samo centrum miasta. Stąd ten pomysł, żeby przejść od pomnika przy Kopalni „Wujek”, do Pomnika Powstań Śląskich.

Taką trasą prowadziłem Drogę Krzyżową ulicami Katowic aż do roku 2007. Łącznie 12 lat. To było niesamowite wydarzenie z udziałem kilku tysięcy uczestników. W pewnym momencie musieliśmy zrezygnować z tej trasy przez katowicki Rynek, gdyż rozpoczął się jego remont i przejście stało się niemożliwe. Wtedy zdecydowaliśmy, że katowicka Droga Krzyżowa kończyć się będzie w katedrze. I tak już pozostało do dziś.

Zasiadał ksiądz także w kapitułach ważnych śląskich nagród: Arcybiskupa Katowickiego „Lux ex Silesia” oraz Związku Górnośląskiego „im. Wojciecha Korfańtego”.

Nagroda Arcybiskupa Katowickiego „Lux ex Silesia” jest niezwykle ważną

i prestiżową nagrodą. Jest ona związana z postacią św. Jacka, zwanego w Krakowie „Światłem ze Śląska”, patrona naszej archidiecezji. W 1994 roku przypadała 400. rocznica jego kanonizacji i wtedy właśnie arcybiskup katowicki Damian Zimoń podjął decyzję o ustanowieniu nagrody dla uczczenia tego wielkiego Patrona. Miała być przyznawana mieszkańcom Śląska, którzy w szczególnie dobry sposób zaznaczyli się w świecie nauki i kultury. Została powołana kilkunastoosobowa Kapituła Nagrody w skład której wchodził przedstawiciel niemal wszystkich uczelni wyższych na Śląsku. Wraz z panią profesor Krystyną Heską-Kwaśniewicz opracowaliśmy statut Nagrody. Byłem pierwszym przewodniczącym Kapituły. Spotykaliśmy się żeby przemyśleć i zaproponować Księdzu Arcybiskupowi odpowiedniego kandydata. To były bardzo ciekawe spotkania, które pozwalały nam spojrzeć na wspaniałe, wyjątkowe osobowości, a okazało się, że było ich całkiem sporo na terenie Górnego Śląska. Pierwszą laureatką Nagrody była pani profesor Irena Bajerowa, językownica z Uniwersytetu Śląskiego. Niesamowite i ciekawe było także to, że różne były propozycje i uwagi pod adresem poszczególnych osób, ale kiedy przychodziło głosowanie, byliśmy zazwyczaj niemal jednomyślni co do wyboru właściwego kandydata. Ksiądz Arcybiskup akceptował wybór i wręczał nagrodę *Lux ex Silesia* w czasie międzyuczelnianej inauguracji roku akademickiego w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach.

W tym roku będzie ksiądz doktor obchodził 50-lecie kapłaństwa. Czego życzyć z takiej okazji?

Żebym wytrwał w tej kapłańskiej posłudze. Kiedy myślałem o tym, jaką drogę życia wybrać ponad 50 lat temu to pomyślałem, że chciałbym służyć Bogu i ludziom. No i staram się to realizować. Jestem szczęśliwy i dziękuję Panu Bogu, że akurat taką życiową drogę dla mnie wybrał. Jest to piękna droga, niełatwa ale piękna, więc życzenia tego, żebym w dalszym ciągu nią szedł, żebym miał zdrowie i siły dla dalszej służby Bogu i ludziom, są chyba najbardziej właściwe.

Tego w imieniu czytelników „Śląska” gorąco życzę i dziękuję serdecznie za rozmowę

Ks. Stanisław PUCHAŁA, urodzony 22 września 1948 r. w Łaziskach Górnych, kapłan Archidiecezji Katowickiej, dr teologii, prałat Jego Świątobliwości. Członek Stowarzyszenia *Henryk Sławik – Pamięć i dzieło*, Stowarzyszenia *Dzieło Prymasa Augusta Hlonda*, Rady Programowej Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk». Kapłan NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Jest kapelanem kaplicy św. Barbary w podziemiach zabytkowej Kopalni „Guido” w Zabrze. Był duszpasterzem młodzieży, wiele lat diecezjalnym duszpasterzem akademickim w Katowicach, duszpasterzem pracowników naukowych, pierwszym kapelanem katowickiego Hospicjum, przewodniczącym Kapituły nagrody „Lux ex Silesia”, a także redaktorem audycji radiowych i telewizyjnych.

Stanisław Ligoń. Nauczyciel rysunku

PIOTR SKOWRONEK

„Podarowaliśmy Ligoniovi kożę” – wspominał abp Ignacy Jeż, kiedy jako absolwent spotkał się z młodzieżą III Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Katowicach w 1997 r. Znalismy ogromne poczucie humoru i nietuzinkową osobowość Profesora Stanisława Ligońa i mogliśmy sobie na taki żart pozwolić. Dlaczego koza i co on z nią później zrobił – tego już nie pamiętam, ale dowcip był przedni – mówił późniejszy kapelan tamtejszej drużyny harcerskiej.

Jak to się stało, że ilustrator i satyryk, współtwórca popularnego „Kocyndra” został nauczycielem rysunku w Państwowym Męskim Zreformowanym Gimnazjum Klasycznym, bo taką nazwę wówczas słynny katowicki „Mickiewicz”, który rozpoczął działalność 14 września 1922 r., czyli niemal zaraz po włączeniu Katowic do Polski?

Formalna edukacja Stanisława Ligońa osiągnęła kres po ukończeniu przez niego sześciu klas szkoły podstawowej w Bytomiu. Narastająca germanizacja połączona z karami cielesnymi i bardzo zła sytuacja finansowa rodziny sprawiły, że czternastoletni Staś zatrudnił się najpierw jako goniec w księgarni, a następnie rozpoczął terminowanie w bytomskiego majstra malarzkiego Zygmunta Majchrzakowskiego, który polecał się do malowania kościołów, dekoracji teatralnych i wszelkich robót wchodzących w zakres malarstwa. Ligoń odkrył bowiem w sobie zupełnie inne powołanie niż dziad i ojciec – chciał zostać malarzem. Nie wiadomo skąd taka pasja w dziadku górniczego rodu, nie mniej determinacja z jaką Ligoń wprowadzał ją w życie, entuzjazm i upór sprawiły, że po dwóch latach „mieszania farb”, zaoszczędziwszy nieco grosza wyruszył w świat.

Najpierw wyjeżdża do Poznania, gdzie pracuje i szkoli się w Zakładzie Artystyczno-Kościelnym Szpetkowski i S-ka. Prężna firma, która posiada swoje filie w Warszawie i Wilnie, specjalizowała się w ołtarzach, ambonach, chrzcielnicach, stacjach drogi krzyżowej, figurach, grobach wielkanocnych i innym wyposażeniu świątyni, reklamując się fotograficznym katalogiem prac. Tamto doświadczenie sprawi, że sztuka sakralna będzie mu bliska już do końca życia. Z pewnością nie bez znaczenia dla tego wyboru miała wyniesiona z domu wiara. Ligońa szczególnie interesowała technika polichromii. Po latach wróci do niej, malując na sklepieniu prezbiterium kościoła pw. św. Mikołaja w Truskolasach postaci Górnosłazaków. Do dzisiaj zachowały się tam także płótna do Grobu Pańskiego jego autorstwa.

Po dwóch latach pracy, gromadzeniu doświadczeń i grosza wyrusza do Krakowa, duchowej i artystycznej stolicy Polski, by kontynuować swoją edukację. Na miejsce nauki wybiera Szkołę Przemysłu Artystycznego. Młodopolskie środowisko przeżywało wówczas niezwykle rozkwit.

Matejko, Wyspiański czy Mehoffer to nazwiska wielkich, z którymi Ligoń mógł się wówczas zetknąć. Wśród cyganerii chłopak o rozbudzonej wrażliwości artystycznej czuł się zapewne jak ryba w wodzie, jednak skromne środki materialne wkrótce się skończyły. Po wychudzonego i obszarpanego Stasia, ponoć stołował się w garkuchni u felicjanek, a spał kątem u dozorky – przyjechała mama i zabrała go do domu. Po naradzie rodzinnej wujek Adolf zaproponował mu posadę ilustratora. Jednak, jako że wydawnictwo dopiero powstawało i prac było mało, więc i dochód był marny, zapisał Ligońa nie opuszczał i narodził się pomysł wyjazdu do Berlina. Nie wiadomo skąd pozyskano pieniądze na jego realizację, nie mniej wraz z początkiem XX wieku Ligoń znalazł się w stolicy Rzeszy by u najlepszych studiować malarstwo. Przygarnęła go silna wówczas polonia, pozwalając na utrzymanie z ilustracji prasowych. Berlińskie losy Stanisława zwłaszcza w aspekcie artystyczno-edukacyjnym nie są znane. Wiadomo jedynie, że rodzina mocno interesowała się losem syna i jego politycznymi kontaktami zwłaszcza z komunistami. Trzyletni pobyt w Berlinie nie zostanie podsumowany żadnym świadectwem dokumentującym edukację w dziedzinie malarstwa. Z zachowanych fotografii wiemy, że Ligoń malował wówczas m.in. postać Żyda czy Matkę Boską z dzieciątkiem. Daleki jest więc od modernistycznych trendów. Wydaje się zatem, że edukacja zarówno w dziedzinie ilustratorstwa jak i malarstwa miała charakter samokształceniowy. Z pewnością jako wolny słuchacz Ligoń, gość licznych muzeów i galerii, podpatrywał pracę mistrzów pędzla berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych, tym bardziej, że niemiecka stolica miała wówczas dwa oblicza – tradycyjne, kształtowane przez oficjalną pruską kulturę dworu Hohenzollernów i nowoczesne – z bogatą, tętniącą życiem cyganerią artystyczną europejskiego miasta, pełną ożywczego fermentu. Doświadczenie, które wówczas otrzymał z pewnością pozwoliły na obycie się z metropolią i zdobycie szlifów światowca.

Ligoń obok doświadczeń artystycznych przywiózł z Berlina, kogoś o wiele bardziej cennego – żonę. Wilhelmina, Teodora, Aleksandra, Wanda Geelhaar zaledwie dziewiętnastoletnia arystokratka o duńskich korzeniach z miłości do nie-

go popełniła mezalians. Wydziedziczona, wyszła za mąż za Stanisława 14 listopada 1903 roku w Kościele Św. Jadwigi w Berlinie. Bez grosza przy duszy wrócili do prowincjonalnego Bytomia, a ich źródłem utrzymania stało się ilustratorstwo. Ligoń podjął pracę w charakterze ilustratora książek w wydawnictwie i drukarni Karola Miarki, a ponieważ siedziba oficyny znajdowała się w Mikołowie, przeniósł się tam wraz z rodziną. Po pięciu latach prac dorywczych od 1909 roku został głównym ilustratorem Wydawnictwa Dzieł Ludowych K. Miarki. Do zakresu jego obowiązków należały okładki, bordiury, winiety oraz ilustracje. Ligoń ilustrował m.in. *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza czy *Braci Zborowskich* Henryka Rzewuskiego. Wśród publikacji, które wzbogacił swoim talentem plastycznym było sporo wydawnictw o charakterze religijnym. Ligońowią kreskę odkryjemy w *Zywotach Świętych Pańskich z 1910 r.*, *Legendach o Zbawicielu Świata* Jacka Obrochty, czy *Prawidłach życia chrześcijańskiego dla każdego wieku i stanu* Ottona Bitschnaua. Osobne bogate doświadczenie ilustratorskie zdobył Stanisław Ligoń ilustrując popularne wówczas kalendarze i barwne dodatki do nich skierowane do prenumeratorów. Obok pracy zawodowej, niezbędnej do utrzymania szybko powiększającej się rodziny, trzecia z córek, imienniczka matki, przyszła na świat w 1908 r., Stanisław realizuje swoje liczne pasje, w tym związane z amatorskim ruchem teatralnym, dla którego malował scenografię nie porzuca również ani na chwilę swojej głównej miłości – malarstwa.

Jest ono dla niego na tyle ważne, że znowu zagląda coraz częściej do Krakowa, by przenieść się tam na stałe z rodziną w 1912 r. Wstępuje do Akademii Sztuk Pięknych, którą dowodzi wówczas Jacek Malczewski i studiuje pod kierunkiem Józefa Mehoffera. W decyzjach Ligońa widać prawdziwą pasję i nieugiętość. We wspomnieniach córek ojciec, który zabrał je na plener taszcząc skrzynkę z przyborami i przenośne sztalugi, jawił się jako swoista „bona”, budząca zdziwienie nawet wśród ekstrawaganckiej cyganerii krakowskiej. O jego ówczesnej determinacji niech świadczą słowa córki Heleny: „Malować, znaczyło wtedy coś innego niż dzisiaj. To, jak się żyło, zależało od tego, co się malowało, no i oczywiście,



czy byli na to chętni. Sytuacja była o tyle dobra, że pracował w wydawnictwie Karola Miarki na etacie ilustratora. Nie miał gruntownego przygotowania plastycznego. Wychował się w biedzie, w robotniczej rodzinie, bardzo zacnej i kulturalnej, ale ubogiej. Sam się douczał, mając ambicje ukończenia Akademii Sztuk Pięknych?

Niestety ostatnią, dorosłą już próbę zdobycia formalnego wykształcenia przerywa I wojna światowa. Razem z żoną i jak mawiał Ligoń swoim babińcem (pięć córek) wyjeżdża latem do Truskolasów niedaleko Częstochowy. Tam polecony przez Mehoffera miejscowemu proboszczowi ks. Szczęsnemu Starkiewiczowi malował polichromię w drewnianym kościele pw. św. Mikołaja, kiedy wybucha wielka wojna. Jako poddany pruski, chcąc uniknąć mobilizacji pozostaje na terenie zaboru rosyjskiego trzy lata, ozdabiając okoliczne kościoły w m.in. w Przystajnie, Kłobucku, Praszkach, Konopiskach czy Krzepicach. Maluje nie tylko obrazy religijne, ale portrety i sceny rodzajowe. Po śmierci ojca (17 września 1917 roku) Ligoń odwiedza jego grób na cmentarzu Mater Dolorosa przy ulicy Piekarskiej w Bytomiu. Powrót Stanisława nie uszedł uwadze władz pruskich i wkrótce Ligoń stanął przed komisją poborową i został skierowany na przeszkolenie do Raciborza, a potem na front zachodni. Talent do rysownia karykatur i portretów zyskiwał mu przychylności przełożonych, a zdolności plastyczne spowodowały przydzielenie do pracowni fotograficznej analizującej zdjęcia lotnicze na potrzeby armii. Tym sposobem pozostał na tyłach i ominęło go piekło fron-

tu. Przed samym końcem wojny szczęśliwym trafem został skierowany na urlop, więc jej zakończenie zastało go z rodziną w Częstochowie, dokąd Wanda przeniosła się wraz z córkami.

Sytuacja polityczna sprawiła, że Stanisław zrezygnował z powrotu na studia do Krakowa i zgłosił się do Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu. Tam rozpoczął prace w Wydziale Prasowym kierowanym przez Edwarda Rybarza, w sekcji rysunku. Zdolności graficzne Ligonia do błyskawicznego komentowania wydarzeń wykorzystano przy tworzeniu przez niego ulotek, plakatów, pocztówek, wlepek czy ilustracji prasowych. Plebiscytowa walka propagandowa i agitacyjna wkrótce nabrała tempa. Walczący o polski Górną Śląsk mieli świadomość siły oddziaływania obrazu. Powstał pomysł założenia pisama satyryczno-agitacyjnego, które łączyłoby w nowoczesny sposób tekst z obrazem. 10 czerwca 1920 roku ukazał się pierwszy numer „Kocyndra” Czasopisma wesołego – górnośląskiego, wychodzącego kiedy chce i kiedy może – jak głosiła wnieta. Ligoń obok Antoniego Romanowicza, Kazimierza Grusa i Stanisława Antoniewicza stał się jednym z czołowych artystów polskiej propagandy plebiscytowej. Prowadził z powodzeniem „Kocyndra” razem z Janem Przybyłą realizującym za dział literacki. Wkrótce jednak walczył i piędzłem i piórem. Niemcy odpowiedzieli „Pieronem”, który jednak nie umywał się do poziomu polskiego periodyku. Rysunki ośmieszające pruskie wady, postaci Klachuli Różli Pyszczyk, Francka Fyrtoka i Karlika znane były

na całym Górnym Śląsku, co więcej wędrowały po szpaltach innych gazet, a dosadne żarty i żarciki przekazywano sobie z ust do ust. Ligoń wyrobił sobie mocną pozycję satyryka-illustratora, a przezwisko Karlik z „Kocyndra” przyłgnęło do niego na całe życie. Ówczesne prace wskazują jak w ciągu krótkiego czasu wykrystalizował się jego warsztat pracy, jak z poszukującego stał się dojrzałym artystą, o wyrobione kresce, stylistyce mającym wpływ na kształtowanie ludzkich postaw, przed satyrą nie ma bowiem ucieczki. Doszło nawet do zamachu na życie Karlika, a Wojciech Korfanty przydzielił mu ochronę. Symbolicznym ukończeniem działań plebiscytowych było opracowanie graficzne „Aktu państwowego połączenia Górnego Śląska z Rzeczpospolitą” uroczyste podpisano 16 lipca 1922 r. w Katowicach.

Tego samego roku Ligoń rozpoczął plastyczne edukowanie katowiczian. Zanim jednak podjęto decyzję o utworzeniu Państwowego Męskiego Zreformowanego Gimnazjum Klasycznego, które utworzyło swe podwoje dla uczniów w czwartek, 14 września 1922 roku, w gmachu przy ulicy August-Schneiderstraße (obecnie Mickiewicza) mieściło się Das Städtische Gymnasium zu Kattowitz powołane do życia 9 października 1871 roku, a więc na osiem lat przed narodzeniem Stanisława. Początkowo szkoła miała siedzibę przy ulicy Młyńskiej, potem przy zbiegu Grundmannstraße i Schillerstrasse (obecnie 3 Maja i Słowackiego), by 9 października 1900 roku przenieść się do nowego, neogotyckiego gmachu, który czerwona cegła z kamiennymi obramowaniami i charak-



terystyczną rozetą zdoła panoramę Katowic do dzisiaj. Ligoń był więc członkiem rady pedagogicznej szkoły od jej samego, polskiego początku. Zrządzeniem opatrności zachowało się zdjęcie nauczycieli i uczniów katowickiego gimnazjum z 1925 roku. W pierwszym rzędzie siedzą: polonista profesor Edward Waze, nauczyciel wychowania fizycznego Alfred Hamburger, autor opracowania *Wskazówki do gimnastyki wychowawczej do użytku nauczycieli wychowania fizycznego*, wydanego w Krakowie w 1922 r., nauczyciel rysunku Stanisław Ligoń, łacinnik prof. Franciszek Dłużniewski i matematyk Mikołaj Orlicki. Fotografie zrobiono przed charakterystycznym głównym wejściem do gmachu, a szkole patronował wówczas widniejący na sztandarze patron Polski i Litwy św. Kazimierz. Co więcej zachowały się także wspomnienia uczniów z tamtego okresu. „Stanisława Ligoniam poznałem bardzo dawno – wspominał po latach Zbigniew Hierowski. Było to ni mniej ni więcej jak w drugiej klasie gimnazjum im. Mickiewicza w Katowicach w roku 1922/1923... Stanisław Ligoń w tej zmiennej konstelacji przyptywających i odpływających profesorów był punktem stałym. Uczył rysunków. Jego starannie przystrzyżona bródka, którą pamiętamy z ostatnich lat jako siwą, była wówczas jeszcze płomiennie ruda, ale łysinę obnosił już taką, z jaką go pamiętamy. Chodził zawsze w szerokim artystycznym kapeluszu. Czasem, gdy mozoiliśmy się nad rysunkiem modelu, szkicował sobie coś w podręcznym bloku. Pod pozorem korekty rysunku podglądałem go kiedyś. Były to projekty dekoracji teatralnych. Zdaje mi się – do „Kordia-

na.” Kto wie, czy na fotografii wśród uczniów stojących za Ligoniem nie znajdziemy wielu ważnych dla historii Śląska osób? Uczniami tej szkoły byli bowiem i późniejszy biskup katowicki Herbert Bednorz, który wraz z rodziną przeniósł się jako 14 latek w 1922 roku do Katowic i niedoszły kardynał, wspomniany na początku tekstu abp Ignacy Jeż, czy Sługa Boży Wilhelm Pluta. Hierowski jednak podkreślił coś jeszcze: „Oczywiście nie wiedzieliśmy wówczas, że nasz profesor rysunków ma już swoją ciekawą przeszłość. Nie wiedzieliśmy, że w czasach plebiscytowych był redaktorem pisma satyrycznego „Kocynder”; że miał już swój dorobek malar-

ski... Czyżby zatem Ligoń zupełnie nie dbał o swoją popularność lub inaczej, czy nie podążała ona jego śladem. Trudno uwierzyć, aby w środowisku tak naturalnie rozplotkowanym jak szkoła informacja ta nie dotarła do uczniów, chociażby ze strony rodziców, czy innych nauczycieli. Anonimowość Ligoniam demontuje w tym zakresie jego inny uczeń z tamtego okresu, Zygfryd Kostyra, który tak wspomina, jego zdaniem liberalne zachowanie pedagoga względem szukającej zaczepki proniemieckiej młodzieży: „Dziwiła nas postawa naszego nauczyciela. Dziwiła nas tym więcej, że znaliśmy jego przeszłość, wiedzieliśmy, że był redaktorem „Kocyndra”, na łamach którego ciętą satyrą smagał Niemców niemiłosiernie. (...) Doszło do tego, że kilku ojców udało się do Ligoniam, żeby mu zwrócić uwagę na ogarniające uczniów wątpliwości. Usłyszeli od niego: „Walczyliśmy z Niemcami wszystkimi dostępnymi środkami i walczyć będziemy nadal, aż cała śląska ziemia wróci do Polski, ale nie możemy zapominać, że ci, którzy obecnie mieszkają w granicach naszego państwa, korzystają z równych z nami praw. Nie można mieć dwóch etyk: jednej na użytek własny, drugiej dla innych.” I mówił to człowiek, który swojego pro polskiego zaangażowania niemal nie przypłacił życiem.

W roku szkolnym 1923/1924 Ligoń pracował w gronie 27 nauczycieli Gimnazjum Państwowego w Katowicach. Od roku pełnił funkcje nauczyciela rysunków. Teraz jego tygodniowe pensum wynosiło 28 godzin w klasach polskich, w klasach niemieckich bowiem przez cały okres zatrudnienia nie uczył. Nauka odbywała się

w oddziale polskim i w klasach niemieckich według tymczasowych planów nauki dla ośmioklasowych szkół średnich męskich ogólnokształcących w byłej Dzielnicy pruskiej. Oddział polski obejmował klasy zreformowanego gimnazjum klasycznego oraz typu gimnazjum klasycznego. W *Sprawozdaniu rocznym Gimnazjum Państwowego w Katowicach* za wspomniany rok szkolny umieszczono zakres nauczanego przez Ligoniam przedmiotu, który obejmował:

„W kl. I. Naukę o formach. Kwadrat, koło, trójkąt; rysowanie przedmiotów. Rozpoznawanie barw, malowanie przedmiotów płaskich (owoce, kwiaty itp.). Sylwetka, wycinanki, naklejanki. Rysunek pamięciowy na zadany temat.

W kl. II. Nauka o formach. Rysowanie i malowanie przedmiotów płaskich (naczynia, kwiaty, owoce). Początki perspektywy. (Bryły, pudełka, książki.) Sylwetki, wycinanki, naklejanki. Rysunek pamięciowy, kompozycyjny.

Kl. III. Nauka o formach. Rysowanie przedmiotów płaskich i bryłowych (Kafle, materiały, wzory tapet i modeli gipsowych). Światłocien. Rysunek perspektywiczny, pamięciowy, kompozycyjny. Sylwetka naklejanki i wycinanki.

W kl. IV. Rysunek płaski i plastyczny. Kolorowanie kafli i materiałów z nadruków i z pamięci. Światłocien, ćwiczenia na modelach z gipsu. Ćwiczenia rysunku perspektywy. Szkicowanie ołówkiem i węglem. Rysowanie kompozycyjne oparte na motywach swojskich”.

W roku następnym szkolnym tygodniowe pensum Ligoniam zmalało do 24 godzin jednak, od 15 września 15 października 1924 r. otrzymał on miesięczny urlop dla poratowania zdrowia.

Nie wiadomo na co wówczas chorował i w czym pomógł mu tak krótki urlop. W rocznych sprawozdaniu dyrekcji za rok 1925–1926 pojawił się zapis: „Podczas sezonu zimowego urządzał teatr polski szereg przedstawień o charakterze patriotycznym dla młodzieży szkolnej. W tych przedstawieniach uczestniczyli tutejsi uczniowie 1 do 2 razy w miesiącu”. Takż sam lakoniczny zapis wprowadzono w latach szkolnych 1926–1927 i 1927–1928: „Organizowano w teatrze miejskim dla uczniów przedstawienia teatralne, w których młodzież tu. Zakład brała liczny udział.” „Towarzystwo Przyjaciół Teatru zorganizowało w teatrze miejskim popołudniowe przedstawienia, w których uczniowie tu. Zakład brali liczny udział”.

W sprawę zaangażowani byli się Stanisław Ligoń i wojewoda śląski dr Michał Grażyński. Karlik z „Kocyndra” wpadł na pomysł upowszechnienia teatru wśród młodzieży szkolnej. Proces ten zapoczątkowały przemiany zarówno w młodym pokoleniu, jak i w jego najbliższym środowisku, siłą rzeczy włączając weń także rodziców. Wojewoda zaś powierzył dy-

rektorowanie i „polonizowanie” desek katowickiego teatru, po wielu zmianach się na tym stanowisku osobach, Marianowi Sobańskiemu, świetnemu organizatorowi i człowiekowi wielkiej pasji. Oczywiście wkrótce obie wizje się połączyły. Ligoń namówił władze szkolne i teatralne do podpisania porozumienia w sprawie specjalnych spektakli dla młodzieży. Na jego mocy teatr zgodził się na dopołudniowe przedstawienia dla uczniów poprzedzone prelekcjami, aż cztery razy w miesiącu. Taki obrót sprawy musi budzić podziw dla organizacyjnych umiejętności i teatralnej pasji Karlika, który zdawał sobie doskonale sprawę nie tylko z popularności wśród Ślązaków tej dziedziny sztuki, którą przecież sam poniekąd budował poprzez bliski mu amatorski ruch teatralny, ale i jej możliwości oddziaływania. Prowadząc uczniów w objęcia Melpomeny nie tylko otrzymywał wyrobionych estetycznie odbiorców, znawców narodowej literatury, ale także świadomych przynależności narodowej obywateli. Z uwagi na rozmaity poziom widowni i przewidziane wobec niej zadania dydaktyczne należało z rozmysłem dobierać teatralny repertuar, ale co ważniejsze, rozbudzić w niej pasję, sprawić by młodym „chciało się chcieć”. W tym Ligoń nie miał sobie równych. Jego żywiołowa osobowość, znakomite poczucie humoru, rozsadzająca go energia, bezpośredniość i komunikatywność, a przy tym urok osobisty sprawiły, że przekonał uczniów, nauczycieli i rodziców. Jego entuzjazm w upowszechnianiu teatru nie miał sobie równych. Ponoć sam nawet rozprowadzał wśród uczniów bilety, a puszczony w świat bakcyl teatru puchł niczym śniegowa kula zarażając kolejne, po szkołach średnich, ostatnich klasach szkół podstawowych i szkołach dla pracujących, środowiska. „Szczególnym powodzeniem cieszą się urządzone regularnie z ramienia Tow. Przyj. Teatru Pol. przez prof. Ligoniego przedstawienia dla młodzieży szkolnej w cenach groszowych. – pisano już wkrótce. – Wystarczy pójść choćby na jedno z takich przedstawień, przypatrzyć się rozentuzjazmowanym twarzom i współżyciu duchowemu i uczuciowemu młodych widzów-słuchaczy ze sceną, aby zrozumieć doniosłe znaczenie dla przyszłości tego siewu ziarna sztuki i kultury polskiej w młodociane dusze. Nie tylko jednak młodzież korzysta z tych w ścisłym słowa znaczeniu popularnych przedstawień; uczęszczają na nie ludzie dojrzały, mniej zasobni, znajdując pełne zaspokojenie swych potrzeb intelektualnych.” Nie był to zatem, jak często spotyka się obecnie „czwartorzędowy garnitur trzeciorzędowej obsady”, a przedstawienia, które swoim poziomem i zaangażowaniem aktorów mogły porywać, nie mając w sobie cienia chałtury. Ligoń oczywiście poszedł za edukacyjnym

„ciossem” i tkwiący jeszcze w bolesnej pamięci obraz germanizowania zastąpił kapitalną akcją upowszechniania polskich przedstawień teatralnych wśród młodzieży niemieckojęzycznej. TPTP rozesłało okólnik do szkół niemieckich polecający owe spektakle jako źródło nauki języka polskiego! Efekt był piorunujący: „Na przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami”, poprzedzonym stosownym objaśnieniem historycznym w języku niemieckim, natłok młodzieży niemieckiej był niebywały, a przyjęcie pełne entuzjazmu”. To jeszcze jeden dowód na znajomość wrażliwości i psychiki ludzkiej Stanisława Ligoniego, który koresponduje z przytoczonym już stosunkiem nauczyciela rysunku do niemieckojęzycznych, szkolnych prowadzących. Nie zniechęcony dryl, a szacunek, nie przymus w poznawaniu, a pełen doznań artystycznych kontakt ze sztuką mogą – jego zdaniem – zmieniać ludzi. Co więcej Ligoń pomyślał również o mniej zamożnych robotnikach, a nawet o bezrobotnych. Dla tych pierwszych organizował cieszące się sporą frekwencją tzw. przedstawienia popularne, na które sprzedawano bilety po obniżonych cenach, dla drugich spektakle całkowicie bezpłatne. Wkrótce wyjścia do teatru włączono do obowiązkujących programów nauczania, a pełen inwencji i przedsiębiorczości Karlik rozpałał w sobie i innych taką potrzebę udziału w życiu teatralnym, że postanowił swój pomysł zorganizować w formalnie działającą instytucję, która w szerszej skali przypominałaby bytomski „Ul”, tętniący swego czasu silnym życiem kulturalnym. Doświadczenie w tym względzie czerpał nie tylko z własnych inicjatyw teatralnych, chociażby z okresu truskolaskiego, ale także z organizacji przedsięwzięć na rzecz teatru. Nie kto inny, jak Ligoń, będąc pracownikiem Polskiego Komitetu Plebiscytowego zorganizował „Poradnię Teatralną”. Miał bowiem głębokie przekonanie jaką potęgą jest teatr, nie tylko jako przestrzeń wrażeń i wzruszeń estetycznych, ale także skuteczny czynnik w krzewieniu działalności narodowo-wychowawczej.

Przekonał zatem Dział Oświaty Pozaszkolnej przy Wojewódzkim Wydziale Oświecenia Publicznego, nad którym sprawował nadzór jako wojewoda dr Grażyński, przychylny zarówno Teatrowi Polskiemu jak i teatrowi ludowemu, do realizacji swojego pomysłu. Z zapisów w sprawozdaniu wynika, że początkowo na jego miejsce w szkole zatrudniony został: „Drozdowski Jerzy mianowany nauczycielem kontraktowym w zastępstwie Stanisława Ligoniego reskr. L.O.P 200902 z dnia 17 VIII 2026”. Następnie został: „Stanisław Ligoń – przydzielony w r. szk. 1927/1928 do Wydziału Oświecenia Publicznego” podlegającemu Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i 1 stycznia 1928 roku ob-

jął funkcje kierownika Sekcji Śląskich Teatrów Ludowych przy Dziale Oświaty Pozaszkolnej Kuratorium Okręgu Śląskiego w Katowicach. Oddelegowany do pełnienia tej funkcji z pracy nauczycielskiej w szkole, piastował swój urząd w latach 1929–1934.

W czasie zatrudnienia Ligoniego w szkole na uwagę zasługują także podejmowane działania patriotyczne i zaangażowanie religijne. Uczniowie na przykład brali udział w uroczystościach związanych z upamiętnieniem powstania listopadowego czy obchodach konstytucji 3 maja. „Odbył się uroczysty obchód 5 letniej rocznicy plebiscytu na Górnym Śląsku. Na program poranku złożyło się: przemówienie p. Jana Pamucha, deklamacje, śpiewy i produkcje fortepianowe. W imponującej manifestacji dnia 21. marca młodzież oficjalnie nie brała udziału.” – czytamy w lapidarnych zapiskach działu X sprawozdania – *Kroniki zakładu*. Brała za to udział w: „... uroczystościach z okazji sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego. Podczas przejazdu trumny przez Katowice młodzież tutaj zakładu tworzy szpaler.” Warto dodać, że umiłowanie wieszczą było na Śląsku szczególnie. O zdumiewającej recepcji twórczości autora Kordiana wspominał Stanisław Pigoń w swojej biograficznej książce *Z Kamborni w świat*. Uczniowie systematycznie uczestniczyli w rekolekcjach i mszach św. w kościele pw. św. Piotra i Pawła. We wspomnianym okresie odnotowano także w szkole działalność Sodalicii Mariańskiej łączącej naukę z życiem chrześcijańskim, czy kółka trzeźwościowego. Ligoń z pewnością aktywnie uczestniczył w życiu szkoły. Lakońskie zapiski sprawozdań raz po raz odsyłają do kroniki szkolnej, gdzie znaleźlibyśmy zapewne dowody jego działalności. Niestety powojenne losy tej książki nie są znane. Dowodem zaś pośrednim, nie mniej ważnym, są zapisy w *Sonderfahndungsbuch* (Specjalnej Księgi Gończej dla Polski), którą Niemcy wkraczając na terytorium Rzeczypospolitej w 1939 r. przygotowali dla tych, którzy narazili się III Rzeszy. Najkrócej mówiąc, był to alfabetyczny spis osób, z którymi należało się rozprawić w pierwszej kolejności. Hasła zawierały m.in. personalia, adres i funkcje nieszczęśliwów. Ligoń pojawia się w niej dwukrotnie i to na jednej 90. stronie. Pierwszy zapis brzmi: „x Ligen Stanislaus Direktor des Kattowitzers Senders” zaś drugi: Ligon Stanislaw Prof Wo Kattowitz.” O ile w pierwszym zapisie podkreślono kierowanie rozgłośnia radiową, a znaczek x znaczył doprowadzenie do najbliższej placówki policji kryminalnej, drugi odnosił się właśnie do bycia profesorem katowickiej szkoły. Tym razem znaczek „” wskazywał na konieczność przekazania oznaczonego w ręce stosownego wydziału gestapo.

Amerykańskie zgorszenie z Gleiwitz

MAŁGORZATA LICHECKA

„Zawsąd przybywali ludzie, aby przyrzec się temu kolosowi, najwyższemu w okolicy; ci, którzy pochodzili z miasta, stawali przed budynkiem z mieszaniną dumy i lęku, a gdy już przedeflowali przed nim ze trzy razy, zbierali się na odwagę i przynajmniej zasiadali na parterze kawiarni, żeby zamówić filiżankę kawy i kawałek śląskiego placaka z kruszonką albo fałszywego czekoladowego tortu Sachera lub francuskiego ciasta. Podziwiali biało ubranych kelnerów, którzy poruszali się jak w pantomimie; zdumiewały ich czarne lśniące marmurem stoliki i długie, drapowane muślinowe firanki zwisające aż do podłogi, wpuszczające do środka jedynie stłumione światło i dźwięki, czyniące wszystko nierzeczywistym”.

Horst Bienek bardzo dobrze zapamiętał tę budowlę. Przyglądał się jej od wczesnego dzieciństwa, słuchał opowieści o wyprawach do „kamiennego pudła”, widział też, jak obraca się ono w wypaloną ruinę. Pamiętkę z rodzinnych Gliwic nosił w sercu na tyle długo, by stała się literacką inspiracją.

Wizerunek atakował go wspomnieniami, domagając się uwiecznienia dobrych, młodzińskich lat, dlatego – zasiadając

do pierwszej z czterech powieści o końcu rodzinnego miasta – wiedział, że kolos zajmie w nim ważne miejsce. Pojawia się w niej ten hotel jako amerykańskie zgorszenie, bo tak podobno nazywali HO mieszkańcy Gleiwitz.

Rok 1922

Spory plac w centrum miasta doskonale nadawał się pod budowę ratusza. Planowano ją od końca XIX wieku aż do 1914 roku, lecz nigdy nie doczekała się realizacji. Przeszkodziła I wojna światowa, postanowienia traktatu wersalskiego i podział Górnego Śląska po powstaniach z lat 1919–1921. W roku 1922, czyli w czasie rozbudowy polskich Katowic, niemieckie Gleiwitz stało się areną walki o prymat gospodarczo-architektoniczny. To wówczas podjęto decyzję o budowie dużego nowoczesnego hotelu, potrzebę tę argumentując rozsądnie: do miasta coraz częściej zjeżdżały światowe delegacje, oficjele z Rzeszy, wielcy politycy i celebryci. Niby mogli zatrzymywać się w innych, wciąż unowocześnianych hotelach, ale – zdaniem decydentów – żaden nie nadawał się na miejsce, w którym można by należycie podjąć na przykład koronowane głowy. Zrezygnowano z budowy

ratusza i zdecydowano, że nad Kłodnicą powstanie najbardziej reprezentacyjny hotel na Śląsku. Nad projektem usiedli urzędnicy wrocławskiej firmy B.D.A., nad wszystkim czuwał gliwicki architekt Reimann, zaś inwestorem zostało przedsiębiorstwo Hotels und Bürohaus Aktiengesellschaft, nazywane pieszczotliwie Hubagiem.

Rok 1923

Kiedy jednak projektanci przeprowadzili dokładne badania gruntu, okazało się, że grząski teren to pułapka i nie bardzo nadaje się na wzniesienie tak dużego obiektu. Innej lokalizacji nie było, a ze względów propagandowych nie chciano wycofać się z inwestycji. Dlatego postanowiono wzmocnić podłoże 476 żelbetowymi palami wbitymi w mulistą ziemię. Takie rozwiązanie rzutowało także na finanse. Palowanie znacznie podrażało inwestycję, zdecydowano więc, jeszcze przed wbiciem pierwszej łopaty, że budynek będzie na siebie zarabiał. Część hotelowego gmachu, tę od strony Kłodnicy, przeznaczono na biura do wynajęcia, licząc przede wszystkim na duże firmy. Przyszłym oferentom udostępniono plany, by mogli wybrać dogodne pomiesz



czenia i – oczywiście – wpłacić zaliczki, z których choć po części sfinansowano by inwestycję. Ten zabieg nie przyniósł oczekiwanych zysków, Hubag zbankrutowała, a budowę wstrzymano.

Rok 1925

Na pewno interesował się nią Karl Schabik, miejski radca budowlany, piastujący tę funkcję od roku 1919 do 1945. Twórca wielu cennych rozwiązań architektonicznych, autor projektu nowego ratusza i osi widokowej, rozciągającej się od dzisiejszego placu Piłsudskiego, poprzez Wyszyńskiego, aż do Dworcowej, współautor wydanej w 1925 roku monografii Gliwic, w której znalazł się wizerunek przyszelego hotelu o nazwie „Gleiwitzer Hof”.

Lata 1926–1928

W 1926 roku budowę przejęło Deutsche Land und Baugesellschaft. Czteroskrzydłowe „kamienne pudło”, jak ochrzczili hotel już po wybudowaniu gliwiczanie, zaplanowano w modnym wówczas w Europie stylu narodowym, opierającym się na formach specyficznych dla danego państwa.

Hotel, jak wynika z planów zachowanych w gliwickim archiwum miejskim, miał mieć pięć kondygnacji i 110 pokoi do wynajęcia. Meble ze słynnych nyskich zakładów robiono na specjalne zamówienie. Główne wejście mieściło się przy ul. Markgrafenstrasse (dziś Wyszyńskiego). Jego środkową część zajmowały obrotowe drzwi, tzw. wiatrołap, hit techniczny tamtych czasów. Po prawej stronie od wejścia znajdowała się portiernia, po lewej normalne wejście, zaś tuż obok niego – winda. Małgorzata Kaganiec w swoim obszernym opracowaniu dotyczącym gliwickich hoteli daje taki opis hotelowego wnętrza: „ogromny hol naprzeciw wejścia miał półkolistą przeszkloną ścianę, w prawą stronę biegł szeroki korytarz z główną klatką schodową. Naprzeciw niej znajdował się sekretariat i pokoje dyrekcji hotelu, dwa sklepy i modny salon fryzjerski z osobnym wejściem od ulicy”.

Od Wilhelmstrasse (dziś Zwycięstwa) – kawiarnia z przeszkloną werandą, wychodzącą na zadbanej trawnik, którego główną ozdobą była fontanna z figurami trzech tańczących faunów. Na rogu Schillerstrasse (Wybrzeże Wojska Polskiego) i Miethe Allee (Berbeckiego) w pomieszczeniach frontowych mieściły się: cukiernia, piwiarnia i obsługująca je tzw. zimna kuchnia. Z kolei róg Miethe Allee i Markgrafstrasse należał do ogromnej hotelowej kuchni z zapleczem i podręcznymi składami trunków, przywożonych z piwnicy windą. Tuż obok kuchni znajdowały się magazyny do przechowywania naczyń stołowych i srebrnej zastawy. Na parterze mieściła się też jadalnia o powierzchni 158 m², a w jej sąsiedztwie pokoje: muzyczny i z maszy-

nami do pisania, które można było wynająć, czytelnia prasy oraz herbaciarnia.

Pierwsze piętro, oprócz pokoi i apartamentów z łazienkami i przedpokojami, zdominowały: kwaciarnia z otwartym tarasem (od strony Wilhelmstrasse) i słynna sala Münzera, tzw. lustrzana (od Miethe Allee). Cóż to było za чудо! 257 m² powierzchni, specjalny przedsiönek i garderoba na 620 wieszaków. Ściany, do wysokości dwóch metrów, wyłożono boazerią, powyżej niej znalazły się alegoryczne malowidła Adolfa Münzera. Ten znany i ceniony artysta niemiecki był absolwentem monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych i specjalizował się w muralach, ściennych malowidłach. Kiedy rozpoczął przygodę z Gliwicami, miał 58 lat, ugruntowaną pozycję zawodową i artystyczną. Zapewne sam nadzorował dekorowanie sali balowej, zaś malowidła zatytułował: „Życie”, „Taniec”, „Muzyka”, „Romans” i „Ballada”.

Fronton budynku wieńczyła nazwa hotelu i potężna rzeźba półleżącej kobiety uosabiającej Germanię, symbol Niemiec. Gliwiczanie bardzo szybko przeczuli ją na frau Hubag, nawiązując w ten sposób do skrótu nazwy inwestora budowy.

Rok 1928

Haus Oberschlesien (HO), Dom Górnośląski, bo na taką nazwę hotelu ostatecznie się zdecydowano, hucznie otwarto 29 czerwca 1928. Było to wielkie wydarzenie nie tylko w Gliwicach, ale też w całych Niemczech. Na uroczystości przybyli przedstawiciele władz prowincji i miasta, był minister spraw zagranicznych Rzeszy, a relacje z otwarcia zamieściły wszystkie polskie i niemieckie gazety górnośląskie. Jesienią hotel odwiedził nawet prezydent Hindenburg. Rano podjęto go śniadaniem, wieczorem na jego cześć wydano koncert. Pierwszym dyrektorem hotelu był Hans Elster, a po jego nagłej śmierci w 1931 roku funkcję tę objął Josef Bonn. Po nim, w roku 1935, Karl Gohring, któ-

ry pozostał na tym stanowisku do 1941 roku. HO bardzo szybko stał się miejscem modnym, centrum życia towarzyskiego i kulturalnego a także niezwykle popularnym motywem pocztówek i najchętniej fotografowanym obiektem.

Rok 1945

Piętnastoletni Josel Piontek, syn Valeckiego Piontek, głównej bohaterki „Pierwszej polki” (powieść Horsta Bienka), tak wyobrażał sobie hotelowe życie: „wysiadają z aut ci hrabiowie i hrabiny z wielkich majątków, ci bogacze, do których należą kopalnie i huty w naszej okolicy, ci baronowie, szlachta i księżęta, ci wszyscy „von”. Wyobrażam sobie, jak wypełniają wielką salę balową, muzyka, świece, dziewczęta w bieli, mężczyźni w czerni, a potem ustawiają się w długich szeregach do polki lub poloneza”.

Kres temu hotelowemu życiu położyła mroźna styczniowa noc 1945 roku. W wielu pomieszczeniach pozostawiono mnóstwo nazistowskich insygniów: flag, portretów Hitlera, jeszcze nieopakowanych mundurów, propagandowych broszur i dokumentów. Gdyby nie one, być może hotel ocalałby, jak wiele innych „wrogich” budynków. Rosjanie oczywiście splądrowali go, jednak gdy zajrzeli do pokoiów na piątym piętrze i zobaczyli flagi, mundury, portrety, z zemsty podpalili budynek. To jedna z wersji zagłady Haus Oberschlesien. Druga jest bardziej przyziemna: czerwo-noarmiejcy dopadli piwnicy z trunkami, nieźle się popili i wypuścili się na pokoje. Tam, zamroczeni alkoholem, przysnęli, zapominając o zgaszeniu papierosów. Ogień szybko się rozprzestrzenił, sprawcy pożaru uciekli, a do ratowania niemieckiego hotelu nikt się nie kwapił. Budynek płonął przez trzy dni, a kiedy ogień ustał, z hotelu zostały mury. I monumentalna frau Hubag.

Wypalone wnętrza straszły przez kilka miesięcy. Dopiero pod koniec 1945



Ruiny hotelu; przełom lat 1945/46

roku nowa władza zdecydowała o odbudowie gmachu. Gliwice w tamtym czasie pretendowały do roli stolicy przemysłu, potrzebowały więc biurokratycznej maszynerii – biur projektowych, centrali i zjednoczeń oraz odpowiednio reprezentacyjnego miejsca. Dawny hotel nadawał się do tego wręcz idealnie.

Zadanie powierzono znanemu architektowi Tadeuszowi Todorowiczowi-Todorowskiemu. Lwowiak z urodzenia, gliwiczanie z konieczności, był absolwentem Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej. Studia skończył z bardzo dobrym wynikiem i prawie natychmiast rozpoczął tam pracę jako starszy asystent. Nie tylko prowadził zajęcia, sam chętnie zdobywał szlify w różnych architektonicznych pracowniach. W 1935 roku zrealizował we Lwowie projekt własnej willi w koncepcji na wskroś nowatorskiej. Willa przetrwała do dziś i jest przykładem architektury z ponadczasowym przesłaniem.

W 1945 roku wyładował w Gdańsku, gdzie spotkał Władysława Kuczewskiego, ówczesnego rektora nowo tworzonej Politechniki Śląskiej. Namówił on Todorowskiego na pracę w Gliwicach, bo tam ostatecznie znalazło się miejsce dla politechniki. Wzięty architekt miał 38 lat i zaczynał nowy, gliwicki rozdział swego życia. Od listopada 1945 do 1953 roku kierował katedrą zabudowy osiedli na wydziale inżynierijno-budowlanym. To w tym czasie dostał zlecenie na przygotowanie przebudowy dawnego hotelu. Jego wizja nie zatracala charakterystycznych cech budynku: miał pozostać monumentalnym kolosem w szarych barwach. Miejsce hotelowych pokoi zajęły pokoje urzędników, frontonu nie wieńczyła już żadna figura – frau Hubag zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Jej miejsce zajął olbrzymi napis Centralny Zarząd Przemysłu Chemicznego.

Lata 1954–1965

W roku 1954 Todorowski skończył odbudowę „kamiennego pudła”, a do kilku pomieszczeń przy Zwycięstwa 21 sprowadzili się miejscy urzędnicy. Od tego czasu dawny Haus Oberschlesien stał się siedzibą władz, choć przez co najmniej dekadę Miejska Rada Narodowa dzieliła to miejsce z instytucjami związanymi z przemysłem chemicznym. Ich lista była bardzo długa i wystarczyła do zamontowania w 1965 roku na frontonie wielkiego neonu „Chemia żywi, leczy, buduje”. Będzie on wieńczył gmach do końca lat 1980.

Dr Ryszard Nakonieczny, pracownik naukowy Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej poświęcił Todorowskiemu rozprawę habilitacyjną. Architekt był postacią nietuzinkową, wymykającą się wszelkim ramom, wolnym umysłem i awangardowym twórcą, a jego dorobek łączy w sobie wielokulturowe dziedzic-

two Kresów Wschodnich z pragmatycznymi cechami śląskiej kultury.

– Będąc socjalistą z przekonania, Todorowski nigdy nie związał się z partią, zawsze pozostawał wolny od polityki. Jego budynki – podobnie jako on sam – zawsze są suwerenne i wielowątkowe. Łączą w sobie różne pierwiastki w spójną całość. Tylko z pozoru ulegają dyktatowi czasów PRL-u, ale tak naprawdę operują przywiązaniem do ponadczasowych wartości, opartych na głębokim szacunku wobec przestrzeni ponad podziałami historii – twierdzi Nakonieczny.

Todorowski, przechadzając się ulicą Zwycięstwa, tysiące razy spoglądał na „swój” gmach, dawny hotel i uważał, że nie ma się czego wstydić, bo jego projekt nie zszpecił budynku, zachowując – o czym mówi dziś dr Nakonieczny – ducha historii. Wybitny architekt zmarł w roku 2001, w wieku 94 lat.

Lata 1989–1995

W początkach lat 90. kamienne pudło na dobre stało się siedzibą Urzędu Miejskiego. Zdemontowano neon (nie wiadomo, gdzie się podział), zaczęto myśleć o gruntownym remoncie wnętrza i elewacji. Do nowych wizji nie bardzo pasowało masywne kamienne wejście, miasto chciało bowiem nowoczesnego rozwiązania.

W 1994 roku zleciło tyskiej pracowni Andrzeja Krzysztofa Barysza zaprojektowanie przebudowy frontowej elewacji wraz z wejściem. Koncepcja zakładała przeszklenie budynku na całej wysokości, poprowadzenie rur w formie konstrukcji nośnych, „schowanych” za szklaną taflą. Architekt przewidywał również zamknięcie dziedzińca dachem i stworzenie w tym miejscu biura obsługi klientów.

Projektu Barysza, niestety, nie zrealizowano. Podobno zabrakło pieniędzy. Na nieszczęście dla monumentalnej bryły, oszczędzonej przez wojnę i genialnie

przeprojektowanej przez Todorowskiego, urzędnicy wprowadzili własne poprawki do koncepcji tyskiego architekta. I tak, zamiast pierwszoplanowej szklanej przestrzeni, wyeksponowano szpetne rury, niszcząc ciekawą architektoniczną wizję. „Zemsta hydraulika” straszyla przy Zwycięstwa przez 20 lat.

Luty 2016

Urzędnicy wciąż przekonywali, że potrzebują nowego urzędu, bo dawny hotel opiera się próbom przerobienia go na standardowy biurowiec. Warto wydać miliony na nowy budynek, zamiast pompować je w stary, argumentowali. Sporządzono nawet oficjalną listę możliwych lokalizacji, z ulubioną, czyli tą obejmującą tereny ogródków działkowych na tyłach Urzędu. Z budowy jednak zrezygnowano, bo okazała się znacznie kosztowniejsza niż najgruntowniejszy remont.

Wybrano modernizację. Zaplanowano wymianę stolarki okiennej, instalacji centralnego ogrzewania, docieplenie części dachu (nad skrzydłem północnym) i ścian zewnętrznych. W zakres prac wchodzi wykonanie elewacji oraz przebudowa wejścia głównego. Betonowy portal z podwójnym wejściem zastąpił przeszkloną część fasady z metalową instalacją.

Zamysł przebudowy historycznego budynku zaakceptował wojewódzki konserwator zabytków. Koncepcja architektoniczna wraz z dokumentacją projektową kosztowała 95 tys. zł. Autorem opracowania była gliwicka pracownia Bud Serwis RDK. Prace rozpoczęto w pierwszym kwartale 2016 roku, a zakończono w drugiej połowie 2017. Projekt podzielił gliwiczanie, którzy dyskutowali o nim na żywo i wirtualnie, pytając, dlaczego „nowe” nie nawiązuje do „starego”. Wraz z tą modernizacją w historii „kamienicznego pudła” z widokiem na Kłodnicę otworzył się kolejny rozdział. ■



Dawny hotel to dziś siedziba Urzędu Miejskiego w Gliwicach

Gdy synowie górników sięgają po pióro

JACEK OKOŃ

Górnicy kontekst życia niekoniecznie musi określić zakres tematyki pisarskiej. Jedno z drugim nie musi się wiązać, co niejednokrotnie zostanie w literaturze potwierdzone. Jeśli jednak natrafiamy w tej dziedzinie ludzkiej działalności (tj. właśnie w literaturze lub piśmiennictwie naukowym) na synów górników, świadczy to także o ambicjach ojców, ambicjach zrealizowanych w potomstwie. Jakże to też współczesne zjawisko!

Z „synem górnika” miał świat już do czynienia jeszcze przed wystąpieniem Georgiusa Agricoli, któremu przypisuje się zapoczątkowanie tematyki górniczej w piśmiennictwie. Pisma syna górnika z Eisleben, mnicha augustiańskiego Marcina Lutra (1483–1546), spowodowały głęboki podział w łonie chrześcijaństwa, i to na gruncie nie tylko politycznym, ale przede wszystkim teologicznym. Pominąwszy 95 tez, przybitych do drzwi kościoła w Norymberdze, pozostawił Luter po sobie liczne dzieła o charakterze ściśle kościelnym, choć już w nowym, reformacyjnym, ewangelickim wydaniu, m.in. *Postylla domowa*, *Mały i Duży katechizm*. Do dziś śpiewa się w kościołach zwanych „luteranскими” pieśń napisaną przez tegoż syna górnika (fragment w języku polskim):

Warownym grodem jest nasz Bóg,
Orężem nam i zbroją.
Wybawia On ze wszelkich trwóg,
Co nas tu niepokoją!

Luter nie miał powiązań innych niż rodzinne ze sferą górniczą. Jego pisma nie wiążą się też z górnictwem w żaden sposób, tym bardziej nie jest też człowiekiem górnictwa. Również jego ojciec, górnik, w późniejszym okresie odszedł od górnictwa: zakupił piec hutniczy i wytapiał metal. Istotne tu jest, że syn górnika w wiekach, które uważamy za punkt startowy nowoczesnego górnictwa (kruszcowego), nie tylko sprawnie posługiwał się już w tamtym czasie piórem, ale tworzył dzieła, które go przeżyły.

Liczne wpływy tego fenomenu (górnicy środowisko rodzinne, kształtujące przyszłego lub działającego pisarza) pojawiają się w XIX wieku, przyczyniając się do rozpowszechnienia wiedzy o górnictwie. Powtarzają się raz po raz sytuacje, w których wiedza o górnictwie nabywana jest w rodzinie w sposób jak gdyby niezauważalny, stanowiąc przedmiot rozmów przy stole, troski matki, skarg ojca, „codziennego bytowania”. Oto do głosu dochodzi niemała grupa pisarzy, mniej lub bardziej wybitnych, nazywanych wszakże przez encyklopedie „literatami”, którzy wywodzą się wprost z rodzin górniczych, choć sami nie podjęli nigdy trudów tego zawodu. Chodzi o sytuację, gdy np. górnikiem był ojciec albo syn, może brat, może

też przyjaciele rodziny. Temat górniczy jest wtedy częścią przekazu rodzinnego, wiarygodność przekazu utożsamia się z wiarygodnością bliskich, nie jest więc przez autorów takich kwestionowana.

Wiedza o górnictwie nabyta jest od osób „które nigdy nie kłamią”, osób kochanych i szanowanych. Zofia Bukowiecka (1844–1920) pewnie nigdy nie napisałaby powieści *Historia o Janku górniku*, gdyby nie fakt, że jej syn, Stanisław, z którym zamieszkała w Dąbrowie Górniczej, jako prawnik otrzymał zatrudnienie w jednej z kopalń węgla kamiennego. W domu Bukowieckich bywały osoby z grona zarządu kopalni, inżynierowie, nauczyciele zawodu w powstałej dopiero co szkole górniczej „Szttygarka”. Pisarka czytała w rękopisach powstające tam dzieła fachowe. Nagromadzony w ten sposób materiał wykorzystwała do stworzenia swej najsławniejszej powieści. Podobnie ćwierć wieku później Ferdynand Goetel dobrze wykorzystał swą pracę etatową w charakterze sekretarza na AGH oraz fakt, że w kręgu znajomości pojawili się przemysłowcy i dyrektorzy, opiekujący się uczelnią. Był bratem geologa, późniejszego rektora AGH, prof. Walerego Goetla. Wiadomości wtedy nabyte pozwoliły mu napisać dzieło *Anakonda. Powieść o węglu*.

Zadziwiające, jak bardzo pożywne było to środowisko, skoro po polskiej stronie Śląska nastąpił w dwudziestolecu międzywojennym istny wysyp owych „synów górnika”. Wyliczmy, choć to pewnie nie wszyscy: Stanisław Ligoń (1879–1954), syn maszynisty kopalnianego; Jan Waśniewski (1896–1945), syn górnika kopalni galmanu; Aleksander Widera (1917–2002) syn górnika z Rozbarku; Karol Berger (1894–1953) i Adolf Fierla (1908–1967), synowie górników z Zagłębia Karwińskiego; Wilhelm Szewczyk (1916–1991) i Izidor Plaszczyk (1910–1956), synowie górników kop. „Dębieńsko”.

W dwudziestolecu międzywojennym debiutował opowiadaniem zamieszczonym w prasie syn górnika z Zabrze, Anzelm Gorywoda (1907–1982). Apogeum twórczości tego pisarza przypadło na okres Polski Ludowej, kiedy to wydawał zbiory opowiadań o wspólnym podtytułach *Opowiadania śląskie*. Również po sąsiedztwie trafił się Ondra Łysohorsky (właśc. Erwin Goj, 1905–1989), śląsko-czeski poeta, twórca „języka laskiego”, syn górnika kopalni „Albrecht” w Pietwałdzie.

W charakterze ciekawostki odnotujmy tu fakt, że udaną próbę stworzenia legendy o swym górniczym pochodzeniu podjął na początku swej praktyki pisarskiej Gustaw Morcinek. Twierdził, że jest synem górnika i że jego ojciec zginął w katastrofie górniczej. To uwiarygodniało (!) go w oczach czytelników. W rzeczywistości ojciec był wozakiem w karwińskim browarze, zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

W ostatnich latach dała się zauważyć duża aktywność literacka w zakresie biografistyki księdza infułata Pawła Pyrchały (ur. 1932), duszpasterza internowanych w stanie wojennym. Wiąże się to z przejściem tego zasłużonego zabrzańskiego kapłana na emeryturę i twórczym zagospodarowywaniem czasu, a także z osobistymi zainteresowaniami i dostępnością akt wcześniej nieznanych, pochodzących z zasobu Instytutu Pamięci Narodowej. Ksiądz Paweł Pyrchała urodził się w Dortmundzie w rodzinie górniczej należącej do śląskiej diaspory w Nadrenii-Westfalii. Jego dokonania pisarskie i naukowe obejmują zebranie i przetłumaczenie materiałów źródłowych oraz opisanie życia wielkich kapłanów śląskich: Antoniego Korczoka, Jerzego Joniena, Teodora Christopha, Jana Frenzela, Pawła Krafczyka, Pawła Janika, Antoniego Thomeczka, Jana Dolli, Franciszka Pieruszki i ostatniego niemieckiego biskupa warmińskiego Maksymiliana Kallera.

Ogromna jest ilość publikacji – naukowych, podręcznikowych, popularno-naukowych, homiletycznych, prasowych – syna górnika kop. „Bobrek” w Bytomiu, ks. biskupa Jana Kopca (ur. 1947), do niedawna ordynariusza diecezji gliwickiej i profesora Uniwersytetu Opolskiego. Charakter zdecydowanie literacki posiadają niektóre teksty tegoż autora publikowane w różnych okresach na łamach opolskiej edycji „Gościa Niedzielnego”, szczególnie refleksje towarzyszące egzotycznym podróżom i pielgrzymkom, zebrane pod jedną strzechą w publikacji *Przygoda z „Gościem Niedzielnym”*. *Teksty publikowane w latach 1972–2010*.

Nie braknie na pewno synów górników również w młodszych pokoleniach piszących. Ale i twórczość córek górników zasługuje na szersze opracowanie. Jednej z nich, Dorocie Szatters, poświęciłem obszerny artykuł w „Śląsku” (nr 3/2022). Chociażby więc z takich względów temat pozostaje otwarty.

Na przykład Szymon Pistorius (ok. 1568 – po 1638)

JAN MALICKI

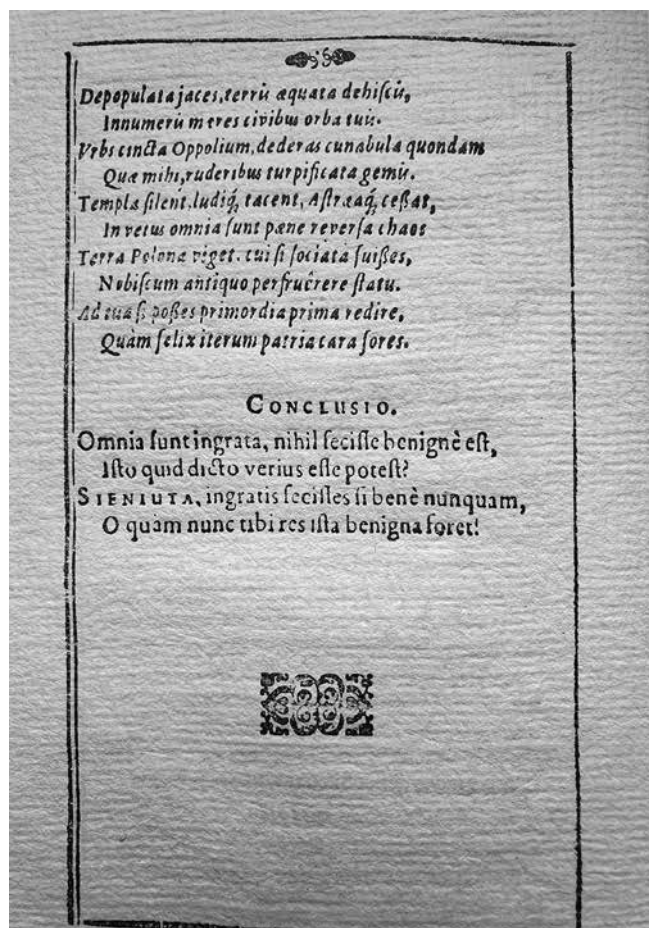
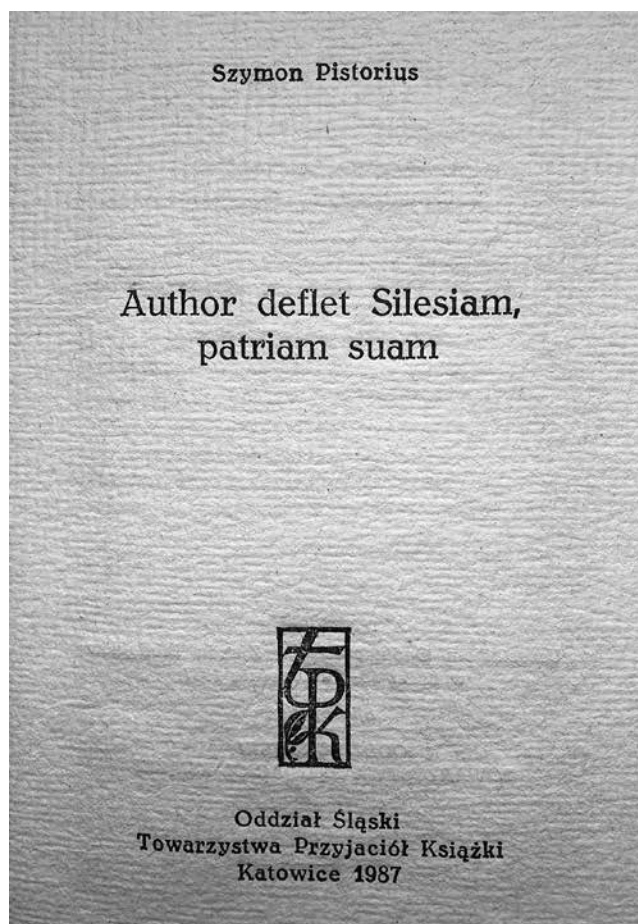
Z ogromną przyjemnością po latach powróciłem do lektury tomu *Modi memorandi. Leksykonu kultury pamięci* (Warszawa 2014), dzieła porządkującego wiedzę o zjawiskach, bez których współczesna humanistyka obyć się nie może. Uwagę moją przyciągnęły te hasła, w których nadrzędnym tematem staje się właśnie pamięć w swojej wielopostaciowości, wieloznaczności, wielobarwności. A jest ona – pozostajmy w stylistyce leksykonu – dominatorem całej przeszłości, przenoszona w kulturową przyszłość. Pamięci dwuskrzydłowej – funkcjonalnej i magazynującej. Pierwsza z nich – pisze Magdalena Saryusz-Wolska, autorka artykułu – „zawiera jedynie wybrane i stałe przypominane wydarzenia z historii danej grupy, której przypisuje się istotne znaczenia dla teraźniejszości”. Druga zaś – pamięć magazynująca – to potencjalny „rezerwuuar zdarzeń współczesnych ważnych dla przyszłości” (s. 325–326). Obie współtworzą dopiero „pamięć kulturową”.

Zdawać by się mogło, iż nieco zagmatwana stratyfikacja utrudnia rozumienie tego, co proste i naturalne. Weryfikowane zaś jednak przez inną różnie rozumianą kategorię – prawdy. Są więc zbiory faktów prawdziwych, prawdopodobnych i śladowo prawdziwych w morzu fikcyjnych

przedstawię. To ledwie punkty orientujące w czasoprzestrzeni kultury. Jej diachronii i synchronii, jak niegdyś mówiłem. Dopowiedzmy wyraźnie. Owa „pamięć kulturowa” każdej społeczności to fundament poczynają historyka literatury, wydobywającego z antykwarycznego zasobu faktów literackich te, które są ważne dla diachronicznego oglądu, a żywotne w synchronii kulturowej współczesności. Nie wystarczy zakrzyknąć „Eureka!”, należy też spojrzeć na jego proteuszowe przeobrażenia w przestrzeni temporalnej.

Takich utworów zapominanych i na nowo odkrywanych w dziejach kultury jest niezwykle wiele. Równie wielu jest ich twórców, jak i przyczyn ich pomijania, zapomniania, przemilczania. Na szczęście anatemy z czasem bledną, tracą moc, stają się ledwie anegdotą dopełniającą. A wtedy wkracza historyk literatury. Odkrywa.

Jednym z takich kręgów religijno-kulturowych jest wyrazista literatura ariańska, socyniańska, braci polskich, która na stałe wpisała się w europejską kulturę, wspominaną np. przez wielkich oświeceniowych encyklopedystów czy strasburskich badaczy lat 80. dwudziestego wieku. Ślady poczynają braci polskich można spotkać w Ameryce, Anglii, Niderlandach. Byli też i na Śląsku, szczególnie w XVI



stuleciu, kiedy krystalizowały się poglądy zboru, a ks. Piotr Skarga mówił: „Ewangelicy zdjęli dach z gmachu Kościoła, kalwiński rozebrali ściany, arianie wykopali fundamenty”, i w XVII wieku, kiedy Wespazjan Kochowski pisał: „Wander, wander aryjany” (niech wędrują – JM), w czasie, gdy bracia polscy wyganiani byli z Polski *ex registro arianismi*. Szczególnie ciekawy jest jednak pierwszy okres sporów o kształt tej doktryny, kiedy Ślązacy – Jerzy Szoman z Raciborza czy Aleksander Witrelinius z Bytomia, zwany Szklorzem – reprezentujący radykalnie skrajne skrzydło ruchu, byli równoprawnymi uczestnikami słynnych dysput z jezuitami.

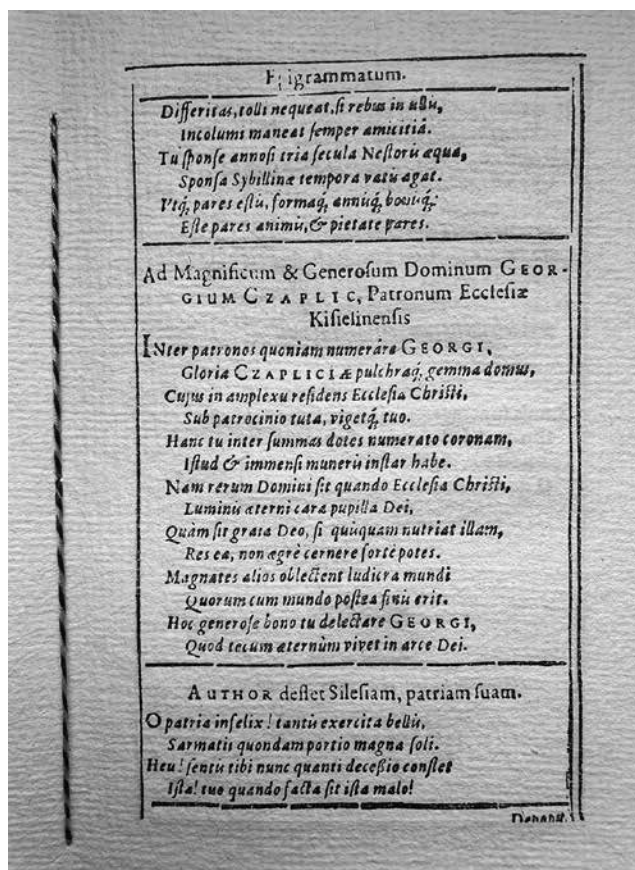
Jest jednak pisarz, który należąc do tej potępianej w czambuł społeczności i „Styksu zapomnienia” swoich dokonań, raz po raz bywa przywoływany w różnym czasie i w różnych kontekstach. To Szymon Pistorius jako autor w gruncie rzeczy jednego epigramatu z dziesięciu nastu zbiorowych tomów owych małych form literackich. Utwór nosi wiele mówiący tytuł: *Autor deflet Silesiam, Patriam suam* (Autor opłakuje Śląsk, Ojczyznę swoją). Zaczyna się tak:

O nieszczęśliwa Ojczyzno, znękana tyłu wojnami,
Co niegdyś wielką tworzyłaś ziemi sarmackiej dzielnicę!
Jakżeś odczuwasz głęboko to dawne z nią rozstanie,
Które stało się dla Cię tak wielkim i zgnubnym nieszczęściem,
Dziś wyniszczona zupełnie, zrównana z ziemią, bolejesz
Nad stratą swych niezliczonych spokojnych obywateli,
Grodzie Opolski! Ty moja rodzinna niegdyś kolebko!

I w zakończeniu:

Gdybyś połączył się z Polską, bujnie kwitnącą krainą,
Cieszylibyśmy się z Tobą znów dawnym Twem stanowiskiem.
Jakże byłabyś szczęśliwa, nasza najdroższa Ojczyzno,
Gdybyś do swoich Ty pierwszych mogła powrócić początków!
(za Ludwikiem Chmajem)

Znamy na szczęście nietypowe dla tamtych czasów losy autora. Urodził się w Opolu około 1568 roku. Znamy jego ojca – Jakuba z Brzegu, któremu poświęcił jeden z wierszy żalobnych. Wiemy, że studiował za granicą, prawdopodobnie w Wittenberdze lub w Altdorfie. Na Śląsk powrócił około roku 1590, podejmując obowiązki luterańskiego pastora w Tarnowskich Górach. To ważny moment w jego biografii. Znalazł się bowiem w kregu rodu Kochcickich – Jana (zm. 1591) oraz nade wszystko Andrzeja, któremu poświęcił kilka utworów, dedykując mu *Drugą księgę epigramatów*, wydaną we Wrocławiu w 1595 roku. Jako duchowny protestancki – pisze Jan Zaremba – „popadł w spór o dogmaty z kaznodzieją niemieckim Andrzejem Bauerem, tak że rada miejska oskarżyła ich obu przed władzą duchowną w Karniowie. Bauer był zwolennikiem Kalwina, Pistorius pod wpływem korespondencji z Faustem Socynem – arianizmu. W 1603 opuścił Śląsk wraz z pozyskanym dla arianizmu Danielem Franconiusem i przybył do Polski”. Prawdopodobnie towarzyszyc im mógł i Tomasz Pisecki z Martowic, wzięty polemista religijny. Jego siostra zresztą, Rozyna, była jedną z trzech żon Szymona. Ciekawe, że z kolei jego córka wyszła za mąż za Jana Crella, bodaj czy nie najbardziej cenionego uczonego Rakowa, owych „sarmackich Aten”. Nie tylko swoim bliskim poświęcał Szymon Pistorius swoje epigramaty. Adresatami byli też inni wybitni ludzie tamtych czasów. Również i Ślązacy, przebywający wówczas w Rakowie, a wśród nich Salomon Paludius, którego niefrasobliwy gest przyczynił się do likwidacji ośrodka i rozproszenia arianskiej społeczności. W sumie w drukarni Sebastiana Sternackiego ukazało się około 20 tomów epigramatów oraz innych dzieł, przypominających ważne postaci z tego środowiska. Jednak z olbrzymiego dorobku



twórczego jednego pisarza do szerokiego grona miłośników książek dotarł tylko jeden wiersz *Autor opłakuje Śląsk, Ojczyznę swoją*, powstały zapewne w czasie wojny trzydziestoletniej, zamykający zresztą dedykowany Krzysztofowi informację Sieniucie zbiór *Epigrammatum octernio decimus sextus*, wydany zapewne w 1636 roku.

Dalsze dzieje wiersza są już związane z losami Górnego Śląska w XX stuleciu. Najpierw w pamiętnym 1921 roku, w artykule *Stare wiersze o Górnym Śląsku*, opublikowanym w „Głosach z nad Odry”, pojawia się sam tekst. Dla wielu czytelników było to odkrycie. Jednak dopiero publikacje Pawła Musioła i Ludwika Chmaja spopularyzowały i upowszechniły ten wiersz. Ostatni raz przed wojną o nim wspomniła katowicka „Fantana”. Wpisane w wiersz naturalne emocje człowieka zostały odczytane i dopełnione akcentami współczesnymi. To wszak czasy Michała Grażyńskiego. Po raz wtóry stanie się to w okresie powojennym, szczególnie w pierwszej dekadzie PRL.

Na szczęście doczekaliśmy się i literackiej rehabilitacji wiersza. Oddział Śląski Towarzystwa Przyjaciół Książki przygotował z najwyższą starannością, z zachowaniem wszelkich reguł sztuki wydawniczej, bibliofilską edycję utworu, ofiarowaną „Uczestnikom Ogólnopolskiego Zjazdu Bibliofilów w Łodzi 18–20 września 1987 roku”. Uczynili to Aleksander Widera i Roman Chrzastowski, korzystając z projektu Elżbity Przychowskiej z Jędrzejowa, papieru czerpanego z Dusznik, stosując antykwę toruńską. Był to już odchodzący czas, kiedy piękna, dawna tradycja humanistyczna nakazywała honorowania i czczenia ważnych wydarzeń, rocznic, osób. Mogły to być aleje wyjątkowych drzew, rosaria, galerie osób, księgi upamiętniające. Nasze Towarzystwo wybrało drogę bibliofilskich edycji mało znanych tekstów. Swoisty arystokratyzm współczesności. ■



Ośpiewać momenty graniczne

WERONIKA GÓRSKA

Bytom niesłusznie został zaszufladkowany jako miasto sypiących się kamienic i rodzin z problemami. To tylko jedna z jego twarzy, podczas gdy druga to liczne, prężnie działające stowarzyszenia i organizacje pozarządowe, aktywiści i pasjonaci, którym leży na sercu społeczno-kulturalny rozwój regionu.

– Kiedy przed trzema laty przeprowadziłam się do Bytomia, moja społecznikowska dusza poczuła się zbudowana działającą tutaj tkanką ludzką – wyznaje Marlena Hermanowicz, liderka Bytomskiego Kolektywu Śpiewaczego. Impulsem do podjęcia tej inicjatywy było usłyszenie w którymś z sąsiednich domów płaczu prawdopodobnie bitej kobiety. Ponieważ nie potrafiła zlokalizować, skąd ów płacz dochodzi i zaoferować pomocy, postanowiła postarać się o Stypendium Prezydenta Miasta Bytomia i stworzyć projekt, który wyciągnąłby panie z domów. – Prawdopodobnie nie udało mi się dotrzeć do osób najbardziej potrzebujących, ale zgromadziłam grono kobiet z całego województwa, w różnym wieku, wykonujących różne zawody, mających różne pasje, poziomy umiejętności muzycznych oraz motywacje, by śpiewać, lecz każda z nich realizuje i rozwija się w ten sposób – nie tylko twórczo, ale też osobowościowo – stwierdza Marlena Hermanowicz.

Liderka Bytomskiego Kolektywu Śpiewaczego odnosi sukcesy jako producentka kreatywna, menadżerka kultury, animatorka społeczności lokalnych, kuratorka, reżyserka, dramatopisarka i śpiewaczka. W latach 2009–2015 była dyrektorką artystyczną Teatru Bezpańskiego. Obecnie pracuje w Muzeum Hutnictwa w Chorzowie, realizując działania związane z interpretacją przemysłowego dziedzictwa. Współpracuje też z Instytucją Kultury Katowice Miasto Ogrodów jako kuratorka projektu Kultura Dęta, realizując

autorską inicjatywę Katowicki Orkiestrowy Uniwersytet Ludowy, w ramach której kilka tysięcy dzieci uczy się gry na instrumentach dętych, dzięki czemu tradycja orkiestr dętych ma szansę na przetrwanie – w unowocześnionej wersji – na Śląsku bez kopalni. W dzieciństwie należała do Zespołu Pieśni i Tańca Rudzianie, wykonującego muzykę ludową, a przed kilku laty, zafascynowana białym śpiewem, dołączyła do Zespołu Śpiewu Tradycyjnego Kuczeryki.

Biały śpiew, nazywany także śpiewokrzykiem, kładzie nacisk na natężenie dźwięku i przenikliwość, dzięki czemu mógł być słyszany na otwartych przestrzeniach, w trakcie prac polowych oraz w zatłoczonych pomieszczeniach, na przykład podczas darcia pierza czy przędzenia. Ta specyficzna forma ludowej muzyki wykształciła się m.in. na terenie Europy Wschodniej czy Bałkanów i z racji obrzędowych funkcji była praktykowana przede wszystkim przez kobiety. W tekstach pieśni tradycja słowiańska przeplata się z chrześcijańską. W Bytomskim Kolektywie Śpiewaczym Marlena Hermanowicz łączy biały śpiew z elementami teatralnymi, wykorzystując przy tym różnorodne formy wizualne, ruchowe czy muzyczne. Repertuar obejmuje zarówno polskie, jak i ukraińskie czy białoruskie pieśni tradycyjne. Kolektyw koncertuje na scenach teatralnych (Teatr Rozbark, Teatr Śląski), ale też w otwartych lokacjach Bytomia i Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii.

Koncert pieśni ukraińskich *Do duchów wołamy, do ciebie śpiewamy*, wykonany 28 czerwca w Teatrze Śląskim, w Dniu Konstytucji Ukrainy, był przejmującym, nie tylko muzycznym, ale też mistycznym widowiskiem. Wzięły w nim udział dwadzieścia trzy kobiety, w tym sama Marlena Hermano-

wicz oraz m.in. Hanna Sopiłka, profesjonalna śpiewaczka ludowa z Ukrainy, która dołączyła do składu po wybuchu wojny. Były bose, miały rozpuszczone lub zaplecione w warkocze włosy i nosiły samodzielnie uszyte gieszła – żółte, pomarańczowe, czerwone albo błękitne. Przed każdą pieśnią – czasami wykonywaną przez wszystkie śpiewaczki, a czasami przez kilka z nich – czytano jej polskie tłumaczenie. Pierwsza część koncertu została poświęcona czasom panięńskim oraz rytuałowi przejścia, jakim dla dziewczyny w kulturze tradycyjnej było małżeństwo. W drugiej części członkinie Bytomskiego Kolektywu Śpiewaczego założyły na głowę chusty, symbolizujące przynależność do stanu małżeńskiego, by śpiewać o tematach tabu, jak nieporozumienia z mężem czy teściową, przemoc domowa, śmierć dziecka, ciężka praca i głód.

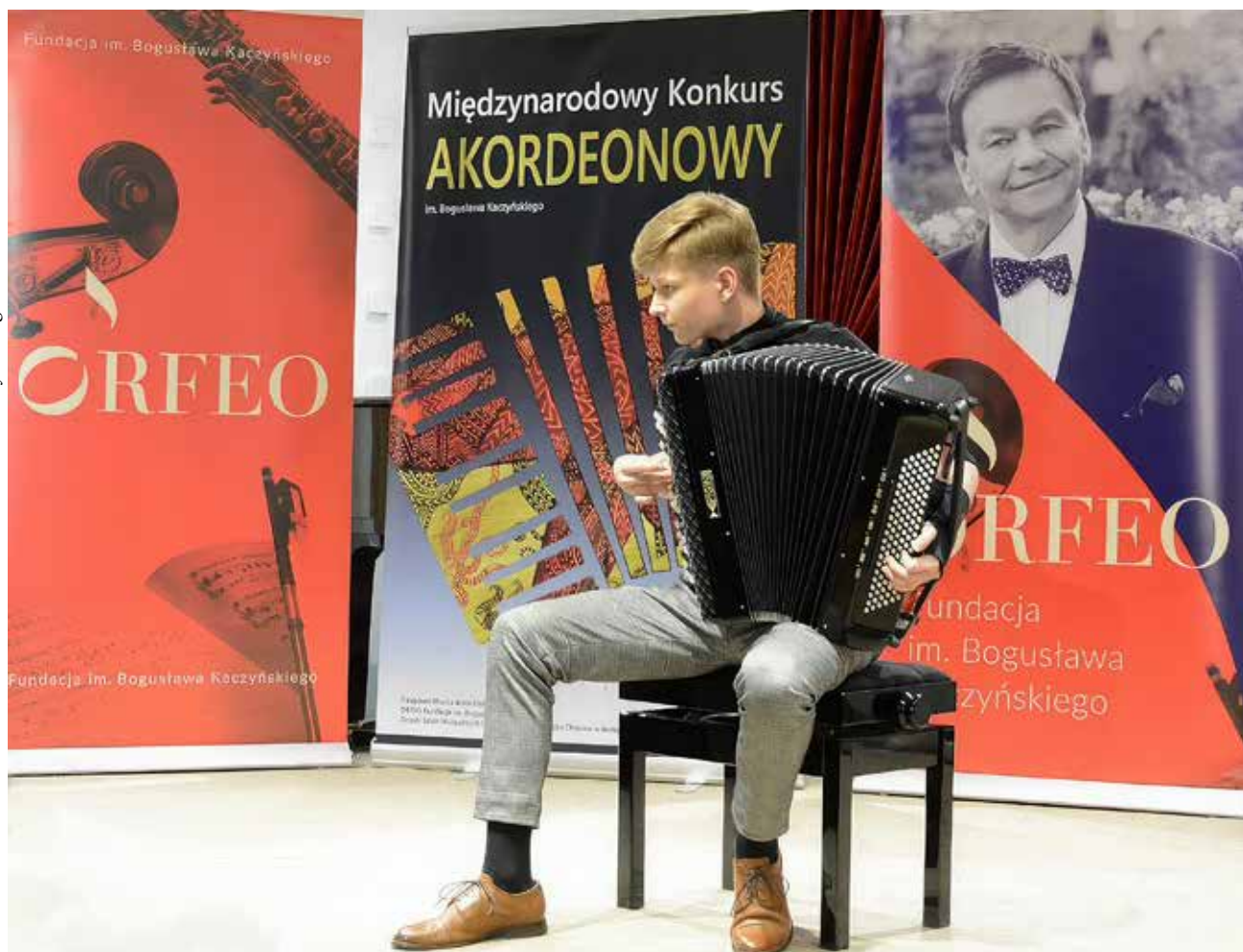
Jak zauważyła Marlena Hermanowicz: – Dawniej kobiety ośpiewywały zarówno momenty graniczne, obrzędy i święta, jak też traumatyczne przeżycia. To była dla nich łatwiejsza forma wyrażania emocji niż otwarte zwieranie się. Ostatnia partia utworów – bardzo skocznych – mówiła o niewiastach silnych, zbuntowanych wobec pańskich porządków, ale również radośnych i roztańczonych. Podczas niej zdarto z głów chustki w symbolicznym geście uwolnienia się z wszelkiej podległości. – Trudno było znaleźć teksty, w których mowa o kobiecym samostanowieniu Mimo że zachowały się liczne ludowe pieśni i że poruszają one wiele różnorodnych tematów, to akurat ten jest słabo obecny. Bardzo mi jednak zależało, by i takie utwory znalazły się w naszym repertuarze, co z jednej strony pokazuje, że nasze przodkinie nie zawsze biernie podporządkowywały się niedolom, a z drugiej ma wartość terapeutyczną dla wykonawczyń i słuchaczek – wyznaje Marlena Hermanowicz. W trakcie koncertu za plecami artystek wyświetlano materiały wideo z ich udziałem, w których kadry z lasów i łąk przeplatają się z pięknymi ujęciami centrum Bytomia, a także nieczynnego Szybu Krystyna, wraz ze znajdującymi się w środku pozostałościami maszyn.

– Nie wyobrażam sobie życia bez Bytomskiego Kolektywu Śpiewaczego – wyznaje jedna z członkiń, Karolina Opara. – Nie chodzi wyłącznie o muzykę i owacje na stojąco, które oczywiście są przemiłe. Największą wartość ma wspólnota fascynujących, inspirujących kobiet, a także o to, że biały śpiew jest czynieniem czarów. W wielkomiejskiej kulturze brakuje duchowości, rytuałów, poczucia łączności z przyrodą, z rytmem pór roku oraz z przodkiniami, które chociaż żyły w innych warunkach, to doświadczały podobnych emocji, co my. Muzyka ludowa wypełnia tę lukę. Niesie katharsis.

fot. Tomasz Makula







Maksymilian Lejk



Konstancja Bukojemska i Paweł Majchrowski z AM w Łodzi

Biała Podlaska, Lejk i Konkurs Akordeonowy

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

To było tak: pod koniec lata 2022 roku usiedliśmy w salonie Bogusława Kaczyńskiego w Wilanowie, by zastanowić się nad planami działania Fundacji ORFEO. Prezes Zbigniew Napierała rzucił hasło, dotyczące organizacji międzynarodowego konkursu perkusyjnego. Hasło wędrowało po salonie, odbijając się od pięknych mebli, popiersia Marceliny Sembrich-Kochańskiej (pierwszej Polki śpiewającej w Metropolitan Opera), portretu włoskiej śpiewaczki Giuditty Pasty i statuetek Wiktorów. W końcu, poszukując inspiracji, sięgnęliśmy do książki Anny Lisieckiej *Będę sławny, będę bogaty*. Opowieść o Bogusławie Kaczyńskim. Było tam zdjęcie kilkuletniego Bogusia grającego na akordeonie w Białej Podlaskiej, gdzie przyszedł na świat i spędził młode lata. Tak narodził się pomysł zorganizowania Międzynarodowego Konkursu Akordeonowego.

We wrześniu 2022 roku spędziłem 2 tygodnie w Białej Podlaskiej. Ze smutkiem obserwowałem odlatujące do ciepłych krajów bociany z Podlasia i Mazowsza (mieliśmy koncerty w ramach Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej oraz w Sarnakach i Serpelicach nad Bugiem). Uwielbiam obserwować bociany, ale nie lubię, jak opuszczają swoje gniazda. Przypominają mi o nadejściu krótkich zimnych dni. Popra-

wiły mi jednak humor spotkania z dyrektorem Zespołu Szkół Muzycznych im. Fryderyka Chopina Waldemarem Maciejem Robakiem i prezydentem Białej Podlaskiej Michałem Litwiniukiem. Obaj zainteresowali się pomysłem zorganizowania konkursu akordeonowego i w czerwcu 2023 roku odbył się po raz pierwszy.

W jury zasiadli wirtuozi tego instrumentu, będący równocześnie cenionymi pracownikami naukowymi. Śląsk reprezentował dr hab. Piotr Chołłowicz, profesor Akademii Muzycznej w Katowicach. Ciągłe uśmiechnięta prof. dr hab. Elżbieta Rosińska przyjechała z Akademii Muzycznej w Gdańsku. W jury zasiadł także prof. Volodymyr Runchak z Konserwatorium Muzycznego w Kijowie – akordeonista, dyrygent i kompozytor, współpracujący z AM w Katowicach. Na czele komisji stanął prof. dr hab. Klaudiusz Baran, rektor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina – pierwszy w Polsce akordeonista, który został laureatem prestiżowej Nagrody Muzycznej „Fryderyk”. Jako sekretarz jury pracował mgr Jakub Stefaniak z Państwowej Szkoły Muzycznej w Radzynie Podlaskim.

Eliminacje trwały półtora dnia, tempo było bardzo szybkie. Wystąpiło 26 solistów i 5 zespołów kameralnych. Przyjechali laureaci innych konkursów, więc

poziom był bardzo wysoki. Jurorzy odczuwali radość ze słuchania uczestników. Bezapelacyjnie zwyciężył laureat Grand Prix ORFEO – 15-letni Maksymilian Lejk, uczeń Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Feliksa Nowowiejskiego w Gdańsku. Wręczyłem mu nagrodę Fundacji ORFEO w wysokości 12 000 zł. oraz zaprosiłem go do udziału w gali 5. Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej. Wystąpi w Amfiteatrze 20 sierpnia 2023 roku w koncercie „Klasycznie i romantycznie” z udziałem wspaniałych śpiewaków: Iwony Sochy – pochodzącej z Gliwic gwiazdy Opery Krakowskiej oraz Łukasza Gaja, dyrektora Centrum Paderewskiego. Oboje są absolwentami katowickiej AM. Towarzyszyć im będzie Strauss Ensemble Artura Jaronia.

W kategoriach solistycznych nagrody otrzymali: Bartłomiej Widelka (I m.) i Mateusz Kałamarz (II m.) z Przemysła oraz Ukrainiec Oleksandr Semko (III m.), uczący się obecnie w ZPSM im. Fryderyka Chopina przy ulicy Bednarskiej w Warszawie. Właśnie tę szkołę muzyczną ukończył Bogusław Kaczyński w klasie fortepianu profesora Pawła Lewieckiego.

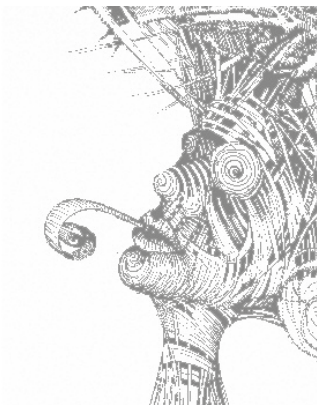
W kategoriach kameralnych zwyciężyli Konstanca Bukojemska (skrzypce) i Paweł Majchrowski (akordeon) z Akademii Muzycznej w Łodzi, a II miejsce otrzymał kwintet akordeonowy z ZSM w Białej Podlaskiej (Marcel Semeniuk, Stanisław Krupa, Jakub Palinowski, Marcin Mitura, Mateusz Golonka).

W swoim protokole jury podkreśliło „wysoki poziom prezentacji artystycznych. Na uwagę zasługują również wzorowa organizacja wydarzenia”. Koncert laureatów był pokazem wirtuozowskich umiejętności młodych instrumentalistów. Kolejny konkurs odbędzie się za dwa lata. Wynika z tego, że akordeon zajmie ważne miejsce wśród wydarzeń Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego, ponieważ jego patron grał na tym instrumencie w dzieciństwie i młodości. Był też instruktorem gry na akordeonie w Młodzieżowym Domu Kultury w Białej Podlaskiej, zanim zaczął robić karierę telewizyjną.

fot. Małgorzata Piekarska, UM Biała Podlaska



Grand Prix ORFEO, Maksymilian-Lejk



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Chechło – Chebzie – Pufferki

W powszechnym obiegu językowym funkcjonuje wiele nazw własnych przywoływanych nie w komunikatach topograficznych, ale w celach stylistycznych. Wielu Polaków na przykład nie wie dokładnie, gdzie leży Berdyczów (w zachodniej części Ukrainy, w obwodzie zytomierskim), ale prawie wszyscy często wykorzystują zwrot *pisz na Berdyczów* znaczący tyle, co „odczep się, bywaj zdrów, nie dam się nabrać, rzecz skończona” – tak jak *Honolulu* (miasto w USA, stolica stanu Hawaje) czy *Pernambuco* (stan we wschodniej Brazylii) – dzięki swym nietypowym, trochę śmiesznym dla nas brzmieniom zdecydowanie częściej występują jako ekspresywizmy wyrażające egzotyczność, odległe położenie, a nie jako ściśle określone miejsca na kuli ziemskiej (znany mem, czasem też z moją obecnością: „Czy zawsze trzeba mówić *Honolulu*? – ktoś pyta. Nie, pada odpowiedź, można się również posłużyć rozkaznikiem *chodź (idź) spać!*; jest to – oczywiście – nawiązanie do niestarannej wymowy zwrotu *chodź no!* – w postaci *cho no*, połączonej z *lulu*, „spać”).

Gdy więc w majowym numerze „Śląska” zobaczyłem tekst Ryszarda Bednarczyka zatytułowany „Daleko od Chechła”, natychmiast przypomniałem sobie z rozczuleniem wczesne dzieciństwo mojego syna, kiedy najchętniej i najszybciej zasypiał przy wymyślonej przeze mnie opowieści o dwóch kamratkach z Tarnowskich Gór jadących rowerami właśnie do Chechła. Bo też *Chechło* wraz z *Chebziem* i *Pufferkami* – z powodu swych nietypowych brzmień – były dla mojego tużpowojennego pokolenia nazwami pełniącymi – tak jak wyżej przywołane *Honolulu* i *Pernambuco* – funkcję magiczno-ekspresyjną. Są one zarazem bardzo archaicznymi nazwami miejscowymi, zasługującymi na wywód historycznojęzykowy.

Zacznijmy od *Chechła*. Wszyscy na Górnym Śląsku znają jedno z najpopu-

larniejszych w naszym regionie kąpielisk, jakim jest jezioro Chechło-Nakło w miejscowości Nowe Chechło koło Tarnowskich Gór. Gdybyśmy szukali znaczenia owego *Chechła* w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 1927 Aleksandra Bruecknera, znaleźlibyśmy w nim tylko czasownik *chechłać* – „rznąć tępym nożem – *chechłakiem*”, zdaniem autora pochodzący od dźwiękonaśladowczych form *chechł, chech* „chichot”. Przyznają Państwo, że inaczej się to ma do naszego *Chechła*.

Czasownikowi *chechłać* znaczenie „rznąć tępym narzędziem” przypisuje również Kazimierz Rymut w swej książce „Nazwiska Polaków” z roku 1991. Przy nazwiskowym hasle *Chechła* z dołączonym do niego formami *Chechłacz* i *Chechłek* znajduje się jednak jakże ważne dla nas jeszcze jedno znaczenie czasownika *chechłać*, a mianowicie „moczyć”. Odmiany ludowe języka też znają *chechłanie* – „moczenie, pranie bielizny”. Wkraczając w znaczeniowe pole mokości, wilgotności, odkrywamy w nazwie *Chechło* jej ściśle nawiązanie do realiów terenowych. Tak, *Chechło* to etymologicznie „teren wilgotny, bagienny”, „mokradło, mokra miejscowość”, „mokra łąka”.

Na Górnym Śląsku mamy jeszcze *Chechło* w pow. gliwickim (w gminie Rudziniec), a w Małopolsce nazywa się tak wieś w pow. olkuskim. W Trzebini jest zalew *Chechło*, w pow. chrzanowskim natomiast – rzeka wpadająca do Wisły. Do tego rejestru można by dodać jeszcze parę innych mniejszych cieków.

Skoro pojawiło się wyżej nazewnictwo połączenie *Chechło-Nakło*, dopowiedzmy metaforycznie, że wilgocią przesiąknięte jest również *Nakło* – i to leżące koło Tarnowskich Gór, i to nad Notecią, a także *Nakieł* koło Przasnysza, *Nakieł* lub *Nakło* koło Włoszczowy i koło Kartuz, *Nakielno* koło Wąlcza oraz *Nakielnica* koło Łodzi. Są to wszystko postacie etymolo-

gicznie związane z niezachowanym w języku polskim wyrazem *nakieł*, mającym jednak odpowiedniki w języku czeskim, np. *nakel* „miejsce podmokłe, zwłaszcza z niskimi zaroślami wierzbowymi”, *nakli* „młode zarośla wiklinowe”, również „miejsce przy wodzie, gdzie się krzewi wierzbina; miejsce bagniste”, *naklo* „miejsce przy rzece; miejsce przy rzece do wyładunku towarów”.

By pozostać w okolicach Tarnowskich Gór, przywołajmy teraz *Pufferki* – część Sowiec należących od dawna do grodu gwarów. Płyń tam rzeczka Stoła i prawdopodobnie od XV wieku funkcjonował rozbudowany system stawów piętrzących wodę, przy których powstawały młyny, kuźnie oraz zakłady przeróbki urobku. Zajmowano się w nich rozbijaniem większych brył kruszcu na drobne kawałki. Tego typu zakłady nosiły w języku niemieckim nazwę *Pochwerk* (*pochen* „pukać, stukać, klepać, tłuc”, *Pocher* „tłuczkarz”, *Pocherz* „ruda tłuczkowa”), a jej polskim odpowiednikiem (substytutem) stały się *Pufferki*. Niemiecka urzędowa nazwa Pufferek – *Gruschka-muehle* (w tłumaczeniu „Młyn Gruszkowski”) – nawiązywała z kolei do nazwiska właściciela jednego z młynów założonych pod koniec XVIII wieku po ustaniu na tym terenie działalności kuźniczej.

Zostało do omówienia *Chebzie*, dziś część Rudy Śląskiej, najważniejszy węzeł komunikacyjny w tej aglomeracji miejskiej. Nazwa ta związana jest z ciągiem takich słów, jak *chebd*, *chebda*, *chebdzina*, *chebziwie* (pisanych też przez „h”), znanych w językach słowiańskich (w serbskim, w czeskim), o pierwotnym znaczeniu „chwast”, u nas – „zarośla”. Praszowiański rdzeń *chebd* został urobiony przyrostkiem „-d” od pnia *cheb*, a ten jest kontynuacją jeszcze dawniejszego *skub*, znaczącego właśnie tyle, co „krzaki, zarośla, łom, susz”. I w tym wypadku mamy więc nazewnictwo nawiązanie do realiów terenowych. ■

Rewolucja, farsa, krew

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I Zaczniemy od Edmunda Burke'a i jego słynnych „Rozważań o rewolucji we Francji” (wydanych po raz pierwszy w roku 1790), a więc książki powstałej w czasach kiedy nad Starym Kontynentem rozbrzmiało hasło „Wolność, równość, braterstwo albo śmierć”. To czasy, kiedy nienawidzący despotyzmu Europejczycy sadzili na cześć Rewolucji Francuskiej „drzewka wolności”. (Komuś rytuał ów mógłby przywołać na myśl dzisiejsze rysowanie kredkami chodników po kolejnym ataku terrorystycznym). Burke, najdelikatniej rzecz ujmując, nie należał do grona entuzjastów Rewolucji. Wolność? – „Czy z tej racji, że pojętą abstrakcyjnie wolność można zaliczyć do błogosławieństw ludzkości, mam serio gratulować szaleńcowi, który wyrwał się z chroniących go ograniczeń i zbawczej ciemności celi, że znów może cieszyć się światłem i wolnością? Czy mam gratulować rozbójnikowi i mordercy, który uciekł z więzienia, odzyskania jego naturalnych praw?”. I jeszcze ta prognoza przedstawiona w czasie dominującej euforii: „Będzie krew. Brak zdrowego rozsądku sprawi, że krew popłynie”.

II

Tak, Burke pisał swoje dzieło w czasach, kiedy cała oświecona Europa przyglądała się z zachwytem niezwykłem karnawałowi wolności, jakim wydawać się mógł początek rewolucji we Francji. Jak wiadomo, dość wczesnie symbolem rewolucyjnego tryumfu stało się zdobycie przez zrewoltowane tłumy Bastylji. Uchodziła ona za symbol królewskiego despotyzmu. Ale w twierdzy znaleziono tylko siedmiu więźniów, dobrze odżywionych i zajmujących obszerne pomieszczenia – w tym czterech oszustów, jednego zbrojnego w stylu markiza de Sade'a i dwu szaleńców, którzy zresztą niedługo potem zostali zamknięci w szpitalu dla umysłowo chorych. A ciąg dalszy rewolucji? Niedługo potem zbiorowe masakry, masowe egzekucje i gilotyna wprawiona w ruch przez rewolucyjny trybunał pokazały, że diagnoza i prognoza postawione przez Burke'a w okresie największego rewolucyjnego entuzjazmu – kiedy kibicowała rewolucji bez mała cała postępową Europą –

nie była wyrazem histerycznej przesady. Na długo, bo na dziewięć lat przed dojściem do władzy Napoleona Bonaparte, Burke ostrzegał: „Przy słabości jednego rodzaju władzy i przy płynności wszystkich, oficerowie pozostaną w stanie buntu, dopóki jakiś ludowy generał, obdarzony prawdziwym autorytetem i sztuką zjednywania sobie wojska, nie zwróci na siebie oczu wszystkich ludzi podbijając serca i umysły. Armie będą posłuszne każdemu jego skinieniu. Lecz dzień, w którym to się stanie, osoba, która rządzi wojskiem, będzie waszym panem, panem waszego króla, panem waszego zgromadzenia, panem całej waszej republiki”. No cóż, kariera Napoleona doskonale wypełniła tę przepowiednię. Jak zatem widać i w tym przypadku profetyzm Burke'a powinien zadziwiać. Nikt jednak nie jest prorokiem we własnym kraju, ani – zwłaszcza – we własnej epoce. Figura Kasandry przychodzi tu na myśl prawie że automatycznie.

III

A przecież, pisze Leslie G. Mitchell w świetnej przedmowie do głównego dzieła Burke'a czyli „Rozważań o rewolucji we Francji” (tłum. D. Lachowska, Wydawnictwo UW, Warszawa 2008), że choć „Edmund Burke twierdził, że jak na cudzoziemca zna «Francję z obserwacji i studiów całkiem nieźle». To właśnie w największej mierze podawali w wątpliwość jego krytycy [...] Burke nie dysponował tym zakresem informacji i kontaktów, do którego mógł się odwołać ktoś taki, jak Charles James Fox”. I nic dziwnego, bo też „zakres informacji o sprawach francuskich dostępny dla kogoś takiego jak Charles James Fox był niemal ambarasujący. Wielu jego najbliższych przyjaciół odwiedziło Paryż między 1789 i 1792 rokiem, i wysyłało zeń sprawozdania z pierwszej ręki”. Czy przyjaciele Foxa, przywódcy partii wigów, byli nie dość rozsądni, by widzieć nie tylko rewolucyjne blaski ale także i cienie? Czy po prostu relacjonowali zaślepieni rewolucyjną ideologią? Czy też może Fox wyciągał z nadsyłanych przez nich informacji fałszywe wnioski, sam trwając uparcie w przekonaniu, że Francja dzięki swojej rewolucji wyprzedziła swojego sąsiada zza Kanału Angielskiego w tryumfalnym pochodzie

wolności? Nie umiem jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania. Nie ulega jednak wątpliwości, że Fox dyskutował z wielkimi tamtego świata, z księciem Orleanu, z Talleyrandem, gdy Burke – rozmawiał i korespondował wyłącznie z nieznanymi nikomu, a zatem zupełnie szarymi Francuzami. A przecież (i dlatego) powszechnie uznawano, że Fox doskonale znał Francję, a Burke – wręcz przeciwnie. Okazać się miało, że to ten ostatni naprawdę rozumiał to co się we Francji działo, więcej – z dzisiejszej perspektywy profetycznie przewidział logikę łańcucha rewolucyjnych zdarzeń. Diagnozy prawdziwego światowca, za jakiego, nie bez racji, mógł uchodzić Charles James Fox, przegrały z analitycznym umysłem i intuicją Edmunda Burke'a. Narzuca się pytanie – czy w tym niewypowiedzianym oficjalnie pojedynku Fox był od razu na straconej pozycji czy jako polityczny diagnosta i prognosta musiał ponieść klęskę? No cóż, nie musiał – wystarczyło nie poprzestawać na bezkrytycznym słuchaniu rewolucyjnych entuzjastów i zadowalaniu się ich nad wyraz powierzchownymi wrażeniami. Trzeba było do tego wszystkiego dołożyć wartość dodaną – po prostu to co się działo, rzetelnie przemyśleć.

IV

Cóż, czasy się zmieniają, ale mechanizmy rewolucyjnych procesów – ulegają co najwyżej korekcji. Edmund Burke pisał w swych „Rozważaniach...” o „ateistycznych księżkach”, którzy „stworzyli własną odmianę bigoterii”, napędzani „porywami parweniuszowskiej buty” i prozelityzmu”, szydził z ich „zmąconych umysłów” Tak, pisma Burke'a były zaproszeniem do poważnej refleksji – nie dętą, tandetną propagandą.

V

A Francja? No cóż... W XXI wieku we Francji trudno oczywiście dostrzec jakiegokolwiek ślady rewolucyjnego entuzjazmu, przeciwnie – dominować się zdaje fala rezygnacji pesymizm wobec fali wyzwań, którym ani francuskie elity polityczne, ani społeczeństwo francuskie najwyraźniej nie umieją stawić czoła. Ich rolą zdaje się dzisiaj kwitowanie kolejnych rat krwawej ceny, którą, jak uznali, muszą płacić.

„uczmy się Śląska...”

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

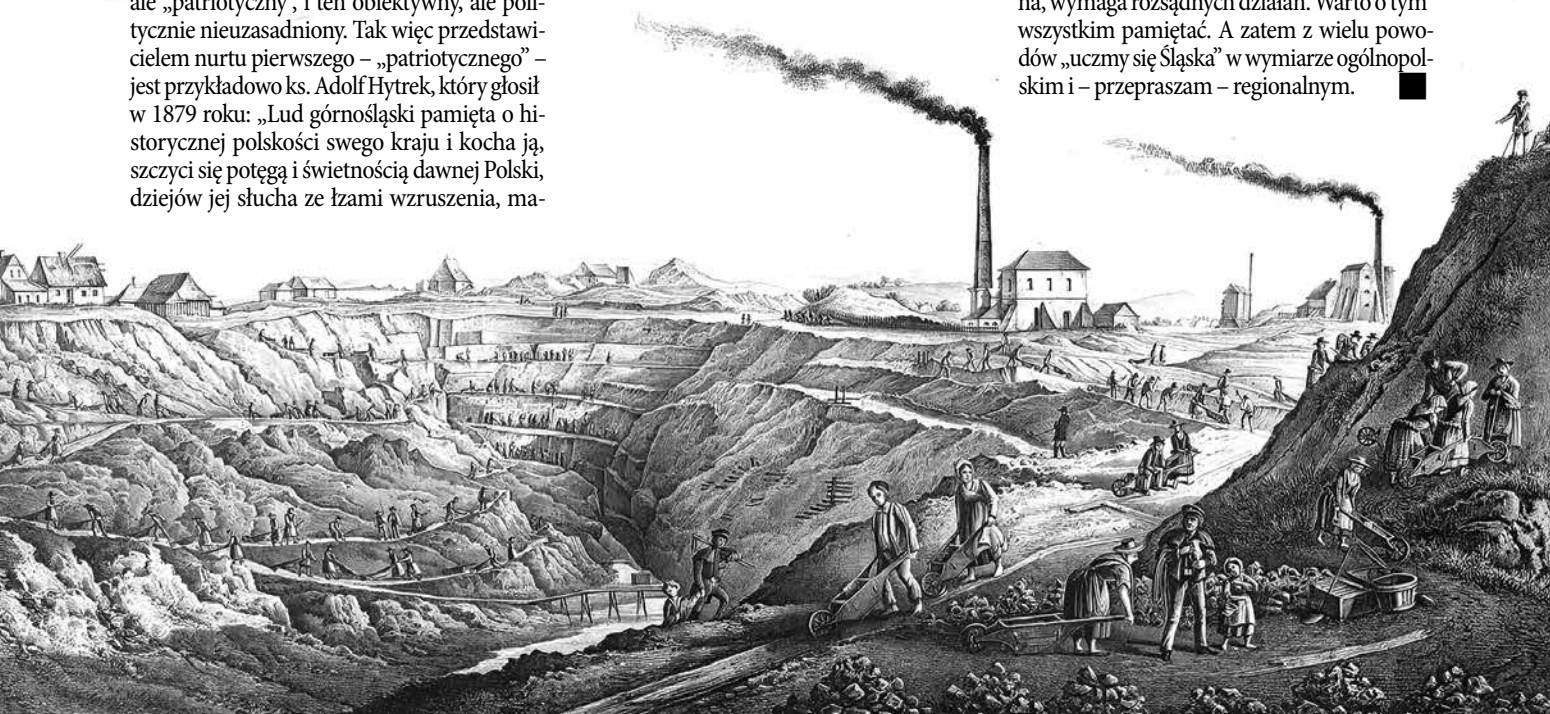
Z całą pewnością wiedza Polaków z różnych regionów kraju o Śląsku, a konkretnie jego wschodniej części, czyli Górnym Śląsku jest znikoma. Tak było już od zakończenia I wojny światowej. „Zapominali to tym, co nasz Śląsk my sami przywieźli do Polski. Bo był Korfanty i jeszcze plebiscyt (...). I dali nom autonomia. A kto w Polsce to tym wiy?” Tak w latach 90. ubiegłego stulecia mówił mój znajomy z rudzkiego Kaufhausu. To był w owym czasie wśród ludności rodzimej pogląd dominujący. A nieprawdziwy obraz regionu trwał wśród Polaków przez cały okres II Rzeczypospolitej, a potem po 1945 roku, w dobie realnego socjalizmu. Wtedy był dodatkowo zakłamany, poddany wizjom ideologicznym. Nie znano przesładowania Górnoszlązaków początkiem PRL-u, czego przykładem „obóz w Zgodzie”, a dodatkowo utrzymywały się niesprawiedliwe opinie o udziale mężczyzn w armii niemieckiej w latach II wojny światowej. Nie dostrzegano też spychania ludności regionu na pozycje społeczne i kulturowo peryferyjne. I, niestety ta niewiedza jest widoczna w panującej opinii również po transformacji ustrojowej. Tak jest do teraz. I przynajmniej, że także dawny dyskurs elitarny wieku XIX też był raczej nieznanym, dodatkowo zróżnicowanym, fragmentarycznym. Dlatego nawet obecnie nie rozumiano tego, co wyraźnie mówi znakomita historyczka Teresa Kulak, że w latach narodowej niewoli „mówiący po polsku Ślązak czy Mazur czuł się Prusakiem, wiernym poddanym króla pruskiego, reprezentował raczej regionalną świadomość i poczucie autochtonizmu”. Istniały też od XIX wieku dwa wizerunki regionu: nieprawdziwy, ale „patriotyczny”, i ten obiektywny, ale politycznie nieuzasadniony. Tak więc przedstawicielem nurtu pierwszego – „patriotycznego” – jest przykładowo ks. Adolf Hytrek, który głosił w 1879 roku: „Lud górnośląski pamięta o historycznej polskości swego kraju i kocha ją, szczyty się potęgą i świetnością dawnej Polski, dziejów jej słucha ze łzami wzruszenia, ma-

rzy o jej przyszłości i pragnie jej tak żywo jak inni Polacy”. A ten „obiektywny” był z wiadomych powodów negowany. Trzeba się jednak zgodzić z Teodorem Jeske-Choińskim, który w tym samym 1879 roku w dalekim Petersburgu pisał, iż „nie tradycje i obyczaje, a nawet język naród stanowią, lecz jeszcze samowiedza odrębnego bytu, własnych celów, własnej polityki, a tego właśnie na Śląsku nie ma”.

A jak jest dziś? Nadal w Polsce utrzymuje się „dziwny” fragmentaryczny obraz, wręcz chaotyczny, niestety uproszczony i też stereotypowy. Dlatego tkwimy w kręgu cząstkowych faktów i wiadomości, i owych współczesnych wiadomości internetowych, które nawet nie zbliżają się do zarysu opisu całościowego. I do tego te brutalne fake newsy. Region więc jawi się przede wszystkim jako obszar przemysłowy, obszar kopalń, hut i fabryk. Ale też jako obszar, który po transformacji ustrojowej uległ w zasygnalizowanym zakresie zmianom, likwidacji górnictwa i hutnictwa. A pisarz Stanisław Bieniasz dowodził, że 1989 roku to była szansa na zmianę wizerunku tej ziemi. I szansa na nowy rozwój regionu. O tym mówił mi wielokrotnie w czasie naszych spotkań. Jego pogląd był następujący: „To właśnie Górny Śląsk musi ulec najgłębszym przemianom, by sprostać wyzwaniom nowych czasów. Konieczność ta, która niesie z sobą wiele zjawisk trudnych i bolesnych, jest równocześnie ogromną szansą zarówno dla tego regionu, jak i – ze względu na jego skalę – dla całego kraju”. Martwił się, że w Polsce trwa obraz regionu śląskiego jako obszaru trwale przynależnego do Niemiec. Śmieszyla pisarza owa „polska niewiedza”. A do

tego panują przecież liczne stereotypy, w tym ów polski stereotyp regionu jako „śląskiej Katanji”. A pozostaje on przecież w opozycji do śląskiej wizji regionu jako z kolei „wewnętrznej kolonii Polski”. O tym mówiliśmy często z Tadeuszem Kijonką, poszerzając ten problem o syndrom „śląskiej krzywdy”. I poeta zachęcał mnie do antropologicznego badania tego zjawiska. Spełniłem jego sugestie. A w tej regionalnej wizji przeszłości i terażniejszości zawarte są przecież i fakty, i stereotypy, i mity. Tak więc zderzają się śląski autostereotyp, nawet metastereotyp z polskim stereotypem. Te poglądy w obu przypadkach ulegają uproszczeniu i mitologizacji. A więc z tego powodu odwołać się do wypowiedzi przedwojennego ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego, który upominał się o to, aby „uczyc się Śląska”. O tym pisał też w 1934 roku bł. Emil Szramek (z czasem ofiara niemieckiego obozu koncentracyjnego Dachau) w znanym studium „Śląsk jako problem socjologiczny”. A wspomniany minister marzył, by Śląsk był poznany „i rozumiany przez całą Polskę, Śląsk otoczony należną opieką i życzliwością, Śląsk związany coraz licznymi węzłami z gospodarstwem narodowym Polski może stać się źródłem nowych sił, niedocenionych jeszcze, nowych mocy naszego państwa. Dlatego uczmy się Śląska, uczmy się dziejów tej dzielnicy i tych ludzi z życia i z ksiązek o Śląsku”.

A dzisiaj jeszcze dochodzi w wizji Śląska kwestia narodowości śląskiej. Przecież wyniki ostatniego spisu powszechnego zmuszają do refleksji. Także wcześniejsze. O tym zjawisku mamy wiele cennych racji naukowych. Sytuacja jest złożona, wymaga rozsądnych działań. Warto o tym wszystkim pamiętać. A zatem w wielu powodów „uczmy się Śląska” w wymiarze ogólnopolskim i – przepraszam – regionalnym. ■



Wirus populizmu

TOMASZ SŁUPIK

Wirus, wirus populizmu krąży po świecie, Europie i Polsce. Mimo, że w większości rozwiniętych społeczeństwach, według OECD, odsetek osób z wyższym wykształceniem rośnie, populistyczna opowieść snuta przez polityków zyskuje na popularności. Słyszymy, że wszystkim winne są złe i skorumpowane elity, które egoistycznie skupione są na zaspokajaniu własnych potrzeb. Nikt zaś, nie chce się pochylić na losem zwykłego człowieka. Jedynymi, którzy wsłuchują się w jego głos i rozumieją jego troski są populiści. Nie tylko się wsłuchują, ale chcą zmienić reguły gry. Odtąd wręcz elity będą poddane procesowi prawdziwej lub symbolicznej degradacji, a reguły gry tak zostaną zmienione, że dotąd uciskana klasa ludowa odzyska swoją podmiotowość i sprawczość. Rzeczywiście, kiedy spojrzymy na ostatnie 40 lat rozwoju gospodarek zachodnich, to zarobki klasy średniej i niższej właściwie nie rosły. Natomiast ludzie bogaci, żyjący przede wszystkim z kapitału, zanotowali spektakularny wzrost bogactwa. Na skutek tzw. przełomu postmodernistycznego daleko idącej zmiany uległa również zasada prawdy. To znaczy: został zakwestionowany jej uniwersalny charakter w zamian za jej partykularne rozumienie przez różne grupy społeczne, czy różne perspektywy interpretacyjne. W ostatnich trzech dekadach zmieniły się również media. Właściwie w tej dziedzinie zaszła rewolucja. Model hierarchiczny i wertykalny z biernym odbiorcą i wszechwiedzącym nadawcą został zastąpiony przez horyzontalną chaotyczną przestrzeń, gdzie liczba nadawców i odbiorców informacji właściwie

jest nieograniczona. Internet, media internetowe, social media stworzyły zupełnie nową przestrzeń komunikacji, gdzie kompetencja i merytoryczny charakter informacji tworzonych przez profesjonalistów został zastąpiony przez emocje i namiętności zarówno po stronie producentów, jak również konsumentów tychże. Te trzy elementy: pogłębiające się nierówności ekonomiczne, nowa sytuacja poznawcza oraz nowy model mediów stworzyły przestrzeń, w ramach której populizm mógł rozwinąć skrzydła.

Dewastacji uległo coś, co skrótowo można by określić jako konsensus liberalny. Kwestionowane są: zasada praworządności, trójpodział władzy, wolność mediów. Dotychczasowy model demokracji liberalnej ulega powolnej dekonstrukcji, coraz skuteczniej zastępowany jest przez demokrację plebiscytną, gdzie populistyczna partia na czele z silnym przywódcą w wyniku wyborów otrzymuje mandat wyborczy, który staje się asumptem do radykalnej zmiany systemu. W życiu publicznym jest coraz więcej agresji, dyskryminowane są grupy mniejszościowe, na wielką skalę toczą się wojny kulturowe, a polaryzacja staje się podstawowym narzędziem uprawiania polityki.

Po drugiej stronie tego równania mamy do czynienia z nowym typem społeczeństwa, jak piszą w swojej najnowszej książce Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski, a mianowicie społeczeństwem populistycznym. Jego najbardziej charakterystyczną cechą jest cynizm. Spora część wyborców PiS mimo tego, iż wie, że media publiczne kłamią, politycy tej partii uwłaszczają się w spółkach skarbu państwa, prowadzą nieudolną politykę zagraniczną – i tak na

nich zgłasza zamianę za transfery socjalne, w tym sztandarowe 500+. Cynizm i wyrachowanie wyborców w Polsce wiąże się przede wszystkim z niskim poziomem zaufania społecznego, co przekłada się na kapitał społeczny, dzięki któremu ludzie są w stanie płacić wyższe podatki w zamian za wysokiej jakości usługi publiczne, takie jak: służba zdrowia czy edukacja. W naszym kraju w ostatnich trzydziestu latach, a szczególnie w dobie pandemii, słabość państwa w obszarze opieki zdrowotnej pokazała, że o wiele skuteczniejsze są indywidualne strategie przetrwania niż wiara w publiczne instytucje i ich skuteczność. Stąd partia gotówki, oferująca bezpośrednio transfery pieniężne, wygrywała i będzie wygrywać z partią reform, obiecującą zmianę systemu i znaczącą poprawę jakości usług publicznych. Nieważne, że gotówka, którą wyda przeciwny Kowalski w prywatnym gabinecie lekarskim czy prywatnej szkole przyczyni się do prywatyzacji usług medycznych, czy edukacyjnych, powodując spadek jakości tych publicznych, jednocześnie windując ceny tych prywatnych. Co w ostatecznym rozrachunku uderzy w tych najbardziej potrzebujących, których nie będzie stać na prywatnego lekarza, czy prywatną szkołę dla dzieci. Populiści zaczynają jako adwokaci klasy ludowej, efektem ich działań jest zaś prywatyzacja domeny publicznej, o jakiej nie marzyli najbardziej nawet ortodoksyjni neoliberalowie. Diagnozują oni zatem dość dobrze objawy współczesnego kryzysu politycznego i ekonomicznego, umiemy nieźle rozpoznać lęki współczesnego człowieka, jednak na poziomie rozwiązań myślą się fundamentalnie. A przecież błąd w polityce, to więcej niż zbrodnia. ■



jeśli Bóg i człowiek to synonimy
trudno się do nich modlić

więc
na czym polega plan czystych rąk

Dlaczego

zamiast iść
zawracasz jak cofająca się fala
między klatkami lat zniknęły
niektóre fragmenty płótna

co się wówczas zdarzyło
jaki zapach i smak lepkiej krwi
dlaczego z fotografii patrzy
zdumiona mała dziewczynka
z czarną wstążką we włosach

znów o brzeg bije martwa fala
jak śnięta ryba. przypomina przeszłość

Ulegalki

na podwórzu wycięte grusze. czerniały powoli
jak życie moich dziadków. szare niczym płótno
do wyszywania koni pociągowych. poruszane tylko
spadającą gruszką. jak wszystkie bliższe śmierci

biegłam przez łąki mocząc nogi w Słudwi. ściśnięta
śnieżnym szalikiem ojca po którym spęzło ostrze
(nie możesz się mazać jesteś duża od zawsze)

teraz zatęchły mrok okrył ściany z białej cegły
lubi powtarzać *nie ma*. składać z kości ich twarze
rysować siny dom zastygły jak staruszek w trumnie
poblady w przekwitłych ulegalkach i białej koszuli

Szeleszczące domy

bo gdzieżby schronili się mieszkańcy z weneckich luster
zajęci rozmową nie widzą dnia. mrok leży w ich
upodobaniu. rozparci za stołem piją czarną herbatę
z białych filigranowych kubków

babcia w filcowych kapciach jakby przysłała na chwilę
przetarta sukienka skóra prześwieca jak pergamin
obrzęklą powieką patrzy na kurz ścian i mówi:
syn namaluje słoneczniki. znów zapomniła że go nie ma

wstaję. robię kawę piję wrzątek. myślę o ojcu
wszystko mogę sobie wyobrazić prócz czułych dłoni

język drętwieje jak twarz babci gdy umierała
dym z papierosa kłuje pod powieką
wielka czarna čma zostawiła ślady na szklance

Zamknięta dłoń

ileż razy próbowałam zapomnieć twarze
płynące w otwarte morze jak okręty-widma
zabrały w tę podróż niepojęty bagaż:
szkielety słów i obrazów jakiegokolwiek losu

przez chwilę patrzył ten co w ciemności przenika
zamykał dłoń na czymś co było czułym światłem
albo precyzyjnym ostrzem. nie potrzebując zgody
na nic

nawet kiedy mówiłaś „będzie dobrze”
na chwilę ustał szum świata jakby był bez ludzi
by zwieść tego który wszystkim włada
dlaczego miałby uchronić. nie musi nas być

Dotyk

tamte wiosny utonęły w zimowych drzewach
wśród łąki liści i cmentarza
wzdłuż rzeki rosły wysokie chaszczce
miejsca na dzikie kryjówki

a my od rana do wieczora wolne jak natura
byłyśmy częścią tej trawy

lecz trawy urosły. z drżącym powietrzem
przeniosłaś się do wielkiego miasta
niebo czatowało na twój oddech
trumna z dębowego drewna twarda i zimna

kiedy dotykam wzrokiem mojej przestrzeni
miejsce po tobie jest puste

żałobna msza. dzwoneczki kadzidło
mówili że piękna jakby taką mogła być

(tyle starań na marne. nie pomogła pielgrzymka
do Częstochowy. odcisk w bucie krwawił. deszcz lał
jak z cebra. pobożny pielgrzym ukradł płaszcz
przeciwdeszczowy)

widok wieńców jakiś absurdalny. czarny tłum
tragikomiczny. ja z różami jakaś nielogiczna nierealna
ksiądz głosi szczęśliwą wieczność żywym wzbranianą

głos dobiegał do mnie jak z dalekiej planety
czarnoksiężnik zapowiadał końca początek
a tu pieśń trumienna i zabite wieko

i szkło do połknięcia

Stuchaj

Śp. Siostrze

w tym śnie idziemy razem
w bezkresnym zachodzie słońca
obudzony brzask otwiera równoległy świat

ta sama ulica dom pokój. ogród pachnie
niebieskawym bzem. do kieszeni zbieramy
kamyki szkiełka z dzieciństwa i zielone lata
chowamy się za węglem przed białą
księżycową mgłą
tylko tak mogę powiedzieć o wdzięczności
o której zapomniałam za życia

w innym czasie i przestrzeni

Nic nadto

to jeszcze początek września. myślałeś
o ciepłych krajach po trzydziestu latach pracy
w kopalni. nie ma ucieczki od losu

sygnał karetki szpital. trafiasz na OIOM
zasypiasz przy niebieskawym świetle lampy
zimny i biały. wyspany z krwi

o jakim pożegnaniu możemy teraz mówić
o jakich trumnach. czarny worek i zapalka
by stać się cząstką wszechświata. teatr skończony

to jest ta prawda która boli do szpiku kości
którą wzgardzam. jeśli to już całość istnienia
i nic więcej. nic nadto

Miejsce w niebycie

żeby wiedzieć jak to jest z tą wiecznością
musiałabym stać się czymś niematerialnym

być może cieniem który nie dotyka
albo cząsteczką wodoru mojej gwiazdy

nie zdradzić się żadnym ruchem
udawać bezpamięć i bierność lotu

dziś nicość i życie wieczne
spierają się o miejsce

śmierć jest bez reszty

W każdym

gdzie ten Blask który w swojej dobroci czuwa
nad zdarzeniami. w każdym miejscu i czasie
pełni najwyższą władzę
może w jałowej śmierci ukrył inne rozwiązanie
– początek

w kraju zakrytym przed ludzkim okiem
skąd ostateczny głos zawoła
więc przestaniesz być w swojej postaci

lecz rozum i ciało utkane ze strachu
nie chcą iść do piachu



Notatki o sztuce (1)

NIKOŁAJ SETNICKI, przełożył MARIAN KISIEL

1 Czy pytanie o sztukę i literaturę jest tylko problemem teoretycznym, wyłącznie akademickim, a tym samym kwestią salonowego sporu, naukowej albo literackiej debaty?

Gdyby tak było, wówczas zupełnie niezrozumiały byłby ten żar i ogień, z jakim prowadzone są wszelkie dyskusje i walka, która od czasu do czasu pojawia się na gruncie sztuki, przegradzając się w polityczne, ostre starcie, często w pogrom i mordowanie niechcianych lub pozornie niechcianych poetów i artystów.

Już Platon wygania „bajkopisarzy” (poetów) i „komediantów” (aktorów) ze swojego państwa.

Chrześcijaństwo walczy z rzeźbą, najpierw buntując się i agitując przeciwko kultowi „idoli”, a potem już jawnie gromiąc (w Aleksandrii) wspólnie ze świątyniami również rzeźbiarzy i ich warsztaty.

A potem na gruncie walki o obraz (ikonę) samo chrześcijaństwo rozpada się na sto lat i na mocy cesarskich dekretów kaci odcinają artystom ręce. A po mahometanizmie ten prawdziwy ikonoklazm przez prawie półtora tysiąca lat zabrania rysowania ludzkich twarzy, pogrążając setki milionów ludzi w jednostronnej kontemplacji wizerunków zwierząt i roślin.

A sama epoka Odrodzenia, w swoim dążeniu do lotu, w swojej próbie połączenia sztuki i nauki, odrzuciwszy wszystkie inne wyższe zasady organizujące, czyż nie pokazuje, jak bardzo sztuka i działanie są ze sobą zrośnięte? Czy te siły, które buzują w życiu i twórczości tytanów Odrodzenia, nie określiły na trzy wieki życia europejskiej ludzkości?

2

Wystarczy postawić te pytania, aby zrozumieć, że nie można przejść obok dzisiejszych sporów literackich i artystycznych, że jawią się one jako fakty wielkiego znaczenia, a nawet o wiele większego znaczenia niż cała obecna kuchnia polityczna wszystkich krajów: burżuazyjnych, faszystowskich i komunistycznych. Wczorajsze niepodważalne reparacje jutro zostaną odrzucone, wczorajsze potrząsanie szabelką zostanie zastąpione wezwaniami do pokoju, a uchwały XIV zjazdu zostaną uchylone przez XV zjazd, aby z kolei jego postanowienia zostały wstydliwie przemilczane po zjazdach XVII lub XXI. Nawet „giganty” i wielkie „budowle” – również one –

zostaną opuszczone i porosną trawą po jakimś dziwnym i niedorzecznie brzmiącym odkryciu, po cichym słowie, wypowiedzianym przez niemalże zepchniętego do podziemia uczonego, specjalistę, które uczyni zbędnym wszystkie szaleńcze napięcia wyczerpującej budowy i szalony szczepek, huk, śwąd, dym i ogień niezliczonych obrabiarek, przenośni, kół zębatach, łańcuchów, wielkich pieców, żeliwiaków i temu podobnych.

Wszystko to może przyjść i odejść w jak najkrótszym czasie, ale te obrazy, które powstały, mogą powstać i będą musiały powstać, określą nie na lata czy dziesięciolecia, ale na stulecia i na pokolenia życie i działalność milionów ludzi.

3

Środek ciężkości w walce, która toczy się w sztuce, leży w sferze pytania o obraz. Obraz jest „produktem”, który daje nam artysta i do niego odnoszą się te same wymagania, jak i do każdej innej produkcji: musi on być odpowiedniej jakości.

Jakie są „właściwości” obrazu? Czego się od niego wymaga? Odpowiedź tkwi w samym słowie. Obraz jest tym, co „odziewa”, „ubiera” rzeczywistość, co poraża, głęboko oddziałuje na umysł. Rzeczywistość jest brzydka – brzydka, chaotyczna, nieuporządkowana – poza obrazem nie jest w stanie porazić, czy w ogóle w jakikolwiek sposób działać mocą swojego zamętu. Obraz jest pierwotną, tworzącą rzeczywistość zasadą. Sam porządek naszego postrzegania otaczającego nas świata jest wynikiem już obecnych obrazów, już uformowanych, przyjętych, spójnych szeregów, które stworzyły samą możliwość postrzegania rzeczywistości jako czegoś uporządkowanego.

Ale obrazu nie wyczerpuje porządek, ład i struktura. On nie tylko „odziewa” i „ubiera” chaos, ukrywając jego ponure ruchy pod kwiecistą osłonką stroju, w który przyoblekła go ludzka świadomość.

Aby nie był tylko „ubranie”, „płaszczem”, pod którym szaleją siły żywiołów, musi wejść w nie głębiej, musi przeniknąć z powierzchni w głąb, przekształcając i przeobrażając ukryte w nim żywioły. Prawdziwy obraz jest zawsze obrazem działania, jeśli nim nie będzie – pozostanie schematycznym ornamentem, odbijającym li tylko powierzchownie, tylko pierwotnie harmonizujący spazmy chaos.

4

„Obraz działania” jest punktem zwrotnym, tym zasadniczym punktem, wokół którego w takiej czy innej formie koncentrują się, jawnie lub domyślnie, wszystkie spory o sztukę w ogóle i wszystkie spory toczące się w poszczególnych dziedzinach sztuki. To nie tylko obraz i nie tylko działanie, ale ich połączenie, ich wzajemne głębokie przenikanie się i łączenie. Właśnie w działaniu i aktywności sztuka ma swój środek ciężkości, a obraz, stając się „obrazem działania”, za sprawą świadomości, staje się aktywnością przegradzającą się w indywidualne i masowe zachowania.

„Obraz działania” tworzy bohatera; bohater, niczym wódz, uwodzi, prowadzi i pociąga za sobą ludzi. Jest wzorem do naśladowania.

W ślad za Herkulesem, wytępiłone zostają lwy jaskiniowe i niedźwiedzie, wytrzebione dzikie i straszne węże. Dzik kalidoński, łania kerynejska i byk kreteński wyznaczają kierunek walki z bestiami, którą ludy toczą od dawna, każdy w swoim kraju. Za Jazonem i Argonautami podążają ci nieznani odkrywcy obcych lądów i mórz, którymi wypełniona jest historia Śródziemia.

Czy po Hercenie trzeba mówić o roli, jaką odegrał Eugeniusz Oniegin, na którego obraz i podobieństwo ukształtowało się więcej niż jedno pokolenie Rosjan. Nawet w czasie rewolucji, jak o tym zaświadczał Błok, ten typ rosyjskiego dandysa czuł się dobrze i, kto wie, może nawet i dzisiaj wciąż żyje, działając i „formując” ludzi.

5

Jeśli tak jest, to należy zadać sobie pytanie, skąd biorą się te obrazy działania, które determinują rzeczywistość? Gdzie jest ich źródło i czym są w swej istocie?

Można na to odpowiedzieć, że istnieje wiele źródeł obrazów, pierwotnych, formujących schematów, a sztuka każdego narodu daje mniej lub bardziej osobliwy przepływ obrazów pochodzących z jakiegoś jego ośrodka. Początkowe źródła inspiracji artystycznej sięgają religii tych narodów, znajdując i zapożyczając z nich te przekazy, w których „obrazami działania” są bogowie, dzieci bogów, bohaterowie lub ich potomkowie.

Sztuka w tych warunkach jest niczym innym jak opisem i interpretacją teofanii. Bogowie i bohaterowie, ich wizerunki i działania są przedmiotem sztuki. I jeśli jest wielu bohaterów i bogów, to mówimy o ich relacjach, ale jeśli jest tylko jeden Bóg, to

musimy mówić o jego relacji do ludzi i ludzi do niego.

Z historycznego punktu widzenia sztuka zaczerpnęła swoje niedokładne obrazy z religii i zwróciła je z powrotem. Historycznie była ona konkretyzacją tego, co najwyższe i najlepsze, co uważano za takie w różnych czasach, a jeśli to, co najwyższe, było również najdoskonalsze, to sztuka stała się sposobem konkretyzacji tej doskonałości, która nie była realizowana w rzeczywistości poprzez abstrakcyjne normy, ale ucieleśniana poprzez obraz.

Takie źródło sztuki zapewniało i tworzyło dla niej jedną ważną zaletę: sztuka ta była jednolita, integralna, a jeśli czasem nosiła w sobie jakieś zaczątki rozpadu i fragmentacji, to były one niczym innym jak odbiciem podziałów leżących poza sztuką.

Sztuka zbudowana na teofanii jest jednością, albowiem ma w sobie kryterium wyboru, a ta jedność przejawia się w i pieśni, i w rzeźbie, i w budownictwie. Taka sztuka ma zawsze swojego Muzagetesa, który pojawia się w towarzystwie chóru muz.

6

Takim Muzagetesem, największym spośród wszystkich w historii sztuki światowej, był Apollo. W jego wizerunku połączyły się cechy doskonałego przywódcy sztuki. Przewodnik muz Apollo był prawdziwym budowniczym świata starożytnej Hellady i Rzymu, którego władcą był Zeus.

Apollo to artysta, budowniczy, ale jest on także Lucyferem – nosicielem światła, Heliosem – słońcem – dającym życie i ciepło, harmonizującym wszystko, odpędzającym potworne obrazy nocy. Jako prorok i uzdrowiciel był dawcą wiedzy.

Przy całym swoim bezmiarze i ogromnym wpływie na wszystkie sfery życia, był jednak bezsilny, by wszystko objąć do końca. Dawca i nosiciel światła, jedynie niósł i dawał światło, sam nie będąc źródłem światła.

Stąd wzięły się wszystkie najgłębsze wewnętrzne walki i sprzeczności w sztuce, które poznała Grecja. Apollo nie był w stanie wszystkiego rozświetlić i oczyścić. Nie mógł zharmonizować całego świata i już w Helladzie musiał podzielić się swoją władzą z bezkształtnym, niejasnym Dionizosem.

Harmonijne natchnienie i spontaniczny entuzjazm to fundamenty, na których zbudowany został grecki artystyczny, odczynny system i hymny bachiczne. A Dionizos–Bachus, otoczony przez bestie i podobne do zwierząt fauny, zastępuje Apolla. Piękny, harmonijny, apolliński kosmos, iluzja doskonałego świata stworzona przez świadomość dnia, zostaje zastąpiona szałem rozszalałych, odurzonych bachantów i bachan-

tek, którzy w swoim szale ostatecznie rozszarpują swojego boga.

Liryka i idylla, heroiczny, boski epos, ekstaza dziennym, oświeconym życiem, zmieniają się w katastrofę, przechodzą w tragedię.

Tragedia jest najwyższą formą sztuki greckiej, wyrosła jako kompromis między władcą muz i władcą fauny, i jak chór odzwierciedla w niej zasadę apollińską, tak zamaskowani bohaterowie przemawiają w imieniu boga rozszarpanego przez bachantki.

7

Sztuka helleniska nie umarła. W renesansie Apollo powrócił z nową siłą, królując w sztuce niemal do połowy XIX wieku. Można nawet powiedzieć, że w jakiś sposób udało mu się pokonać Dionizosa, zharmonizować tragedię, znajdując w niej nuty pojednania. Udało mu się opanować malarstwo, wykorzystując odnalezione jeszcze w Bizancjum sposoby skalania ciała i tła.

Jak wielka była potęga tego hellenckiego boga, widać choćby z historii rosyjskiej, a dla niego – hiperborejskiej sztuki lat przedwojennych, kiedy miał swoje czasopismo „Apollo” i swoje wydawnictwo „Muzaget”, nie bez sukcesu i nie bez chwały największego reżysera muzycznego w sztuce wszystkich wieków.

Prawdą jest, że ze zwycięstwa Apolla w ostatnim stuleciu były poniekąd niepełne. Utorowały one drogę, i jego długoletni towarzysz Dionizos ponownie wkroczył na scenę.

Nietzsche pokazał dość wyraźnie, że Dionizos zajmuje (i słusznie) ważne miejsce w sztuce nowoczesnej. W Wagnerowskiej rewolucji i śmierci nadczłowieka, w upadku muzycznych światów, słyszymy te same krzyki rozszalałych bachantek i wygłuszone mury rozrywanego na strzępy boga.

Podobnie jak w Helladzie, Apollo nawet teraz nie jest w stanie wchłonąć wszystkiego, zharmonizować wszystkiego. Musi coś odciąć i odrzucić, a w tej odrzuconej ciemności niepodzielnie panuje Dionizos. Są teraz nierozłączni, ci bogowie starożytnej Hellady, związani ze sobą mocniej niż w starożytności. Są zjednoczeni jak dwie twarze Bafometa, z których niższa i ukryta odsłania maskę fauna.

8

Ale sztuka współczesna jest bardziej złożonym bytem niż była w Helladzie i Rzymie. Tragizm, organicznie wpisany w ludzki światopogląd klasycznego antyku, jest w naszych czasach skomplikowany przez nowe elementy, które dają o sobie znać od prawie dwóch tysięcy lat...

Nasza sztuka oderwała się od swoich pierwotnych korzeni. Sama w sobie jest wichrem wirujących obrazów,

które nie znalazły jeszcze jednego, centralnego obrazu. Jest chaotyczna i fragmentaryczna, cięży nie ku jednemu, lecz dwóm centrom, odwołując się nie do jednej, lecz do dwóch religii.

Zewnętrznie, w swojej znaczącej części, dzisiejsza sztuka jest dość zsekularyzowana, lub aspiruje do bycia taką. Stara się zapomnieć o swoich niedokładnych, nie dających się pogodzić teofaniach.

Takie teofanie, leżące u jej podłoża, należą do dwóch religii, które do dziś organizują naszą nowoczesność. Dwa niezgodne ze sobą centralne obrazy leżą u jej podstaw, a teraz poeta nie wie, który z nich powinien domagać się od niego świętej ofiary: Chrystus czy Apollo? – Chrześcijaństwo czy hellenizm powinny być uznane za podstawowe schematy, według których ma być zorganizowane życie?

Sztuka współczesna podzieliła się na duchową i świecką. Innymi słowy, chrześcijaństwo nie zdążyło jeszcze wszystkiego wchłonąć i uporządkować.

Wzięło, wybrało jakąś jej część i zrobiło na tym polu bardzo wiele, najdotkliwiej wpisując się w kult, wychodząc z niego i zataczając w życiu coraz szersze kręgi. Jednak w pewnym momencie, nieznanym nam teraz i wciąż dla nas niezrozumiałym, cofnęło się i wycofało przed hellenizmem.

Chrystus odszedł gdzieś na drugi plan, robiąc miejsce dla Apolla. Jest coś, czego nasza współczesność nie odnalazła w Chrystusie. Wciąż nie dostrzegamy w nim pewnych „pozytywnych”, męskich cech, których szukamy u Apolla.

A zapotrzebowanie na te cechy jest oczywiście bardzo duże. W ciągu ostatnich stuleci wizerunek Chrystusa wyblakł, a Apollo stawał się coraz większą siłą na świecie. W ciągu ostatnich stu lat zrobiono miejsce dla jego antypody Dionizosa, a nasza rzeczywistość odzwierciedliła ten nowy odwrót wraz z wybuchem tragicznego światopoglądu, świadomości zagłady całego naszego świata. Jeśli gdzieś istnieje jeszcze objawienie i natchniona realizacja apollińskiej iluzji, która stara się namalować doskonałość dobrze uporządkowanego kosmosu, to jest to tylko zwykłe preludium, sen, poprzedzający zaskakujące przebudzenie, prowadzące do tragedii i katastrofy.

9

Katastrofizm, to z samej swej istoty droga wszystkich obrazów tworzonych w oparciu o postawę tragiczną. Bez względu na to, jak odurzająco jasne mogą one być, bez względu na to, jak radośnie może brzmieć pieśń życia, zawsze w końcu będzie zawierać minnowe nuty, dźwięki zbliżającego się tragicznego załamania.

Tragedia i tragiczny światopogląd są zawsze związane z niemożnością wyja-

śnienia wszystkiego i uratowania wszystkiego, a śmierć jest istotą i matką tragedii. Bezsilność bohatera tragicznego i konflikt, który jest obarczony tą bezsilnością, są tylko uświadamiane i przyspieszane. To właśnie jest istotą katastrofizmu: gwałtownie nadciągająca z głada, wyraźna i oczywista dla wszystkich w swej nieuchronności.

Bezsilny, by zrezygnować z czegoś, co jest sprzeczne z zadaniem, jakie sobie wyznaczył, bohater tragiczny z odwagą rozpaczyci odcina to, co jest podstawą jego natury. I pozbawiwszy się, i odrzuciwszy tę istotną, zasadniczą część siebie, ginie pod ciężarem własnej fragmentaryczności. A raczej, w konsekwencji uznania siebie za fragment i przekształcenia siebie we fragment, uświadomiwszy sobie beznadziejność i niemożność istnienia w tym odciepieniu i odrzuconym fragmencie, przyspiesza proces swojej śmierci. Katastrofa (śmierć skompresowana w czasie) jest nieuniknionym wyjściem z naruszenia spójności, rozdzielenia bohatera tragicznego, niezdolnego do wyśnienia i ocalenia wszystkiego.

10

Naruszenie integralności, a raczej uświadomienie sobie tego naruszenia i dopełnienie go w jakimś akcie, niemożność pogodzenia się z tym, a więc pragnienie przyspieszenia, spontanicznego sprowadzenia na siebie zguby – taki jest tragiczny katastrofizm, jako kara, jako wyrok na bezsilność człowieka, który odciął się i oddzielił od siebie coś organicznie w nim tkwiącego.

Ale czym jest to odcięcie i odrzucenie? Czym jest ta bezsilność?

Jest to odmowa uznania siebie za zdolnego do zbawienia siebie, do zbawienia i oświecenia wszystkich, do oczyszczenia i przekształcenia wszystkich swoich sił, zdolności, myśli, uczuć i wszystkich swoich organów, całego swojego ciała, a ponadto całego świata. Nawet w najlepszym przypadku, w najbardziej sprzyjających warunkach, w największym szczęściu, bohater tragiczny nadal znajdzie w sobie coś, czego nie można oświecić, oczyścić do końca, co musi zostać z niego wyplute i od czego jego szczęście gaśnie jak żałobna iskra przed ciemnością nadchodzącej nocy.

Apollo, niezdolny do pełnego rozjaśnienia świata, ustępuje miejsca mrocznemu Dionizosowi. Harmonia świadomości gaśnie przed próbą gwałtownego skoku, przed zrywem spontanicznego entuzjazmu, który odsłania czarną noc pochłaniającą wszelkie światło. To nie ulega wątpliwości: „na początku była ciemność i na końcu będzie ciemność”. Bohater jest bezsilny, by się jej oprzeć i ją przezwyciężyć.

Im wyżej znajduje się bohater, tym bardziej zdecydowane jest jego dąże-

nie do zguby; im jaśniejsze jest światło, które rozpałił, im silniejsza jest jego świadomość, im mocniejsze jest jego pragnienie pozostania sobą, tym bardziej nieodwołalna, bardziej gwałtowna i straszniejsza jest katastrofa.

Ale jeśli zechce tego uniknąć? Jeśli nie wytrzyma na szczycie swojej rozpaczyci i nie uzna i nie zaakceptuje konieczności, nieuchronności walki, podziału, rozpadu i ruiny?

Stanie się wtedy jej kapłanem, a ona stanie się dla niego najwyższym bóstwem! Kapłani Kybele, wielkiej matki bogów i ludzi, wykastrowali się. Tylko oczyszczając się, wyrzekając się tego, z czym nie można się zbliżyć do matki, bohater tragiczny może zachować życie, uzyskując tę upiorną lekkość i jasność wyjałowionej świadomości, o której tak dobrze mówi Aleksander Błok, przypominając samokastrację Attisa (*Catilina*).

Tragiczna katastrofa zamienia się w kastrację, a jej bohater, pozbawiony prawdziwych zdolności twórczych, w kapłana, prawodawcę, sędziego ludzkich czynów i namiętności, w które sam nie jest już zaangażowany i których nie jest w stanie spełnić.

Może tylko sądzić, ale nie ma mocy poczęcia, może zabijać, ale nie ma mocy dawania i przywracania życia.

11

Ale wraz z takim „wzniosłym” wyjściem z tragicznej sytuacji, w ramach próby ukrycia swojej bezsilności i niższości przez służenie temu, co wyobrażamy sobie jako wyższe, jest także inny sposób, kapitulacja nieco innego rodzaju.

Bohater może okazać się niezdolny do zrealizowania w pełni powierzonych mu zadań, ale jego czyny i cierpienia mogą zostać uznane za godne nagrody.

To jest zwykłe wyjście – HAPPY END. Bohater otrzymuje nagrodę – żonę, zadowolony ze swojego „płciowego” dopełnienia, ogranicza swoje życie do „domowego kręgu” i zapomina o wszystkich tragediach, wszystkich katastrofach, wszystkich kolizjach i katastrofach, pozostawiając potomnym, odkładając na „później” wypełnienie zadań, z których sam zrezygnował.

W ten sposób tragiczny katastrofizm wiąże w jeden węzeł zarówno kastrację, jak i seksualizację relacji z otoczeniem. W obu przypadkach bezsilność bohatera zostaje obnażona, w jednym przypadku negując samą możliwość tworzenia poza wolą innych teraz i tutaj, a w drugim przerzucając ciężar zadań na „dziecko”, które ma ponieść wszystkie grzechy swoich ojców.

„Straszliwa zemsta” (Gogol) za rezygnację z rozwiązania zagadki życia grozi bohaterowi śmiercią z rąk syna, który dorasta gdzieś w nieznanym miejscu, na odległych „polach koniczyny w Karpatach” (Błok – *Odplata*).

12

W ten sposób tragedia, kompromis Apollina i Dionizosa, ujawnia swój związek z mrocznymi, podświadomymi, zwierzęcymi siłami, których człowiek nie jest w stanie pokonać. Nie bez powodu sama w sobie jest pieśnią nie człowieka, lecz zwierzęcia.

Tragedia to pieśń koźła, „kozie głosy”, jak dosłownie tłumaczono to słowo w starej Moskwie.

Tragedia jest zoomorficzna – wszystko zbudowane jest na załamaniu się próby uwolnienia się bohatera, uwolnienia się od jego zwierzęcej i drapieżnej natury. Nie jest w stanie jej zmienić i przekształcić, uczłowieczyć się całkowicie. Może to zrobić tylko częściowo, a jeśli chce pójść na całość, nie pozostaje mu nic innego, jak odciąć to, co najbardziej wiąże go ze zwierzęciem.

Bohater tragiczny jest bezsilny, by przekształcić i zmienić swoją erotykę. Jest bezsilny wobec płci i może ją albo odrzucić, albo ukryć w dobrze ułożonym małżeństwie. Bohaterowie antycznych tragedii (Edyp i Fedra) i bohaterowie współczesnych powieści są w równym stopniu skazani na poddanie się ślepego, zwierzęcego żywiołowi płci, który przyciąga niektórych do świadomej i jawnej śmierci, a innych do ponurego podtrzymywania rodu w mglistej nadziei, że ktoś inny spełni to, czego sam bohater nie dopełnił ani nie osiągnął.

W obu przypadkach twarz bohatera nosi piętno tego, czego nie osiągnął. Rozpacz, smutek i niezadowolenie zniekształcają jego rysy i nie jest przypadkiem, że grecka tragedia ubrała swoich bohaterów w maski, które są niczym innym jak zwierzęcymi i drapieżnymi twarzami lub chari, jako ludzkimi twarzami spłaszczonymi i ściśniętymi przez spazm rozpaczyci i namiętności.

13

Tragedia, rujnujący kompromis między Apollem i Dionizosem, w swoim zoomorfizmie dotarła do dnia dzisiejszego, ale zdegenerowała się tak, jak zdegenerowali się jej bohaterowie. Zoomorfizm i natychmiastowa tragiczna śmierć bohatera stały się odroczeniem śmierci w sytuacji satysfakcji z siebie i radoznego prostacka szczęśliwego małżeńskiego końca.

Kult Apollina i Dionizosa, w którym jasny Apollo zmienia się w ciemnego Dionizosa, w nikkzennika, degeneruje się na naszych oczach. Bohater, który w swoim przeznaczeniu urzeczywistnił wizerunek cierpiącego i ginącego boga, zmienia się w zadowolone z siebie zwierzę, w samca charakteryzującego się zewnętrzną harmonią i atrakcyjnego dla nieskromnej świadomości.

Współczesnym obrazem, w którym łatwo rozpoznać pierwowzór dawnego Apolla, jest Tarzan, bohater fascynu-

jących powieści, człowiek-małpa, syn lorda wychowany przez małpę, najsilniejsze i najpotężniejsze zwierzę, prowadzący nieustanną walkę w dżungli. Ale to nie walka i prace Herkulesa, nie sęp kalidoński czy lew nemeński, pokonane przez człowieka, który wyzwala pradawny las od niszczycielskich potwornych bestii. Semantyczne wyrafinowanie walki jest Tarzanowi niedostępne.

Kult Apolla w naszych czasach przekształca się w kult małpoluda, w kult małpy. Tarzan i jego najnowszy rosyjski wariant Pao-pao są tylko najwyraźniejszymi symbolami tego odrodzenia. Można pokazać, jak wystrzają one szereg współczesnych dążeń, od darwinizmu po kulturę fizyczną, jak kult boskiego piękna ciała przechodzi w uwielbienie dla rozwiniętej muskulatury i zdolności do odpychania wszystkiego, przewyżczając wszelką możliwość innej relacji z przedmiotem niż odepchnięcie i negacja.

Kult współczesnego bohatera to kult samca, który żeruje na samicy i w walce o nią stara się zniszczyć wszystko, co stanie mu na drodze.

14

Tak więc w naszych czasach została już nakreślona i jest rozgrywana ostateczna i wyraźna (apokaliptyczna) walka głównych symboli: Apolla i Chrystusa.

Najwyższym osiągnięciem sztuki apollińskiej jest tragedia, „pieśń kozła”, pieśń samotnego bohatera, bezsilnego w walce z losem, ze ślepą Mojższą, Wielką Matką, Losem i Zewnętrzną Ciemnością.

Co, należy zapytać, można przeciwstawić tragedii i co wysuwa obraz Chrystusa przeciwko współczesnemu małpo-bogu?

Przeciwko samotnemu bohaterowi oderwanemu od chóru występuje zgodny chór prowadzony przez doświadczoną przywódcę, przeciwko bezczynnemu lamentowi – rzeczywy i skuteczny entuzjazm, przeciwko ślepym próbom walki – projekcyjna przemiana, przeciwko teatralnej hipokryzji – świątynne działanie.

Przeciwko tragedii – liturgia.

Nie mamy na razie innego terminu i być może wcale go nie potrzebujemy. W samym tym słowie (liturgia – wspólna sprawa) zawarte jest wszystko, co ważne i istotne, a co uzasadnia nasz sprzeciw.

Rzeczywiście, nie jest to tylko komunizm, nie jest to pozbawione znaczenia *communio* (katolickie określenie komunii). Nie jest to rzymska msza, od której w rzeczywistości pochodzi całe współczesne nauczanie o komunizmie konsumpcjonizmu. Rzymscy kastracy oddzielili i przeciwstawili wspólnotę

i działanie, *communio* i *actio*, i stworzyli pozbawioną działania wspólnotę, która prowadzi do komunizmu konsumpcyjnego i odizolowanego (indywidualnego, grupowego, klasowego, a nawet odizolowanego narodowo) działania własnego ja, próbującego usprawiedliwić faszyzm. Liturgia, wspólna sprawa, pierwotnie świątynna i pro-

jekcyjna, a następnie pozaświątynna i rzeczywista, jest daleka od obu tych jednostronności.

Na płaszczyźnie sztuki rozpoczyna się teraz ostatnia otwarta walka. Potrzebny jest decydujący wybór: liturgia czy tragedia?

Zwolennicy Baranka separują się od czcicieli Kozła!



Nikołaj Setnicki (1888–1937), rosyjski filozof, zwolennik kosmizmu Nikołaja Fiodorowa, który twórczo komentował z Aleksandrem Gorskim (1884–1943), poetą i filozofem. Wiele jego prac powstało we współpracy z Gorskim, podobnie jak Setnicki przeciwnikiem rewolucji bolszewickiej. Ich wspólnie pisane (lub obmyślane) prace ukazywały się m.in. w Charbinie, w którym Setnicki mieszkał w latach 1925–1935. Obaj stali się ofiarami sowieckiego terrorku (Setnicki został rozstrzelany, Gorski umarł w szpitalu więziennym). *Notatki o sztuce* ukazały się w Charbinie (1932) pod pseudonimem G.G. Gieźeliński (panieńskie nazwisko teściowej Setnickiego) i znalazły uznanie wśród emigracji rosyjskiej. W broszurze tej, która w dużej mierze rozwija, a niekiedy przekształca pomysły Gorskiego, Setnicki daje zarys swojego systemu estetycznego, wiążąc ideę sztuki z twórczością życia.

Hansi (1)

JAROSŁAW LEWICKI

Pułk kawalerii następcy tronu stał w dużych koszarach, które wszak nowe, były ponure. Nastawał rok 1914, Kattowitz, miasto stacjonowania pułku ułanów, miało problemy. Byli nimi Żydzi i Polacy, chociaż ci drudzy mniejszym.

Hansi zaczął włościć w okolicach łona i pach, kiedy zaczynała się wielka atmosfera przed Wielką Wojną. Rano budził go sterczący członek. Fryderyk Monstrualny, jak go nazywał Hansi, był ojcem Hansiego. Monstrualny krzyczał: „ręce na kołdrze”. Hansi trzymał ręce na kołdrze, członek zrzucił mu kołdrę na podłogę. Boże, ten członek, Hansi lubił patrzeć na ułanów, którzy jechali czwórkami na ćwiczenia w okolicach Südparku. Hansi zanim wybuchła wojna zaczął się monstrualnie wstydić. Wstyd i strach zaczął się kurczyć w sobie, maleć, karleć.

Pułk był zgrabnym tworzywem, pułkownika Siegenbacha, który od przyjazdu do Kattowitz był już von Siegenbachem, należał do najmłodszych oficerów korpusu cesarza Wilhelma II. Nie pamiętał wojny francuskiej, chociaż francę złapał będąc jeszcze porucznikiem w Strassburgu. Siegenbach nie lubił Francuzów, trudno się dziwić, franca była chorobą brzydka, chociaż typowo żołnierską, Siegenbach się wstydił, a jako taki był człowiekiem rykliwym, bo armia pruska miała drugie miejsce w Europie jeżeli chodzi o rykliwość, po Rosjanach oczywiście. Rosjan Siegenbach też nie lubił, tak więc przyczyn do wybuchu Wielkiej Wojny było aż nadto. Żołnierze na których się drą muszą iść do walki, bo inaczej zgłupieją i staną się socjalistami. Wedle Siegenbacha wojna wisiała na włosku, pogląd ten podzielał Hansi, jego napięcia seksualne były tak wielkie, że coś musiało wybuchnąć.

To byłem ja, Hansi, mówiący o sobie w pierwszej osobie czasu przeszłego. Stawałem się dwuznacznym człowiekiem, którą to skórę narzucił mi ojciec, a nie żona pułkownika Siegenbacha. W związku z tym czuję się zwolniony z dwuznaczności, w którą to, co podkreślałam z całą siłą, wsadził mnie mój ojciec. Dziewictwo jest pozbawione dwuznaczności, a erotyzm jest przyrodzony jak przyrodzenie i nic w tym dwuznacznego, patrząc na to z perspektywy lat to wszystko co się stało to też nie była wina żony von Siegenbacha. Ja rozbudzony – wcale niedwuznacznym erotyzmem młodzieńca, na poły swawolnego, na poły zachwyconego. A to co się wyrabiało, to był czas inicjacji na każdego przychodzący, a ten być może przyszedł później, ale że niechybnie nadchodziły dziejowe burze to i chłopcy rozwijali się szybko, aby jeszcze mogli polec na przyszłej wojnie.

Służąca von Siegenbachów nie umiała uruchomić windy towarowej, którą z podwórza do kuchni podnosiło się wiktuały. Tak tedy pomogłem jej nie przypuszczając, że wchodzę w łapy dwuznaczności, zupełnie proste, ale tak myślałem potem. Matylda, służąca Irminy von Siegenbach pochodziła z Pomorza Przedniego i była to kobieta duża, po trzydziestce, z twarzą okrągłą, i wszystko było w niej plebejskie z wyjątkiem oczu i ust. Irmina zobaczyła mnie z balkonu i zawołała, żebym wszedł do niej, do mieszkania. Wszedłem, w kuchni na dużym stole Matylda wyładowywała skrzynki z zakupami. Pułkownikowa siedziała w sukni koloru ecru, była śniada i wydawała się bardzo ładna. Po pewnym czasie siedziałem na taborecie patrząc na holenderskie kafle z widokiem wiatraków i polderów, takie same jak w naszej kuchni. Matylda mówiła tym swoim jak się później dowiedziałem pomorskim gulgotaniem, opowiadała z przejęciem o kobiecie, która była oskarżona o czary. Było to w czasie okrutnym, bo działo się na początku wojny trzydziestoletniej, dokładnie w 1620 roku kiedy to ścięto i spalono na stosie Sidonię Bork, kobietę wówczas 60-letnią. Sidonia została oskarżona o czary i moc przywoływania złego ducha zwanego Szymek i sprowadzania nieszczęścia na dom Książęcy. A trzeba przypomnieć, mówiła Matylda, ze znanstwem, że w młodości zyskała niejakię względy księcia Ernesta Ludwika z Małogoszczy, do małżeństwa jednak nie do-

szło. Matylda nagle zaczęła mówić pięknym, zupełnie dla mnie zrozumiałym językiem, dziwne, pomyślałem. Matylda kontynuowała; otóż owa Sidonia w akcie oskarżenia miała oprócz wspomnianych, jeszcze 74 zarzuty, wśród których były utrzymywanie stosunków z czarownicami i nieczystymi duchami. Matylda była podniecona, tak mi się w każdym razie wydawało, na potwierdzenie zarzutów przeciw Sidonii przytaczano: że hodowała trzynogiego królika, że trzymała pod stołem zielone miotły położone na krzyż, że kąpała się w jednej wodzie kolejno przez trzy czwartki, że groziła swoim prześladowcom, że ich zamodli na śmierć, że odmawiała tak zwany psalm Judasza, przepowiadała przyszłość, wiedziała co w danej chwili działo się w Królewcu. To było dla mnie zupełnie niezwykle. Starałem się sobie wyobrazić Sidonię Bork jak przemieszczała się tam i z powrotem ze Szczecina do Królewca.

Kątem oka patrzyłem na Irminę von Siegenbach, była to chyba najpiękniejsza kobieta jaką widziałem dotychczas. Matylda kontynuowała, za najpoważniejszy zarzut uznano, że miała rzucić urok na księcia pomorskiego Filipa, słowem, że zadała mu Szymka z powodu czego ten władca długo chorował i wreszcie zmarł. Sidonia Bork długo zaprzeczała jakiegokolwiek winie i nawet wyśmiewała oskarżycieli. Torturowana przyznała się do wszystkiego co jej powiedziano. Oświadczyła też wreszcie, że wolałaby umrzeć. Wtedy spalono ją na stosie. Matylda zakończyła. Byłem przerażony, zdziwiony, ta opowieść sprzed trzystu lat była przedziwna. Zobaczyłem ją w poszczególnych obrazach. Sidonia Bork zapadła mi w pamięć. Dostałem przed nos kubek gorącej czekolady.

– Hansi – powiedziała Matylda szeptem – to co tu się mówi, nie wolno nikomu powtarzać. Wybrałyśmy ciebie bo jesteś inny niż chłopcy w twoim wieku.

– Pij czekoladę.

Irmina von Siegenbach wraz z Matyldą wyszły, ja smakowałem czekoladę i wracałem do teleportacji Sidonii Bork między Szczecinem a Królewcem. Z odwręcenia drzwiwały mnie głębokie westchnienia, dobiegające z uchylonych drzwi służbówki. Wstałem i podszedłem cicho. W uchylonych drzwiach zobaczyłem leżącą na dużym stole Irminę von Siegenbach, była zupełnie naga i niezwykle piękna. Matylda masowała jej ciało systematycznymi ruchami.

Irmina von Siegenbach myślała intensywnie, wibrująco drgała jej dusza, tak jej się zdawało, a było to libido, bo ono zwykle drga, zwłaszcza u kobiet, które z natury rzeczy posiadają duszę karłowatą. Tak tedy drgało, bowiem zbliżała się wojna, a w zasadzie była tuż, tuż. I gdy drgało to libido zaczęła myśleć o Hansim jako młodym mężczyźnie, efebie o pięknym ciele, gładkiej skórze pokrytej meszkiem, który potem znika. U siebie zaobserwowała jak już błyskawicznie on meszek odchodził w przeszłość, a było to już jakiś czas temu.

Matylda z Pomorza Przedniego codziennie się kąpała w zimnej wodzie, stała w wannie i polewała się prysznicem, choć twarz miała plebejską, bo jakąż może mieć pomoc domowa, musiała mieć grube rysy, gruby nos, gruby głos, ale tak nie było, bo Matylda była osobą subtelną i do złudzenia przypominała Matyldę de la Molle. I tyle o Matyldzie, która była piękna i miała skłonności lesbijskie, a może nie. Irminę to podniecało, lubiła oglądać Matyldę nagą, nacierała jej plecy grecką ostrą gąbką. Skóra Matyldy różowiła się wówczas, a sutki intensywnie ciemniały. Irmina była zatem hedonistką.

Myślałem o Irminie i Matyldzie, ciemność była mi sprzymierzeńcem. Moja dusza rosła w ciemnościach, było to dla mnie antidotum na wszechobecność ojca. Wydawało się, że jest wszędzie, w najciemniejszym kącie, gdzie przycupnąłem ja, z moimi myślami. Wszystko spętane, myśli człowieczka takiego jak ja muszą być straszne, ta straszność rosła we mnie, bo wszak nie mogłem o tym nikomu powiedzieć. Chociaż coś jakby widać było. Matka nie, nie, ona by nie przeżyła moich wycieczek w rejon niedostępne, bo

przecież kobiecość dla matki była rejonem niedostępnym raz na zawsze. Tajność kobiecości, dla mnie była nasycona trwożliwym spoglądaniem na Irminę von Siegenbach i Matyldę. Nasza służąca była typem pozbawionym ładności, tego co przyciąga wzrok mężczyzn i zachwyt chłopców. Tak było, moje zachwycenie kobiecym ciałem nie wiem skąd się wzięło. Ot, tak sobie, bo przecież inaczej być chyba nie mogło. Siedziałem więc w czerni pokoju, chowając jak najgłębiej moje myśli o kobietach. Nasz dom, to znaczy ten tu na Beatestrasse pachniał nowością i czymś co kojarzyło się z Irminą i Matyldą, choć ta szła tylko w warkoczu zapachu pułkownikowej von Siegenbach. Coś spowodowało, iż wyszedłem z mieszkania. Udało się to prawie bezgłośnie. Schodziłem delikatnie na palcach, chciałem pójść do Südparku, późnym latem wczesne poranki były tam chłodne i pełne zapachów traw i wilgotności dębów, wśród których czasami buchtowały dziki. Schodziłem na palcach, lęk siedział na plecach, doduszał moją biedną duszę, w którą wpełzały wizje kobiet z ich delikatnością, człowiek sam w sobie i dla siebie wydaje się być osobnikiem odrażającym, tak w każdym razie odczuwałem ja, biedny chrabąszcz, których już przecież nie było, zaczynało się już późne lato. Schody skrzypiały, to skrzypienie było dźwiękiem dojmującym i tak dziwnie powiązaniem z moją grzeszną duszą. Myślałem, że skrzypienie będzie dla mnie sygnałem obezwładniającego grzesznictwa, które w swej istocie było niezmiernie słodkie, bo wszak li tylko z rozkoszą związane. Tak mi się biednemu wydawało. Podest na półpiętrze to pierwszy punkt, z którego można było się jeszcze wycofać. Kląpięciem zasuw. Zdecydowanie zesłupiałem, cofnąłem się z lekkim odchyleniem ciała. W drzwiach, pół piętra niżej stał w całej okazałości pułkownik von Siegenbach. Nie był w swoim pięknym mundurze, tylko w szarym, a pikielhauba przykryta pokrowcem w takim samym kolorze. Było niezmiernie wojennie. Pułkownik szybko zbiegł po schodach.

Skrzyp, skrzyp, przemieszczałem się dalej, a tak naprawdę niżej, wysokie drzwi były jak wielkie usta. Coś w tych ustach drgnęło, chrupnęło i twarz Matyldy w ustach drzwi wzdrygnęła: Hansi, wejdz, proszę. Jej ręka miała biały sztywny mankiet.

– Chcę iść do Südparku – powiedziałem.

– Po co ci, chodźże, trzeba ci coś powiedzieć.

Wzięła mnie za rękę delikatnie, tak jak lubiłem, skóra jej dłoni była leciuteńko szorstka, na wieszaku wisiał mundur galowy pułkownika von Siegenbacha, z szablą. Po lewej stronie, podobnie jak w naszym mieszkaniu służbówka. Była tam kozetka zasłana białą pościelą i krzesło. Matylda posadziła mnie na nim, wzięła za rękę.

– Wiesz – mówiła ciepłym głosem, który był podobny do głosu mojej matki – trzeba uważać, pani pułkownikowa bardzo płakała, chyba będzie wojna. Tak powiedział pułkownik, przyjechał po niego automobil, i pojechali nie wiem gdzie. Pani Irmina cała we łzach. U nas to stare kobiety mówiły, że jak płaczą wszystkie kobiety to wojna będzie na recht., bo tak to chyba kobiety chcą żeby była wojna. Moja matka była mała, kiedy w 1870 r brali chłopów do wojska, a szło ich! Tak tak. Mówiła mi matka, kobiety płakały, ale było im dobrze. Kobieta da sobie radę wszędzie, a chłop tylko na wojnie, albo w szynku. U nas na Pomorzu to i tak kobiety to tylko księżkami nie będą, a chociaż to nie wiadomo, boć tam przecież same lutry. Ja cieszę się, że przyjechałam tu, bo to kraj katolicki.

Trzymała rękę na mojej głowie.

– Hansi, ty musisz uważać, bo jak wybuchnie wojna, to będą się dziać różne dziwne rzeczy. Do domu będą wracać ludzie bez rąk, bez nóg. U nas opowiadało się o strasznych czasach, o wojnie tak dawnej, że nikt jej nie pamiętał, a tylko matka mówiła, że była straszna, tak straszna, że kobiety były tak samotne, że łączyły się w kupy i polowały na mężczyzn, im dłuższa wojna, to na wsiach i w miastach zostawali tylko coraz młodszy i młodszy, dzieci, chłopcy, ot tacy jak ty. Matka mówiła, że moja babka mówiła, że podczas wojny francuskiej ginęli młodzi chłopcy, to może było to też i wówczas.

Weszła Irmina von Siegenbach, była olśniewająca, miała na sobie jakąś przezroczystą tkaninę i wyglądała jak zjawą. Z innej piękniejszej planety. Patrzyłem i wpatrywałem się nie wiedząc, że teraz kształtował się w mózgu obraz kobiety, na całe przyszłe życie.

Irmina von Siegenbach była kobietą wyzywającą, tak było, chociaż Hansi nie wiedział o tym, ale jego już przecież młodzieńcze cia-



rys. Karol Więcczorek

ło przeżyło się. Tak przynajmniej wydawało się wszystkim wiedzącemu narratorowi, który przechodził podobne doświadczenia zwane przez niego później Erotyzmem Malutkich Chłopców. Och, cóż to była za rozkosz, tym większa, że efektem był grzech tak ogromny, przytłaczający z reguły chłopców z dobrych katolickich domów na lata. Było to brzemie istotne, później pisałem to wszystko z dużej litery: Brzemie Istotne. Jednakże na skraju młodości Hansiego było dążenie do rozkoszy. Początkiem był więc obraz Irminy, stojącej w kuchni w peniuarze, bo tak wszak już ten strój możemy nazwać. W tle Irminy i Matyldy, która również patrzyła na swoją chlebobawczynię z uwielbieniem nie było wojny, była ściana w kolorze złota odbijająca światło słoneczne od włosów Irminy. Hansi dostrzegł był pod cienkim materiałem wyraźnie spiczaste sutki pokazywane wzgórków piersi co jego oczom sprawiało nieobliczalną przyjemność, ta przyjemność wydawała mu się skrajem rozkoszy. Matylda z Pomorza Przedniego głąskała go dalej po głowie, w pewnym momencie między skórą palców Matyldy a włosami Hansiego przeskoczyła iskra elektryczna, był to sygnał napięcia seksualnego, który pojawił się u Hansiego przy pomocy napięcia elektrycznego. Bolesność tego doświadczenia była znikoma, a jednak w życiu Hansiego dokonał się milowy krok w obejmowaniu życia jako zespołu napięć, wśród których seksualne nie należało do najmniejszych. Czuł się Hansi skrępowany, może nie tyle burzą, która wybuchła mu na głowie co westchnieniem Matyldy, którą owo elektryczne zdarzenie doprowadziło do przyciągnięcia głowy Hansiego do jej ładnego, acz dość obfitego biustu. Stojąca za stołem Irmina uśmiechnęła się, jej piersi poruszyły się nieznacznie. Cóż to był za widok. Niby sprawa normalna, a tu takie drżenie, drżenie wszystkim co było w środku Hansiego.

To wszystko było się działo w pierwszych dniach lipca, czyli w czasach ponurych i z drgającą w tle wojną, bo wszak Arcyksiążę Ferdynand wraz z małżonką już nie żył. Pułkownik w raz z ulanami przeniósł się do Pless. Gdzie od jakiegoś czasu miał kwatery polową w pałacu hrabiego Hofberga, księcia von Pless, Wielkiego łowczego Rzeszy, Jana XVI, cesarz Niemiec Wilhelm II. Irmina von Siegenbach w sukni koloru ecrú, Matylda w sukni granatowej podkreślającej jej służebną profesję wsiadły do podstawionego przed dom przy Beatestrasse 47 landa wraz z Hansim. Udawały

się do Pless. Podróż była piękna, przez Brynów, obok kapliczki św. Huberta, gdzie kończyły się księżyc polowania i dalej dość szerokim traktem przez Mikołów, Tychy do Pless. Izabelowate volbluty w liczbie czterech ostro ciągnęły lando. W niecałe trzy godziny podróż zbliżała się do kresu. Irmina von Siegenbach głąskała włosy Hansiego i pytała czy podobały mu się jej piersi, które był widział o poranku. Słowa Irminy wpęły do ucha Hansiego oszalamiającą wibracją i jego rodzące się libido przechodziło na twarz, zmieniając ją gwałtownie. Matylda patrzyła jak urzeczona na twarz Hansiego i widok jej poraził ją tym, czego nie umiała nazwać – perwersją.

Była pałacem wylaniała się z oszalamiającej zieleni parku. Upał lipcowy poruszał powietrze, które owiewało głowę Hansiego, nie chłodziło, bo nie mogło, głowa była zbyt gorąca. Matylda patrzyła w oczy Hansiego, on jednak nic nie widział. To co powiedziała Irmina von Siegenbach wytworzyło w jego głowie pustkę, która zwykle pozostaje w głowach chłopców w jego wieku, nie zawsze wszak w lipcowym upale przejeżdżając obok szpitalu ułanów następcy tronu w Pless. Hansi więc zgrzeszył, tak mu się w każdym razie wydawało. Lando zatrzeszczało na podejździe. Stał na nim pułkownik von Siegenbach, uśmiech mu pełzał pod wywoskowanym wąsem. Gorąca głowa Hansiego miała za przeciwnika sztywną pruską głowę von Siegenbacha. Hansi stawał się mężczyzną, choć było to uczucie dławiące kluchą w gardle. Tak to bywa, gdy sprawy zwłaszcza tak istotne dzieją się gwałtownie. Irmina patrzyła na męża, ale jej wzrok biegł nad pruską jego głowę i dotykał pieśczołiwie końców włosów Hansiego. Matylda, świadek zdrady Irminy drżała, nic do tej pory nie wzburzyło jej tak, jak to drobne wszak wydarzenie. Przez ułamek chwili Matyldzie wydawało się, że Irmina zdradziła całą pruską armię i teraz ona przegra zbliżającą się wojnę.

Irmino – głos pułkownika mieścił się na skraj tubalności, i on głos armii pruskiej przywrócił jaźń Hansiemu, ale Irmina była daleka od pruskiej jednolitej myśli państwowej, myślała tkliwie o Hansim, przeżywała równie mocno swoje grzeszne myśli, a to grzech popychał ten świat i do wojny o miłości.

Park w Pless był tak piękny, że nie widziałem nigdy piękniejszego, chyba że był to Südpark, w którym moje zaspanie budziły dopiero jedyne promienie, gdzie widziałem górników idących na szczytę do Oheimgrube albo wracających z ognikami lampek. Tak było kiedy wyslizgiwałem się z domu przed świtem. Górnicy byli brudni, wyjeżdżali z głębi ziemi i szli do swoich domów kąpać się. Cesarza chyba w Pless nie było, pułkownik von Siegenbach patrzył na swą żonę z przyjemnością właściciela pięknej klaczy, tak mi się w każdym razie wydawało. Tedy patrząc na kształt nawoskowanego wąsów pułkownika widziałem go jak całuje żonę, co wydawało mi się absolutnie niemożliwe, wszak Irmina była delikatna tak bardzo, tak słodka i tylko jej połączenie z feldgrau Jurgena zabijało we mnie poczucie piękna, ale już wówczas wiedziałem, że wszak piękno bez brzydoty staje się odpychające, lepkie, słodkie.

– Hansi – głos Jürgena von Siegenbacha uderzył mnie w ucho. – Tylko wojsko mój drogi Hansi – wojsko – zarygłował moje ucho zupełnie – daje mężczyźnie absolutne szczęście. Dawno nie wojowaliśmy, gnuśność zżerała nasze dusze.

Irmina wyglądała na uszczęśliwioną. Jürgen będzie miał to co chce, myślała.

– Nie, ja nigdy, ależ tak pułkowniku, chciałbym być żuławem śmierci i zginąć za cesarza, choć jak mówił mój ojciec to szczęście mnie jeszcze nie spotka. –

Pułkownik Jürgen von Siegenbach został moim przeciwnikiem erotycznym, co mi się podobało i chciałem go poniżyć wywyższając jego głupotę. Zresztą żołnierze są podobni do mojego ojca, opowiadał nam o swoich bojach w wojnie burskiej. Nie wiem dlaczego nie nosił Anglików. Ale pojechał na wojnę, zaciągnął się, może uciekał bo wtedy ja miałem się urodzić, prawdopodobnie nie lubił mnie i mojej matki. Jürgen klepnął mnie w ramię: – Hansi, idź z Matyldą do parku, tam jest dla was obiad.

Popatrzyłem na Irminę, zrobiło mi się miękko i pomyślałem o mojej biednej matce. Była brzydka i ojciec był brzydki, a ja byłem ładny.

Matylda położyła rękę delikatnie na mojej głowie, wówczas stwierdziłem, że kobiecość jest kolista, w okrągłym przytulającym ruchu ręki wyczuwało się opiekuńczość, obok zaś armia, coś na kształt mechanicznej lalki z ruchami kanciastymi pozbawionymi wszelkiej czułości. Jürgen von Siegenbach schodził w moich oczach pod poziom człowieczeństwa, tak jak mój ojciec który miał w wojnie burskiej, w której dziwnym trafem uczestniczył, trzech czarnych służących do posług zwykłych i dwie czarne służące służące im do zabaw erotycznych. Po latach się tego wstydił i wówczas prał mnie po gbie i krzychał: – Hansi ty obłokszatitny zewłoku, co mnie doprowadzało na skraj apatii, bo choć miałem robić, był silniejszy ode mnie, brutalny i miał sztywną nogę w której tkwiła brytyjska stalowa kula. To chyba zatem ten kawałek stali w nim osadzony i nieprzeparta chęć do czarnoskórych kobiet stworzyła mi ojca, który tak naprawdę nie lubił wszystkiego, co stworzył Bóg.

Pod pergolą w parku podano ananasy z bitą śmietaną i bezami, posypano to wszystko wiórkami z czekolady, do tego była limoniada w kryształowych dzbankach i woda sodowa w syfonach. Była więc wojna, Hansi obserwował swoich rówieśników, którzy jak gdyby nie dostrzegali wojny, a Hansi wiedział, bowiem oficerowie i żołnierze mieli feldgrau kapy na pikelhaubach. Wszystko więc było piękne. Ananasy okazały się lodami ananasowymi, a te białe bezy były lodami, których środek był tiramisu. Hansi siedział i wsłuchiwał się w park, który już brzmiał głosami prawie już jesiennych ptaków. Tylko krzyki pawy były trochę drażniące. Wydarzenia ostatnich godzin były gwałtowne. Uświadomienie męskości to było za wiele. Oszalamiające wizje drżały pod powiekami jak obrazy filmowe, które widział w kinoteatrze Rialto w początku Beatestrasse. Te jednak były nasycone zapachami pułkownikowej. Było chyba trzy kwadransy na piątą, gdy dały się słyszeć od strony wschodniej głuche wybuchy, czy to była burza na jasnym sierpniowym niebie? Od strony pałacu dał się słyszeć ostry dźwięk trąbki. Za niejaką chwilę szwadron ułanów galopem ruszył chyba w kierunku wschodnim, skąd nadbiegały grzmoty. Tak tedy Hansi stawał u początków wojny. Szwadron zwartym szykiem przegalopował koło nic nie wiedzących dzieci.

Irmina von Siegenbach i Matylda biegły w kierunku zaparkowanego landa. Pułkownik ostrym, acz spokojnym głosem powiedział:

– Pojedziecie automobilem do Kattowitz – pogłaskała głowę Hansiego, pocałował w policzek Irminę i już jechali w kierunku Tychów. Podróż do domu zajęła im niecałą godzinę. Automobil prowadzony przez żołnierza ostro brał zakręty. Pszczyńskie lasy oddalały się. Musieli trochę czekać na przejeździe koło kolonii Zuzanny, bo tam przetaczano pociąg, taki którego jeszcze nie widział, nie miał okien, był szarozielony i z otworów wystawały lufy. Pociąg był zatem wojenny. Gdy przejechali, za nimi odezwało się stęknienie, znów świst, a potem huk wystrzału. Tak zatem wojna nabierała gwałtowności. Obrazy i zapachy stawały się jeszcze bardziej intensywne, ręce Irminy i Matyldy opiekuńczym ruchem objęły głowę Hansiego. Pod dom przy Beatestrasse przyjechali na skraj zmroku. Boazeria z czarnego dębu odbijała w ostatnich promieniach słońca witraże, które przenosiły postacie Irminy i Matyldy na drugie piętro pokryte tatuażami witraży.



One były piękne. Tak jak dla Hansiego pięknie rozpoczęła się wojna.

– Przyjdź jutro – powiedziała Matylda.

Irmina odwróciła się dość gwałtownie – tak, tak, Hansi, musimy cię narysować, zwłaszcza ja chcę cię narysować, chłopcy powinni być rysowani, tak zresztą jak dziewczęta. Tak, Hansi, musisz przyjść, czy mam wysłać Matyldę z listem do Twojego ojca?

– Tak, on uwielbia jak się go o coś prosi, proszę pani.

Piętro wyżej wrzask, inżynier Bellamer darł się na syna, a wszystko to wykonywał krótkimi seriami bulgocącego berlina jakby chciał podkreślić swoją pruskość, bo wszak Prusacy szli się bić.

– To dość obrzydliwe Hansi, że masz dopiero tyle lat i nie jesteś zdolny do triumfu jaki niebawem pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu nasz genialny Wilhelm II Hohenzollern Król Pruski i cesarz niemiecki powtórzy rok 1870, wszak Francuzi są rozlaźli i głupi i w dodatku mają w swojej armii czarnych żołnierzy jakichś senegalczyków.

Hansi stał w gabinecie ojca, gdzie na ścianie była głowa nosorożca o szarej aksamitnej skórze, była też piękna głowa oryksa.

– Ja, ja – powtórzył Ballamer – byłem i biłem się na wojnie burskiej, oczywiście po stronie dzielnych germańskich Burów. Anglicy, tam ich znieawidziłem. No ale co będę gadał, ty i tak nie rozumiesz.

To było faktem, nie interesowała go wojna na końcu świata. Rysowanie ćwiczył na głowie nosorożca i oryksa przenosząc je ołówkiem na papier, gdzieś nad jego głową i wrokiem bulgotał berlinelem ojciec. Potem klepał go w twarz, klepieniem w którym nie było okrucich czułości. Zatem po prostu dawał w pysk. No czegoż można oczekiwać od ojca, który kochał tylko siebie. Inżynier Bellamer planował iść do Otta gdzie wieczorem miał grać kwartet smyczkowy. Ojciec więc wychodził, a do góry kroczyła Matylda z kopertą w wyciągniętej ręce.

– Do pana inżyniera od pani pułkownikowej.

Bellamer stał zaskoczony, nie lubił jak ktoś przerywał jego starannie przemyślane działania, ze swej istoty hedonistycznie. Pozory ascezy inżyniera Bellamera ginęły w mrokach jego perwersyjnej duszy. I owa perwersja pchnęła go w burską awanturę, a stało się to za przyczyną leksykonu Mayersa, w nim bowiem zobaczył zdjęcie gołej Hotentotki i owa, ona Hotentotka uwolniła perwersyjność inżyniera Bellamera. I tu nagle był dostrzegł w szerokim zmysłowym nosie Matyldy kawałek swojej Hotentotki. Wszystko to działo się w ułamkach chwil, na tle gasnących witraży, które jak się potem dowiedział Hansi, były Muchy.

Szanowny Panie inżynierze,

wielce znakomity sąsiedzie, onegdaj zabrałam syna Szanownego Pana na przejażdżkę do Pless, gdzie stacjonuje mój mąż (proszę o dyskrecję – to tajemnica wojskowa) i Pana syn to niezwykle wrażliwy młodzieniec, stwierdził że chciałby narysować z moich zdjęć pod moim okiem pałac i park w Pless, jak również rynek, gdzie najbardziej podobały mu się stojące obok siebie kościoły katolicki i ewangelicko-augsburski.

Ja osobiście uczęszczałam na lekcje rysunku i malarstwa w Monachium, gdzie często przebywałam w Pinakotece. Proszę zatem, aby Szanowny Pan zezwolił Hansiemu na kilka lekcji rysunku.

*Kreślę się z szacunkiem
Irmina von Siegenbach*

Bellamer był wyraźnie zdenerwowany. A niech idzie i poklepał okolice szerokiego nosa Matyldy i wezbrała w nim ta hotentocka perwersja. Jednakże przyzwyczajony do przyzwyczajajeń, szedł był lekko kulejąc dziarskim krokiem do Otta by w onym wysłuchać

kwartetu grającego Salzburczyka. Hansi stał, rozkraczony i patrzył w głąb długiego przedpokoju, na którego koncu poruszała się matka w długiej sukni i czepku. Chciałoby się mu zbiec do dwóch kobiet, niańczących go, a którego to niańczenia nie uzyskiwał był od matki – kobiety przykrytej cieniem olbrzymiej wielkości zwolennika miłości hotentockiej. Do niego nie docierały perwersje ojca. Matka przyjęła gburowatość ojca za coś normalnego, bo wszak kobiecie przystoi mieć nieprzyzwoitego męża. Kobieta nie mogła być nieprzyzwoita, bo to zaiste byłoby nieprzyzwoite i zwałoby instytucję małżeństwa w przepaść. Hansi zdał się być sparalizowany i porażony pozytywną odpowiedzią ojca zezwalającą na lekcje u Irminy. Zatem mógł iść do niej, piętra parkietowych schodów drgały pod silnymi uderzeniami nóg Hansiego. Dzwonek wibrujący elektrycznym głosem, twarz Matyldy obłana uśmiechem:

– Już jesteś?

Pokazał kartkę listu z adnotacją ojca.

Jesteś zmęczony? – zapytała z tym hotentockim uśmiechem. A wszak pochodziła z Pomorza Przedniego. Wszedł i oparł się o drzwi, było upalnie, przed oczami miał jeszcze strzelający pociąg pancerny. Takie dziwne pudełka w szarozielonym kolorze podsłukiwujące od wystrzałów.

Kuchnia, duża, z holenderskimi kaflami, na których kobaltową farbą ktoś sygnalizował istnienie uspakajającego widoku polderów. Obok stał duży piec, w którym Matylda piekła chleb i opiekła bawarskie golonki. Za stołem pod zwisającą lampą siedziała Irmina. Zieleń szklanego klosza podgrzanego żarówką rysowała urodę pułkownikowej. Ta twarz kojarzyła mu się z Botticellim, którego ryciny obrazów oglądał w encyklopedii Meyersa, oczywiście pod nieobecność ojca, który zachłannie ukrywał swoje skarby. Czekolada, jej zapach drgał w nozdrzach, drażnił, a to kontemplacyjne smakowanie, szybkie gardłowe gadanie Matyldy.

– Hansi będzie pił czekoladę, to uspokaja, to może jedna z ostatnich czekolad, bo rozpoczęliśmy wojnę. Irmina popatrzyła nad głową Hansiego, uśmiech z odrobiną grymasu posłała Matyldzie. Hansiemu wydawało się, że wojnę najlepiej przeżyć w towarzystwie dwóch opiekuńczych kobiet. Dostrzegał całym sobą, że zagrożenie wzmagające poczucie i konieczność czułości, a jego duszy dążenie do takich wzruszeń było rodzącym się erotyzmem chłopca. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale napełniało go łagodnością, które to uczucie było wszak zupełną odwrotnością wojny, a wojna odpływała smakiem czekolady Sucharda zalanej pełnotłustym mlekiem jednej z ostatnich krów z Greenstrasse. Irmina zaprowadziła Hansiego do buduaru, stała w nim sztaluga. Postanowiła rysować Hansiego pastelami. Opodał sztalugi leżały akty Matyldy, intensywne, ostre, a przecieź rysowane subtelnym pastelem. To co się działo było drapieżnym laskotaniem delikatnej, efebowej duszy Hansiego. Naga kobieta sama z siebie wywoływała silne doznanie, które później pozna Hansi jako podniecenie.

– Jaki jesteś muskularny – mówiła Matylda, rozbierając chłopca z aksamitnego ubrania i jedwabnej koszuli. Nie czuł się skrepowany, odkąd pamiętał rozbieranie nie wywoływało w nim żadnych uczuć. Teraz przeciwnie. Matylda dotykając jego włosów wywołała znów iskrę elektryczną, lekki trzask oznajmiał o napięciach, które odtąd towarzyszyć będą życiu Hansa.

– Chwileczkę Matyldo, ja natrę Hansiego oliwą, to daje subtelne refleksy światła, zwłaszcza na tak młodym ciele. Podaj mi tę butelkę z oliwą i załóż mu przepaskę na biodra.

Stał, prawie nagi przed dwoma kobietami i nie czuł piekącego drapania grzechu. ■

Jarosław Maria Lewicki (1948–2011) – dziennikarz i pisarz. Studiował prawo i dziennikarstwo. Autor powieści, zbiorów opowiadań, słuchowisk radiowych oraz publicystyki społecznej związanej z problemami urbanizacji, autor recenzji dotyczących utworów literackich, dzieł malarskich, muzycznych. Publikował m.in. w „Pogładach”, „Kulturze”, „Tak i nie”, nowojorskim „Nowym dzienniku”, „Opcjach”, „Śląsku”. Wspólnie z oddziałem SARP w Katowicach wydawał pismo „Kościszki i okolice...” (w latach 2003–2011). W 1980 r. pomysłodawca i współtwórca Komitetu Odbudowy Muzeum Śląskiego w Katowicach, rzecznik prasowy Komitetu, jego działania doprowadziły do restytucji Muzeum Śląskiego. Autor książek o Katowicach. Powołał do życia Stowarzyszenie „Kościszki i okolice”, które zajmuje się m.in. problemami architektury modernistycznej w Katowicach. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Osobliwość, horyzont zdarzeń

RADOSŁAW KOBIERSKI

Oko widzi, fotografia rejestruje i pamięta. Rzeczywistość nabiera materialności – pisze w materiale promocyjnym do wystawy „Miast obrazy” Jerzego Łapińskiego jej kuratorka, Katarzyna Łata. Sam artysta w swoim credo zaznacza, że fotografowanie jest wybieraniem, klasyfikowaniem, przyswajaniem i odrzucaniem. Jest sprawdzaniem, jak świat będzie wyglądał na zdjęciu. Nie ma w tej uwadze nic z romantyczności i jej apoteozy natchnienia. Nie ma nawet poczucia misji ani metafizyki. Łapiński mówi o warsztacie, o krytycznym podejściu do fotografii, o metodyce pracy. O funkcji estetycznej (fotografie – pisze dalej – muszą być rzetelnie wykonane na najwyższym możliwym poziomie, tak w sferze wizji jak i formy).

Oczywiście jeśli chcemy, metafizykę znajdziemy. Skoro rzeczywistość nabiera materialności dzięki fotografii, to znaczy, że ma ona potężną moc kreacyjną (a ma, może tworzyć formy nowe i niedostępne doświadczeniu). I skoro wybieramy, przyswajamy bądź odrzucamy, musi być coś na zewnątrz, co pozwala wybrać właśnie ten właściwy obraz. Możemy to nazwać doświadczeniem krytycznym (selekcja na wielu poziomach) albo iluminacją (odkryciem, intuicją).

Jerzy Łapiński jest więc metafizykiem. I jest to par excellence metafizyka codzienności. Jako teoria w stanie czystym myślenie metafizyczne uchodziło za oderwane od praxis życia codziennego. W miast obrazach / obrazach miast praktyka codzienności jest metafizyczna – wskazuje bowiem na to, co wcale oczywiste nie jest, być może nawet poznawalne nie jest, bo żeby coś poznać, trzeba to najpierw doświadczyć – w odniesieniu do fotografii jako dziedziny i nauki wizualnej – zobaczyć.

Co widzi Jerzy Łapiński? To, czego sami nie widzimy, bo nasze zainteresowanie kradnie jakiś inny szczegół, z reguły jednak coś większego, coś bardziej się narzucającego i oczywistego? Może nawet widzi Łapiński tę samą rzecz, którą dostrzegamy (choć ona nie przyciąga naszej uwagi)? Nie wartościuję tego faktu: nasze umysły i neurony odrzucają całą masę informacji, która dla nich „nie ma zna-

czenia” (być może „dla nich” oznacza również dla nas, bo to my tworzymy hierarchię ważności), zapamiętujemy zaś to, co wywołuje w nas jakąś emocję i szukamy tego, co w nas tę emocję powtórzy i ugruntuje.

Jerzego Łapińskiego interesuje detal, który pracuje za całość. Nieoczywistość. Kontrast. Ironia. Lokalność, która ma nad wyraz dużo do powiedzenia o tym, co poza peryferiami. Ale i lokalność, która może wstrząsnąć światowcem. Ot stary, poczciwy fiat 126p, nasz rodzimy „maluch” zaparkowany na chodniku, z zamontowaną w drzwiach kierowcy zasuwą zabezpieczoną kłódką. Witryna lokalu gastronomicznego z martwymi kaktusami w doniczkach i wypłowiałym szyldem „życzymy smacznego” umieszczonym powyżej. Jakiś wczesny saturator z dwoma słoikami, zabezpieczonymi drutem przed kradzieżą. Czy też fragment oznakowania poziomego (przerwana linia) kończący się w ścianie budynku. Dziś powiedzielibyśmy, że są to arcyrekwizyty duchologiczne, najwybitniejsi reprezentanci minionej epoki, robiące wrażenie nawet na nas, którzyśmy doświadczyli absurdu na każdym kroku. Ba, zdążyliśmy nawet uznać go za normalność.

Ważniejsza są jednak zdjęcia, które wylamują się z oczywistości, eksteryndaryjności. Nie zauważamy ich, ponieważ same w sobie nie mają mocy, nie wytwarzają pola grawitacyjnego naszej uwagi. Wydobywa je dopiero oko wędrowca, flâneura, oko obiektu wycelowanego w tę osobliwość. W istocie jest to jakiś – pozwolę sobie na aluzję do astrofizyki – horyzont zdarzeń. Moment, w którym widzialne trwa krótką chwilę, oświetlone ostatnim błyskiem wewnętrznego światła, które zaraz zostanie anulowane przez nieskończoną ciemność (dla nas to anulowanie oznacza, że nigdy dany kadr w jego aktualnym układzie już się nie powtórzy; jego jedynym dowodem na istnienie pozostaje zdjęcie). Oczywiście – istnieje spore prawdopodobieństwo, że nawet sama fotografia czyli fakt materialny tego, co przestało mieć charakter fizyczny, nie wytworzy w nas stanu (ciekawość, zainteresowanie, emocje), który chce i potrafi wywołać. I nie jest to żadna nadzwyczajność – wrażliwości wizual-

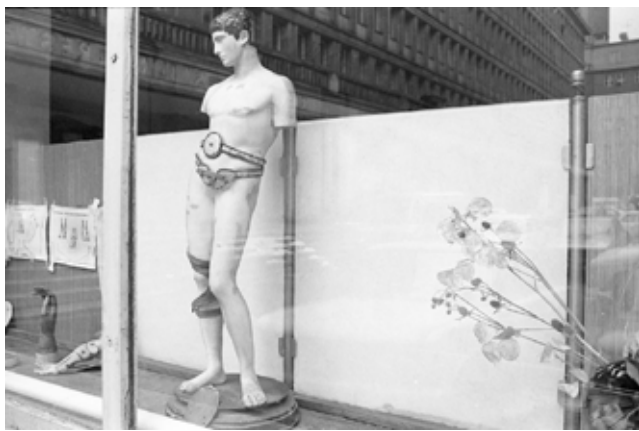
ne, estetyki wcale nie muszą być komplementarne, nie muszą się przecinać. Fotograf w danym momencie nie myśli o interakcji, w pierwszej kolejności odpowiada samemu sobie i własnej biografii (albowiem to z tej właśnie biografii czerpie on zasoby, i te zasoby wytwarzają konkretny głód; głód kadru, inscenizacji).

Oglądam kolejne kadry: krzesła porzucone na ulicy; resztki z przeprowadzki lub może pozostałość po spotkaniu, głowa manekina w kaszkiecie – jedyny czuły obserwator życia ulicy, chłopiec z rowerem obserwujący w zadumie ruch karuzeli, martwy gołąb na rozdzielni telefonicznej. Za chwilę te wszystkie obrazy znikną, układy się przemieszczą, nic już nie będzie takie samo.

O tym, czym jest fotografia, według Rolanda Barthesa stanowi to, co Przypadkowe, Dotykane, Napotkane, Rzeczywiste. A także Nieuchronne – wszak nie istnieje zdjęcie bez czegoś lub kogoś.

Kiedy przyglądam się pracom Jerzego Łapińskiego, jest dla mnie oczywiste, że realizują powyższe założenia. Ostentacyjnie wręcz przedstawiają to, co niespektakularne – z pewnością w kontekście tego, co oferuje nowoczesna fotografia – uzależniona w dużym stopniu od coraz większych wymagań (obserwatora i technologii), od kreacjonizmu i dramatyzmu, od transgresji. I nie ma tu znaczenia, że większość prac powstała w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, bo tę strategię autor stosuje do dzisiaj. Czy Przypadkowe, Dotykane, Napotkane, czy „jestem tylko obserwatorem” nie kłóci się z pojęciem strategii? Moim zdaniem uważność, otwartość, czułość na przejawy, fenomeny rzeczywistości, na reakcje, jakie między nimi zachodzą – jako sposób działania – wynikają wprost z bycia obserwatorem. Jedno bez drugiego nie może istnieć.

W dialogu z obiektem ważne jest to, jak go postrzegamy. A w szczególności czy w ogóle go zauważamy. Rzecz staje się obiektem wtedy, gdy nabywa zdolności oddziaływania i koncentrowania na sobie uwagi (Jolanta Brach-Czaina). Tylko czuły, uważny obserwator jest w stanie dokonać tej podmiany. ■



Jerzy Łapiński: MIAST OBRAZY / fotografie. Wystawa z okazji 50-lecia pracy twórczej. Katowice – Miasto Ogrodów / lipiec – wrzesień 2023 roku.



Jak być kochaną

WOJCIECH LIPOWSKI

Wojciech Żar dogasa w sercach, życie wyraźnie zwolniło, wokół jakby więcej pustego miejsca i mniej spraw na głowie, ale sporo wątpliwości, pytań o ciąg dalszy i sens poszukiwania czegoś, co mogłoby stać się punktem oparcia, pomyślałem na dalszą wędrówkę w przyszły nieznany czas. Kim byłem, kim jestem teraz, kto mnie w końcu doceni, pokocha, zdają się pytać kobiety wciśnięte w fotele i własne ograniczenia. To nic, że pamięć okazuje się niepewnym narzędziem, że doskwiera poczucie kruchości egzystencji, że mnożą się pokusy, by pożyć inaczej, najlepiej życiem innych, że powiększa się dystans do własnego istnienia. Trzy biografie, trzy kobiety, które już minęły najpiękniejszy zakręt własnej biografii, ocierają się o siebie w rozpacz upływających dni, ciągle ktoś chce dokonać korekty nie własnego, ale cudzego życia, bo może to rzutować na rozumienie siebie i w końcu pozostaje już tylko poddać się biegowi zdarzeń, presji rozmaitych manipulacji, ze świadomością, że prawda o prywatnej drodze ulegnie bez wątpienia deformacji.

Tak więc Krystyna, Hanka i Urszula, bo to ich historie nas interesują, podejmą w stosownych okolicznościach niecodzienne wyzwanie, które spadło na ich skołatane głowy i rozpoczną grę o własne pragnienia, marzenia, by pokazać sobie wzajemnie, ale też nam, że postępujący wiek, wróg pamięci, ci chy zabójca pragnień i pożądań, nie

będzie przeszkodą, ale pozwoli uciec przed katastrofą, jaka czai się na ich emeryckie życie.

W letni czas, spraw mniej poważnych, w ramach katowickiego 25. Letniego Ogrodu Teatralnego otrzymaliśmy spektakl Teatru Korez *Tigergirls* Freda Apke w reżyserii autora. Niby kolejna, idealna na tę porę roku komedia, ale chyba nie do końca. Apke ulepił tę wdzięczną opowieść ze spraw różnych, zabawnych, czasem banalnych, ale prawdziwych do bólu. Wystarczy spojrzeć na bohaterki, tytułowe tygrysy: jedna kocha poezję, pod naporem depresji kleci kolejne mniej lub bardziej udane wersy widząc, że otoczenie nie bardzo ma ochotę, by poddać się urokowi tej amatorskiej twórczości; druga chce prześcignąć czas przy użyciu kolejnych zabiegów upiększających w nadziei, że męska część świata dostrzeże owe szalone i ryzykowne wysiłki; trzecia z kolei próbuje swą niespożytą energią zarażać pozostałe i wyciągnąć z życiowego marazmu, w który wepchnęła je emerytura i samotność.

Autor nie pierwszy raz pokazuje swych bohaterów w momencie konieczności przebudowy dotychczasowego życia, zmiany wszystkiego, aby znowu ruszyło z miejsca, w którym się zatrzymało. To podstawowa część fabularna opowieści.

Fred Apke to dramaturg, reżyser, ale również aktor, funkcjonujący w polskim środowisku teatralnym. Szlify ak-

torskie zdobywał w Berlinie, później pracował w wielu teatrach Niemiec, największą aktywność artystyczną prowadził w Kampnagelfabrik i Kunsthal-le w Hamburgu. W latach 80. działał w Norwegii, tam również miał miejsce jego debiut dramaturgiczny. W 1989 roku wystawił w Black Box Theater w Oslo sztukę *Z powodu choroby zamknięte*. Zajmuje się także przekładami z norweskiego i szwedzkiego głównie Ibsena i Strindberga. Działa w Niemczech na różnych scenach wystawiając teksty własne, ale też reżyserując Goethego, Ibsena, Enquista, Szekspira. W Polsce zrealizował wiele produkcji. Do najbardziej znanych należy adaptacja *Fausta* w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. W warszawskim Teatrze na Woli z sukcesem wyreżyserował własną komedię *Kura na plecach* (2004), w chorzowskim Teatrze Rozrywki dobrze przyjęty *Odjazd* (2005) z songami kompozycji Renaty Przemyskiej, tamże *Adonis ma gościa* (2010) tłumaczony na różne języki w tym śląski. W Operze Krakowskiej wystawił do własnego libretta operę o czasach renesansu *Teresica una passion*. W katowickim teatrze Korez w 2018 cieszącą się ogromną popularnością *Mrożoną papugę* i kilka miesięcy temu najnowszą sztukę *Tigergirls*.

Dodajmy jeszcze, że twórczość Freda Apke skupia się głównie na komediach, tragifarsach czasem utworach o charakterze surrealistycznym, nie obca jest mu dramaturgia dla najmłodszych widzów oraz adaptacje klasyki w ramach współczesnej recepcji.

Wróćmy do *Tigergirls*. Wspomnieliśmy, że pomysł na przełamanie smutnej codzienności staje się kanwą całej opowieści. Ten pomysł to wyjście na zewnątrz, otwarcie okna na świat. Dla przyjaciółek szansą ma stać się udział w telewizyjnym programie „Talent ma szansę”. Niestety, sprawa, jak to bywa, nie należy do prostych, układy taneczne nie wychodzą, jak należy, wszystko się sypie, pojawia wątpliwość w sukces całego przedsięwzięcia, ale też i my zaczynamy wątpić czy paniom naprawdę chodzi o zrobienie późnej kariery, czy może o coś zupełnie innego. Jak to bywa zjawia się pomoc, czyli nauczyciel śpiewu i tańca, typ jakich mało, który wykorzysta uczuciową pustkę i życiowe zagubie-

fot. Jeremi Astaszow





nie, aby wypełnić własne niedostatki finansowe i zrealizować oszukańczy projekt biznesowy.

Mamy więc niezwykle zabawną, opartą na technice manipulacji i gry historię kolejnych miłosnych potyczek starszych pań, iluzoryczne potrójne zauroczenie, ale też w finale słodką zemstę w konwencji, że kłamstwo ma bardzo krótkie nogi.

Po co to wszystko? Jakie prawdy o życiu pomogło Krystynie, Hance i Urszuli odkryć? Może stało się tak, że owa teatralna anegdota oparta na późnej biografii kobiet, życiowych rozbitków, pomogła w efekcie ująć z życiem z katastrofy, jaka przytrafiła się ich światu i pomóc zadomowić się w jakiejś nowej egzystencji. Przecież w finale wystąpiły w końcu na scenie, ale to był wyłącznie pretekst, by stworzyć przekorną przemianę czasu i rzeczywistości. Taka forma istnienia po dokonaniu się owej przemiany, co jest przedmiotem opowieści, sprowadziła się dzięki niedobrym osobistym doświadczeniom do najważniejszego,

czyli wypełnienia treścią pustej, dojmującej rzeczywistości.

Nie byłoby to możliwe bez talentu i wycucia sceny trzech odtwórczyni wspomnianych bohaterek: Marty Klubowicz, Izabelli Malik oraz Elżbiety Okupskiej. Paniom towarzyszył dzielnie w dość trudnej do interpretacji roli Julio Dariusz Niebudek. Gęszcz żywołowych dialogów, którymi bawią się aktorzy nie wystarczyłoby jednak, aby nadać tej całej historii werwy i pociągnąć ten skład gagów, dynamicznych epizodów, w jakich zanurzone są tytułowe tygrysyce. Artystom pomógł w tym dystans, jaki budują od pierwszej chwili na scenie, ale też radość grania i próba wchodzenia w interakcje z rozbawioną publicznością w tych fragmentach, gdzie było to możliwe. Trzy kobiety, trzy skończone portrety osób żyjących gdzieś obok. Może je znamy, są na wyciągnięcie ręki. No i bawią nas, ale też czasem skłaniają do refleksji i przemyśleń, nawet jeśli nie natychmiastowych, to tych głębszych, może po zakończeniu

spektaklu. Izabella Malik jako „lokomotywa” całego składu imponuje niezwykłą energią podczas całego, dość długiego przedstawienia. Jej bardzo dynamiczna Urszula, ale też liryczna i wyciszona w objęciach hochsztaplera w kraciastym garniturze, balansuje na zmienności nastroju, barwy głosu, ciekawej mimice swej rozbieganej twarzy. Marta Klubowicz to z kolei pewna siebie, zmysłowa Hanka, choć jak się okaże nie do końca, bo pod grubym pancerzem czai się pogubiona, wrażliwa, pełna rozpaczki kobieta. No i Elżbieta Okupska, wulkan nieprzewidywalnych możliwości, w każdym ujęciu inna, przekorna, niby słaba, w depresji, ale chyba najbardziej wyrazista psychicznie i autentyczna w świecie komediowej zabawy. Jej Krystyna, która cytuje z pamięci wiersze, różnej wartości artystycznej, stanowi niejako oś narracji *Tigergirls*. Siła kobiecej intuicji ogniskuje się właśnie w tej postaci, która, zresztą jak pozostałe panie, stwarza na naszych oczach niejako dodatkową osobowość na potrzeby historii, w którą wdepnęła. Trzy maski, trzy życiowe metafory, tworzą komediową wykładnię ukrytych znaczeń, które przecież Apke wkomponował w fabułę swojej sztuki.

No i przebiegły amant Julio Torres. Niebudek zagrał go z wdziękiem podszutym ironią, przebiegłością, ale też strachem powodowanym konsekwencjami swych czynów. Zresztą, gdy maska opadła, mogliśmy obserwować zupełnie inne oblicze zdekonspirowanego oszusta, co aktor pokazał ciekawie, bardzo autentycznie.

Gdy wybrzmi końcowa piosenka, dokona się kolorowe show, panie pozbędą się wstydu, niedoskonałości, wykrzyczą żale do świata, spełnią marzenia, pokonają słabości, opadną emocje pojawią się zapewne głębsze refleksje. Skrywane, egzystencjalne defekty dotyczą każdego, bez względu na wiek, miejsce społeczne, pozycję, stan posiadania. Są nieuchronne, ucieczka przed nimi nie wydaje się możliwa. Kto wie, czy intencją autora tej sztuki nie była chęć umieszczenia w tym, co stanowi przedmiot opowieści, cząstki naszego doświadczenia, by umożliwić powrót do spraw unieruchomionych w teraźniejszości, na nowo poznać i wyrazić własne, skrywane bardzo głęboko pragnienia, a wszelkie obawy zamknąć raz na zawsze w przeszłości. ■

Tigergirls

Tekst i reżyseria Fred Apke

Teatr Korez

Pokaz 12.08.2023 na

25. Letnim Ogrodzie Teatralnym w Katowicach

Na 70. urodziny Donata Kirscha

ANDRZEJ ŚNIOSEK

Donat Kirsch, być może najbardziej ekstrawagancki śląski pisarz, urodził się we wrześniu 1953 roku. Nie pamiętam, a może nawet nie wiem, który to był dzień września, bo autor znacznie chętniej świętuje imieniny.

Pochodzący z Tarnowskich Gór Kirsch był swego czasu jednym z ulubionych prozaików Henryka Berezę (1926–2012), znanego i wpływowego krytyka literackiego, który jako redaktor miesięcznika „Twórczość” w latach 1960–1980 kreował nowe nurty pisarskie. Głównym osiągnięciem Berezę był tzw. nurt chłopski, z którym do dziś łączy się nazwiska takich wielkości jak Wiesław Myśliwski czy Marian Pilot. Innym jego osiągnięciem, z perspektywy czasu mniej znaczącym, ale na pewno bardziej kontrowersyjnym, była „rewolucja artystyczna w prozie polskiej”. Upraszczając, Berezę skupił pod tą nazwą szereg głównie młodych pisarzy, na różne sposoby łamiących konwencje oficjalnej, poprawnej polszczyzny. Na przełomie lat 70. i 80. zeszłego wieku „Twórczość” drukowała wiele takiej właśnie prozy, co wciąż jeszcze budzi zastrzeżenia tych

bardziej wybrednych czytelników, którzy zawsze sympatyzowali z literaturą najwyższych lotów, toteż redakcyjne decyzje Berezę postrzegali jako zdradę „Twórczościowych” ideałów. Proza „rewolucji” z jednej strony ocierała się o genialność, ale z drugiej momentami faktycznie trudno jest odróżnić ją od pospolitej grafomanii. Mimo upływu lat kwestia wartości dorobku innowacyjnych „bereziańców” nadal wywołuje spór i ciekawy ferment.

Kirsch zasiliał skrajnie wysunięte czolo tamtej awangardy. Wręcz nałogowo testując granice literackości, tworzył prozę, do której szczególnie pasuje modne dziś słowo „odjechana”. Nie była to jednak proza ostentacyjnie warsztatowa, skupiona tylko na badaniu możliwości literatury. Eksperyment szedł w parze ze sporym ładunkiem metafizycznym. W twórczości Kirscha roi się od tajemnicy, jest w niej coś bardzo niepokojącego, co w równym stopniu przyciąga

i nie pozwala o sobie zapomnieć. Pułapki formalne służą czemuś więcej niż pokazanie, na co stać młodego erudyty, który zachłysnął się nowinkami literatury zachodniej.

Trzon dorobku Kirscha składa się z dwóch powieści i kilkunastu opowiadań, które powstały na przestrzeni bodaj tylko i wyłącznie lat 70. Najwybitniejszym osiągnięciem wydaje się pierwsza powieść, *Liście croatoan* (1977), wysoko

oceniona w recenzjach, a także mimo hermetyczności długo i życzliwie pamiętana przez badaczy i pasjonatów kultury PRL-u. Druga powieść, chwilę późniejszy *Pasaż*, wskutek perturbacji wydawniczych wyszedł dopiero w 2006 roku, powodując mniejsze niż *Liście* zamieszanie krytyczne, ale jednak zaznaczając swoją obecność w podupadającej prasie literackiej. *Pasaż* idzie najdalej w przekraczaniu norm literackości, osuwa się nawet w bełkot, który i tym razem w intencji autora nie jest bełkotem samym w sobie, tylko odzwierciedla procesy powstawania kultury, formowania się mowy.



Oprócz prozy młody Kirsch był także autorem znaczącego eseju o koncepcji krytycznej Berezę, a przede wszystkim o prozie pokrewnych mu „rewolucjonistów” (Marka Słyka, Jana Drzeżdżona, Ryszarda Schuberta i innych). Odważny *Elaborat – debiuty lat siedemdziesiątych* znalazł miejsce w 9 nu-

merze „Twórczości” z 1981, już po wyjeździe Kirscha z Polski. A wyjechał w styczniu tamtego roku, trafił do USA, gdzie mieszka do dziś. Jako umysł ścisły, absolwent m.in. studiów matematycznych, rozpoczął pracę w branżach coraz dalszych od literatury. Z tego co wiem, w Ameryce nie zajmował się już pisaniem prozy, ale tak całkiem pisać nie przestał. Jest znany z upodobania do intensywnej korespondencji, którą

w latach 80. prowadził głównie z Berezę, a później także z innymi krytykami, pisarzami i wielbicielami jego dziwnych losów.

Jako że zaliczam się do tych ostatnich, w lutym 2016 r. napisałem do Kirscha elektroniczny list, który zapoczątkował naszą trwającą siedem lat wymianę najpierw uwag, a później również ciósów, korespondencję, która opiewa na ponad trzy tysiące maili. Dziś nasze drogi raczej się rozeszły, ale owocem tej znajomości są dwie książki, które sprowokowałem posyłaniem Kirschowi najróżniejszych materiałów z dawnej i współczesnej prasy, poświęconych jemu, Berezę, historii literatury, najnowszym zdobyczom polskiej humanistyki. Tak

powstał zbiorek esejów *Eliminacja episteme. Pisma krytyczne* (2019), opublikowany w moim opracowaniu (do którego odsyłam zainteresowanych fascynującą biografią Kirscha) nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego. Tak również powstała *Prounowa eksmisja Henryka Berezę* (2020), osobliwy ciąg dalszy *Eliminacji*.

Owszem, w swych późnych listach i esejach Kirsch drażnił natarczywością skrajnych poglądów i bezkompromisowością, która lepiej sprawdziła się w prozie. Ale z drugiej strony nie znam drugiego człowieka o takiej mocy prowokowania pasjonujących rozważań. Może i nie jest nam już po drodze, ale życzyłbym każdemu tak wielu jak przy Donacie sposobności do samookreślenia czy inspirowanych przez niego prób wybitcia się na intelektualną niepodległość. Niech długo żyje w zdrowiu, niech wkurza i pobudza do końca.

Hybrydy (1)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Bez samogłosek się witają, bez samogłosek się żegnają. Bez samogłosek rozmawiają przed i po, prawie nadzy, jak to w saunie, ubrani tylko w *i* i *y*. Ciągłe słysząc *brry* i *dzińki*, a czasem *dzińbrry* i *dzink*, gdyż grzeczni są do bólu. Trzy razy tylko słyszałem ekstrawaganckie *dbrry wiczyr*, trzy razy przez ostatnie dziesięć lat, a może i przez trzydzieści mojego chodzenia na saunę. Rozbieranie się z samogłosek raczej nie zaczęło się tak dawno, chyba najwyżej dekadę temu, kiedy masowo zaczęto budować termy i baseny. Wtedy też relaks nielicznych został zastąpiony pracowitym odпочynkiem tłumów. Nazywam ten nowy czas – epoką naporzaczy.

Naporzaczę dziesięć lat temu byli ewenementem, dziś pracują w każdym kompleksie. Zaczynają o równej godzinie i po najwyższej piętnastu minutach kończą to, co nazywają *rytuałem* albo *seansem*. Dziesięć minut przed wietrzą saunę, wtedy też zaczyna się gromadzić tłum. Gdy nie ma naporzania, nie ma tłumów. Są dwa rodzaje naporzaczy – kulkowi i strumieniowi. Kulkwowi kładą na rozgrzanych kamieniach kule lodu nasączone olejkami, strumieniowi leją po prostu wodę. Jedni i drudzy na początku podają krótką instrukcję, potem włączają muzykę z przenośnych głośniczków, przeważnie egzotyczny czilaut, czasem jakiś pop, a później ręcznikami i wielkimi wachlarzami kierują tak parę, żeby każdy otrzymał sprawiedliwą część. Kwadrans relaksu dobrze wyprodukowanego przez umiśnionego naporzacza kończy się zawsze oklaskami. Obserwuję w półmroku, kto klaszcze. Najmocniej dziękują ubrani w filcowe czapki. Z każdym rokiem przybywa ich coraz więcej, jakby sauny zdobywali jeźdźcy z konnej armii Budionnego.

Czuje, że już nie odpoczywa się w saunie, tylko organizuje relaks. Skupieni na relaksie stanowią większość. Ledwo rozłożę ręcznik, już mam wyrzuty sumienia, że nie dość efektywnie jak oni, wyrzucam z siebie napięcie, że nie zasługuję na odpoczynek, jakbym cały dzień obijał się w pracy. Panuje luz, ale napięty do granic możliwości. Wiem, kto mógłby rozładować tę atmosferę, ale ten ktoś rzadko przychodzi. Powinienem napisać, gramoli się, bo jest trochę niezdarzy, nie wie, jak

ma się zachować. Ten ktoś wie, że nie można zrzucić ciężaru pracy, bo pracuje od dzieciństwa, zresztą nosi także ciężar rodziców, dziadków, a właściwie nosi ciężar uprawianej przez pokolenia ziemi. Przywołuje go w myślach, niech przyjedzie spod Zduńskiej Woli, spod Uniejowa albo Poddębic, żeby wstydić się swojej przyjemności. Ale on, ona woli gorące baseny od sauny, i tam może chwilę odsapnąć po dwustu albo więcej latach pracy.



Dwa kilometry od ujścia Wisły, w drodze powrotnej minąłem chłopca, nastolatka wpatrzonego w wizjer aparatu. Ustawił statyw na plaży, naprzeciwko samego końca wyspy, miał do niej jakieś sześćset metrów. Za nim stała jego mama. Wyobrażałem sobie wtedy czas, bo wyspa stale się powiększała, rzeka przynosiła piasek z głębi, może jakieś ziarenko przypląnęło nawet z Baraniej Góry, i z tych ziarenek tworzyła się laguna. A kiedy to się dokona, zastawiałem się, i języczek wyspy dotknie brzegu, za dwadzieścia lat albo troszkę więcej? Już byłem sto metrów od chłopca, zajęty tymi dziesiątkami lat, mierzyłem je i mierzyłem, zbyt krótką miarą mojego ciała, gdy usłyszałem czyjeś „proszę pana, proszę pana. Pan widziałam też fotografuje ptaki, czy były tam bernikle?” „Nie widziałem, nie wyjmowałem lunety, bo bardzo wiało, może były wśród gęsi.” Powinienem wtedy sprawdzić, co sfotografowałem, gdy dogoniła mnie matka tego chłopca, ale nie sprawdziłem. Było zimno, musiałbym wyjąć okulary, przejrzyć zdjęcia na ekranie aparatu, powiększyć, bo ptasia wyspa była dale-

ko, na ekranie zresztą niewiele widać – w duchu okropnie się tłumaczyłem.

Ale były, u ujścia były bernikle białolice, pewnie około trzydziestu, czyli bardzo wiele. Spały, głowy skryły pod skrzydłami, z daleka wyglądały jak kamienie. Powiększałem zdjęcia na laptopie i nie mogłem odpędzić wyrzutów sumienia. Gdybym powiedział wtedy, że widziałem, że na pewno są, poszliby do ujścia, choć *te dwa kilometry, to kawał drogi*, tak twierdziła matka chłopca. „A co było” – pytała wtedy. „Lodówki”. „Mamy”. „Uhle”. „Mamy”. „Gągoły”. „Mamy”. „Ogorzałka”. „Też mamy”. Była trochę rozczarowana. „Jeszcze gęsi tundrowe, gęgawy, no i białoczółki.” „Białoczółki? Nie pamiętam, też chyba mamy. Ja jestem tylko pomocą techniczną syna. On będzie wiedział”. Też tak kiedyś robiłem, zaznaczałem w atlasie ptaków Europy, każdy kolejny gatunek. Nie fotografowałem, patrzyłem przez lornetkę. Po dwustu zaliczonych przestałem zaznaczać. Czy on tylko zalicza, czy także patrzy? Wypatruje tylko wcześniej niewidzianych czy przygląda się także wielokrotnie widzianym? Zaliczyłby bernikle, to może szybciej skończyłby z kolekcjonowaniem. Zobaczyłem go za trzydzieści lat, jak gania za rzadkościami, jak jeździ przez pół kraju, albo za granicę, bo brakuje mu zdjęcia do kolekcji. Nie, stanie się inaczej. Fotografować będzie jego syn, on tylko pomoże. Ale co wtedy będzie rzadkością? Odzywa się we mnie mistyk katastrofista i odpowiada – rzadkością będą widzący, wszystko będzie rzadkością.

Z każdym dniem powiększa się armia wyszkolonych obserwatorów końca świata. Wtedy na plaży w Mikoszewie też się do niej zapisałem, do tych zwiadowców katastrofy, ale tylko na chwilę. Katastrofiści zawsze mają rację – to odstręczające. Kolekcjonować gatunki czy zbierać dowody końca, co lepsze? Odczuwam, jaka to absurdalna alternatywa, na sopockim molu. Tyle osób się fotografuje, jakaś dziewczyna rozbiera się na mrozie do selfie, mówi się o jedzeniu i fajnych miejscówkach. Daleko, prawie na horyzoncie, nurkują edredony. Nikt tak daleko nie patrzy. Ale mam szczęście, mówię do siebie, chociaż na zdjęciu widzę później tylko ładne plamki.

Gokart dla malucha

RYSZARD JASNORZEWSKI

Twórcy biografii, które powstają w bliskiej współpracy ze swym osobowym tematem, bywają zazwyczaj nie tyle pisarzami, ile cieniami bohaterów. Przekonaaliśmy się wiele razy, że cieniami bladymi. Opowieść o przygodach kierowcy wyścigowego Maxa Verstappena jest „nieautoryzowaną biografią”. Z góry zatem wiadomo, że powstała bez udziału głównego (tytułowego) bohatera, że nie należy spodziewać się sekwencji nieznanych faktów, a przede wszystkim zaskakujących wyznań lub wstrząsających autoanaliz. André Hoogebom wykonał pracę trudniejszą. Wnikliwie opisał nie tylko spektakularne przewagi w Formule 1 dwudziestopięcioletniego dzisiaj Holendra, ale również dokładnie przyjrzał się (z pozoru schematycznej i banalnej) drodze, która do tych przewag prowadziła.

Pewien barwny bywalec knajpy dla artystów, zwierzał mi się, że nie został wybitnym pisarzem jedynie dlatego, że jego rodziców nie było stać na kupno maszyny do pisania. Miałem dystans do tego rodzaju usprawiedliwień, ale po prawdzie trudno całkowicie zanegować wpływ rodziców na kariery zawodowe swych pociech. Verstappen dostał w prezencie plastikowego quada jako dwulatek. Pięć lat później po raz pierwszy wystartował w wyścigu gokartów (zostając mistrzem w klasie mini). Dla Maxa – twierdzi Hoogebom – „istniał tylko jeden cel: jechać przed siebie bez żadnych objazdów. Prowadził obłądnie monotonne życie wypełnione podróżami i wyścigami – i nie pragnął niczego innego.”

Decydujący wpływ na ten styl życia i na te pragnienia miał Jos Verstappen, ojciec przyszłego wirtuoza toru, niegdyśiejszy (co prawda bez spektakularnych osiągnięć) kierowca Formuły 1. Konsekwentnie przygotowywał Maxa do rywalizacji na torach, finansując nie małe koszty ścigania, dbając osobiście o każdą śrubkę i nakrętkę w pojeździe, a przede wszystkim przy każdej okazji pouczając, że najpiękniejsza w sporcie – a właściwie jedyna do zaakceptowania – jest wygrana. Kierowca wyścigowy to zatem zawsze pewien biznes plan – tyle techniczny, ile mentalny. Oczywiście, zdecydowanie łatwiej i prościej zarządza się jednostką wybitnie utalentowaną. Nie staje się to jednak równoznaczne z nieograniczoną swobodą w finansowaniu początków nawet najbardziej obiecującej kariery – przynajmniej do chwili, gdy wszyscy wierzą w narodziny gwiazdy.

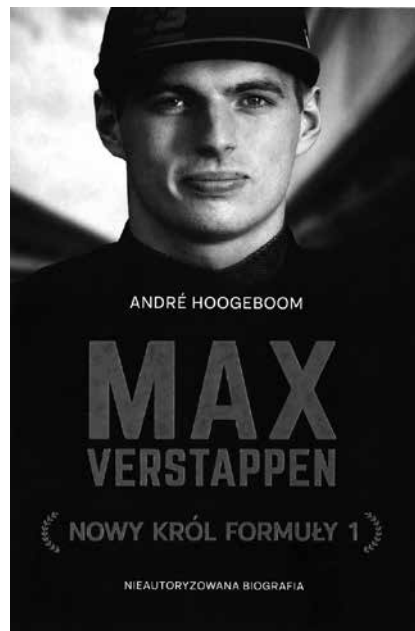
Kroniki nie odnotowały, kiedy Verstappen dostał pierwszą książkę. Nie wiadomo, czy byłaby do czegoś przydatna. W wieku piętnastu lat Max porzucił szkołę. Mógł bez

reszty skupić się na sporcie. „Oczywiście – przyznaje – gdyby się nie udało, trzeba byłoby wrócić do szkoły i się uczyć. To była dla mnie dodatkowa motywacja, żeby starać się ze wszystkich sił. Nigdy nie myślałem o niczym innym oprócz Formuły 1.”

W liceum miałem kolegów, którzy w zeszytach do matematyki pisali wiersze. Nie wiele wiem o ich dalszych losach. Młody Verstappen najchętniej podczas lekcji rysował w podręcznym notesie tor wyścigowy. Odruchy edukacyjnej niezależności (czy nawet nonszalancji) nie przeszkodziły Maxowi w opanowaniu sprawności niezbędnych do życia w świecie dla dorosłych – do przeżycia w bezwzględnym świecie drapieżników.

W chwili, gdy piszę tę notatkę, wiadomo, że Max Verstappen zdobył w 2023 roku (w szczęśliwym związku z zespołem Red Bulla) trzeci kolejny tytuł mistrza świata Formuły 1. Wiele wskazuje, że zwycięski scenariusz powtórzy się w przyszłości. Może najbardziej dzięki talentowi obojętności. Verstappen potrafi całkowicie odciąć się od wszystkiego, co nie służy ściganiu. Pasji wygrywania towarzyszy dbałość o najmniejszy detal i maksymalna koncentracja. Podczas wyścigu należy przyswoić sobie i przeanalizować ogrom informacji, dotyczących na przykład warunków pogodowych, temperatury toru, czy zużycia paliwa. Max czyni to sprawniej od konkurentów i szybciej od nich podejmuje trafne decyzje, jest przygotowany do najlepszej reakcji o ułamki, o milisekundy sekund wcześniej od reszty kierowców. Wybiera rozwiązania bezkompromisowe, prowadzące do jazdy na granicy ryzyka, niejednokrotnie szalone, lecz zawsze przemysłowe. (Zgodnie z mottem kierowców Formuły 1: „Żeby wygrać wyścig, najpierw trzeba go ukończyć”). Wygrywa dla siebie, ale również dla innych. Grand Prix Holandii w 2021 roku stało się niemal świętem narodowym. Verstappena to nie zdekoncentrowało: „Zachował spokój nawet podczas emocjonalnego odśpiewania hymnu państwowego”. Nie znaczy to jednak, że mamy to czynienia z osobowością ekstremalnie chłodną. Przed Grand Prix Rosji – w 2021 roku – Verstappen przyznał się do emocji: „Jestem taki zdenerwowany, że nie mogę spać. Walka o tytuł jest taka okropna.”

Walka zawsze jest okropna. Każdy zakręt w wyścigu najszybszych i najbardziej technologicznie zmyślnych maszyn może stać się pułapką. Dramatyczny potencjał Formuły 1 jest więc w istocie bliski życiu jako takiemu. Są porażki na zakrętach, których nie można poprawić. Nie sposób ukryć, że zainteresowanie wyścigami – oraz ich medialna atrak-



cyjność – po części wynika z oczekiwania na widowisko soczyste i krwawe. Mimo to warto przyjąć jako wskazówkę – nie tylko w egzystencji sportowej – spostrzeżenie Maxa Verstappena: „Martwienie się nie spowoduje, że będziesz szybszy, dlatego się nie martwię.”

Niekiedy bardzo chce się przymusić sportowe przeznaczenie do współpracy. Kilkuletni tenisista każdego dnia wzywani na kort. Dopiero co umiejące chodzić mistrzyni piruetów na lodzie i skoków z czterema obrotami. Absolwenci przedszkola bijący rekordy na pływalni. Niemowlęta przytulone do piłek futbolowych, do siatkówki lub kosza. Dwulatki obdarowani pierwszym pojazdem. Nie wszystkim się uda. We wspólnocie przegranych nie ma, oczywiście, miejsca dla Maxa Verstappena. Dokładnie zaplanował wszystko. Wie nawet, co będzie czynił po wycofaniu się (nie wcześniej niż w 2028 roku) z Formuły 1. Jest tak wiele kategorii wyścigów. A samochodów wystarczy do końca świata.

Ze szczytu schodów wszystko widać dokładnie. Z najwyższego podium dla sportowców na pewno można dostrzec tłum klakierów i niejednego fałszywego pochlebę. Po pierwszych zwycięstwach Verstappen dostrzegł: „Mam teraz więcej przyjaciół. Nie potrafię już tego ogarnąć.” Wszyscy wygrani tak mają. ■

André Hoogebom, Max Verstappen. Nowy król Formuły 1, przełożył Zbigniew Kościuk, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s. 332.

Rufa (Argo)

Sine piersi z marmuru nabrzmiały krwią sownie
 Wyschnięty żeglarz to ja, skwierczę trawiona głodem
 piskiem żalobnych pieszczoł, co nic z dotyku nie mają
 O głowę, burtę, śmiało! Parszywe zdroje pod ziemią!
 Martwi szukają plaży, lusterkami wskazują drogę
 Widzę ich z daleka, kruche latarnie morskie, lonty
 Strugajcie kością dla mnie miejsce cumowania na noc
 Ale czy te stukające progi nie są dla wielkich dam?
 A ja mam cygańskie zwyczaje, brudne oczy i skórę
 i żuję modrzewiową żywicę łupaną prosto z kolumny
 (podtrzymywała splendor podwodnych, leśnych świątyń)
 Oj, mam dość ciężarów przybrzeżnych (słowa i towary)
 Jesionowa łajba zwrotna jest i dzika, nie ustoi w miejscu
 choćbym nawoływała ją do posłusznej nawigacji
 to prędzej się rozpadnie, niż do brzegu ust dobieje
 Słodkiego pucharu brzeg lśniący? Tylko sól dławiąca
 co strawi te twarde dechy, obawiam się najlepszego

Lutnia (Sheliak)

La cantidad de fragmentos me desgarra

Wykonujesz mnie głosami, nie jestem trumną
 Wykonuję się głosami i nie jestem piekłem
 zdjęto ze mnie struny i nie będę nigdy klatką
 Oto łódź jest licha, ocean znajduje swój dryf
 Płynę, gdzie dźwięk słodki ujmuje mnie i stroi
 promienie struny łowi widmo światła białego
 i w jeden ruch zbiera, wtedy nie jestem grana
 wtedy jestem ubrana w nieba dłoń łagodną

Warkocz Bereniki

Muszę się pospieszyć i w końcu sfotografować te okna
 zakurzone, naprzeciwko, w brudnej kamienicy, pustostan
 Nikt tam nie mieszka od lat, spadek, zaniedbane sprawy
 Muszę sfotografować te szklane klisze, szarość, ich urodzaj
 Jest w ramie aluminiowa żaluzja-gilotyna, są tam też stelle
 przyklejone do szyby papierowe gwiazdy i czarny płomień
 Po przekątnej trzy, obok też trzy (kto by mi uwierzył)
 różne zakończenia, wielkości, światłoczułe wycinanki
 W drugim oknie są trzy kolejne, jest też lustro na sznurku
 kto wieszka takie w oknie? (zupełnie niezrozumiały przekaz?)
 I zawiązuje się hałas, zaczynają generalny remont kamienicy
 Robotnicy piętro wyżej już zaczęli, ostatnie porządki, widzę ich
 znudzeni plują gdzie popadnie, przychodzą strażnicy, dozorczy
 Wiem, znajdują je, i za chwilę wyrzucą stare okna na śmietnik
 a z nimi mój kawałek nieba, naprzeciw wychodzę z nie-pokoju
 i znikam w ciemni, wywołując w tobie początek wiersza

Wieloryb

Uluru

Kamraci z „Madznuna” w ostatniej chwili ratowani
 martwi – zładownieli, Sire, są rum wyczerpani
 Było kraść motorówkę, a nie krypę dla znajd!
 Nie rozumiem waszej decyzji – mówi Jonah White
 High ho, no day, no night, only one light!
 Jakoś się tu zmieścimy – wita was Jonah White

Skromny mój sprzęt, dziwnie wam się wyśniło
 Wiemy, co mamy wiedzieć – nagle się objawiło
 Szmuglujemy jeden drugiego, ta zorza to slajd
 A ty utop się w moich ustach – mówi Jonah White
 High ho, no day, no night, only one light!
 Z największą przyjemnością – dopowie Jonah White

Nie obchodzą nas zyski, nie mamy złota ni korony
 Wypływamy na morze, każdy z nas to drań skończony
 Kto płynie, szczekając jak foka z dawnej „Ad’laide”?
 Lepiej patrz na liny z daleka – ostrzega Jonah White
 High ho, no day, no night, only one light!

– Angelika została na brzegu? – płacze za nią White
 Uśmiechy to noże, załogo, za daleko wypływamy
 nieznanym kierunkiem przez wiatr dla nas wybrany
 Otwarty dom dla kalek, ej, który to już „Knight”?
 Sławiani nawet są z Sinim – powiada Jonah White
 High ho, no day, no night, only one light!

Chodźcie do mej piersi, ukołysz was Jonah White
 Czy ta banda z „Sagamu” ma czyste sumienie?
 Nic nie mieli i tak nie liczy się usprawiedliwienie!
 „Niemand” na tratwie skończył u mnie swój rajd
 Burta jesionowa cała dla was – mówi Jonah White
 High ho, no day, no night, only one light!

Wskakujcie i smakujcie beczki – wyje Jonah White
 Stateczek „Woolloomooloo” rysował się w dali
 Fala wbiła go w skałę (siodło nie wytrzymało fali)
 A drugi leżał rozbity przy nim, o ileż legend i bajd
 Ależ to była krwawa kraksa – mówi Jonah White
 High ho, no day, no night, only one light!
 Złamani na duchu, opatrz was Jonah White

Z „Ujlen Sołongo” cała załoga dobiła na krach w nocy
 miłosne pieśni mruzczeni, biedni! Szukali pomocy
 Rozumiałem ich tatuaże, łuski, wszystkie dialekty snu
 A teraz na Niniwę! – mówi Rose-Blu
 High ho, no day, no night, only one light!
 Choć statek ma wygląd trupa, nie umrę właśnie tuuu!

Za „Salvage: A Poem” z czasopisma australijskiego „Bunyip” z 21 października 1865 roku.

Caput mortuum

Jako emigrantka nie umiałam przeczytać rany na własnej stopie
 a starała się mówić wyraźnie, układała usta niezmiernie cierpliwie
 Nie potrafiłam usłyszeć tych pretensji już przy pierwszym uśmiechu
 też nie warto wiedzieć, kim jest ten, kto prowadzi wóz nad przepaść
 kiedy siedzisz z tyłu i po prostu chcesz usłyszeć skoczną piosenkę
 w której maki w ciemnościach trzeszczą jakby były ozorem krepiny
 Od tego dźwięku niebędącego broszurą – opisem mogłabym zacząć
 Karmiona wrzaskiem po, a stroję się z dziecinnym kalejdoskopem
 Wystarczyło go odbandażować i działała na zewnątrz bebechami nieba

Wieża

Wycięta forma góry złożonej
z zakapturzonych szczytów
i kudłów drzew (nam nigdy dość
wysokości, no i wiesz)
Na mapie to zupełnie mała wyspa
(wydaje się właściwym polem
czasem się nie wydaje i znika)
tkana białymi szczelinami źródeł
W przejrzystym języku tubylców
(dziwne pokolenie rymarzy)
jej nazwa brzmi jak tykwa
(w niej ziarna wesołego rozruchu)
by niebo zsyłało drabiny deszczu
i schowało ją w ciemnej chmurze
Kamienie, z których jest złożona
podrywają się ciągle do klucza
otwierającego ją, gdy skrzypi
w środku „śniegiem”

Chińczyk

Jest wielu ulanych z ołowianej łyżki
I na planszy każdy ma swój domek
(choć na nogach błyszczą łyżwy)
Czyż ich kanciąstą krawędź warto tępić
na małych polach (pomysły i przysiadły)
Uczciwie przegrać, wszystkich rozliczając?
A nasz poślizg nie jest lustrzanym wielościanem
który wrzuca się tylko w charkoni?

W pawilonie przy jeziorze jakieś światła (bez względu na porę roku)

Niewielka barka przetarta prawie suchym pędzlem
jednak zdołała przejąć ten delikatny ruch fali i donieść
że można jeszcze napić się wina w przenośnym pawilonie
Popiół i kurz czekania trzeba zdmuchnąć jak ciemność
wtedy odsłonią kielich (ale powoli, powoli), to twój zwój

Ołowiana biel z Krákarø

Białe płomyki w powietrzu czytane
przez Dziesięciu pochylonych na dnie
We dnie i w nocy odśnieżano wawóz
by dotrzeć do nich, nakarmić popiołem

Czarne płomyki w powietrzu czytane
przez Dziesięciu pochylonych na dnie
We dnie i w nocy odśnieżano wawóz
by dotrzeć do nich, nie poznać, zostawić

Tkane niebo, spijane dłońmi (wystarczy)
zostawiony na noc abrasz barwiony
przeładunki ciche, poznać, nie zostawić
śladów przejścia na drugą stronę ołtarzy

Frankie in Stein (maulwurfsgrau)

Czyja to ręka, czyje spoczywanie?
Czyja to noga, czyje wędrowanie?
Pieśń krucza komu z piersi wrywana
a przez białą kotwicę stopa – rozmazana?
Zna drogę, by nas donieść, by donieść
cmentarz zlepiony, że umarły jest żywy
tańcem wywleczony w dziwną jedność

Czyje to jest ramię w gardle świętej jamy?
Łatwo nas otworzyć, tak łatwo bez ramy
i przenieść ucho w jeszcze jedno miejsce
trzaska w przeciągu szkatułkowe serce
Ktoś dołącza do nas, trzyma łyżkę głodu
kopie meliorację, pozna szkielet spodu
Z zachodu ściągnięci, po wschód obudzeni

O, ślepy wierszu, zszyty poruszaj się nami
szukając swoich odcień, znajdź je ranami

fot. Tomasz Bienek



Reymont

Remanent edytorski przed stuleciem śmierci noblisty

JERZY PASZEK

Zamierzam przyrzeć się losom publikacji dzieł Władysława S. Reymonta na dwa lata przed rokiem 2025, czyli jubileuszem setnej rocznicy zgonu wybitnego pisarza. Najpierw ukążę paralele z historią wydań krytycznych dorobku zmarłego również w roku 1925 Stefana Żeromskiego, a potem przeprowadzę analizę charakterystyczną dla pisarstwa noblisty wielostylowości czy „bijącej wprost w oczy różnystylowości” – jak pisał Konstanty Troczyński (*Legenda o Reymoncie*, „Dziennik Poznański” 1929, nr 164) – jego dzieł na przykładzie edycji zbiorowej listów do adresatów spoza rodziny (W.S. Reymont: *Korespondencja. 1890–1925*. Oprac. B. Koc. Warszawa 2002; cytując ten 844-stronicowy tom, używam skrótu K). *Listy do rodziny* opracowali Tomasz Jodełka-Burzecki i Barbara Kocówna (Warszawa 1975, 488 s.).

Jak widać, cała epistolografia noblisty zmieściła się w dwu tomach, natomiast wszystkie listy jego konkurenta do Nagrody Nobla zajmują w *Pismach zebranych* Żeromskiego aż sześć tomów (34–39), wydanych w oprac. Zdzisława Jerzego Adamczyka w Warszawie w latach 2001–2016. Również diariusz noblisty jest krótszy od zapisków młodego Żeromskiego, bo zajmuje jeden tom (W.S. Reymont: *Dziennik nieciągły. 1887–1924*. Oprac. B. Utkowska. Kraków 2009, 512 s.), podczas gdy *Dzienniki* autora *Szyfowych prac* zajmą aż siedem tomów, czyli numery 27–33 *Pism zebranych* (w poprzednich edycjach mieściły się w trzech bardzo pękatych lub siedmiu skromniejszych objętościowo tomach; do tychczas wyszedł tom 27 i 28).

Powieści Reymonta, czyli *Komediantkę*, *Fermenty*, *Ziemię obiecaną*, *Chłopów*, *Rok 1794* oraz *Wampira*, publikowano w serii *Pism* Reymonta pod redakcją Zygmunta Szweykowskiego – w oprac. T. Jodełki-Burzeckiego i Ireny Orlewiczowej – w Warszawie w latach 1968–1980 (11 tomów). Wszystkie powieści Żeromskiego – a jest ich 9 – wychodziły z drukarni w latach: 1990 (*Szyfowe prace*, oprac. W. Wasilewska), 1985 (*Promień*, oprac. też), 1997 (*Ludzie bezdomni*, oprac. też), 1988 (*Popioły*, oprac. J. Paszek), 2015 (*Dzieje grzechu*, oprac. E. Jaworska), 1993 (*Uroda życia*, oprac. K. Zapałowa), 1990 (*Wierna rzeka*, oprac. Z.J. Adamczyk), 2014 (*Walka z szatanem*, oprac. B. Utkowska), 1996 (*Przedwiośnie*, oprac. Z.J. Adamczyk) w serii *Pism zebranych* pod redakcją Zbigniewa Golińskiego. W tym samym przedsięwzięciu edytorskim ukazało się 5 tomów nowel, opowiadań i innych utworów epickich: *Opowiadania*, oprac. Z.J. Adamczyk (1981), „*Rozdzióbaj nas kruki, wrony*”. *Utwory powieściowe*, oprac. tenże (1983), *Duma o hetmanie i inne utwory epickie*, oprac. Z. Goliński (1987), *Sen o szpadzie. Pomyłki i inne utwory epickie*, oprac. Z.J. Adamczyk (1990), *Wisła. Wiatr od morza. Międzymorze*, oprac. Z. Goliński (2012). Natomiast jeśli chodzi o nowelistykę Reymonta, to nie wszystkie jego szkice i opowiadania zebrano w *Pismach* pod redakcją Z. Szweykowskiego i w opracowaniu Adama Bara! Bo mamy tu tylko 7 tomów: *Pierwsze utwory* (t. I, 1952), *Nowele* (t. V, VIII, XIII, XIV, XVI, XX; 1950–1952). Poza tym wydaniem krytycznym znalazły się m.in.: nowela *Matka* oraz *Przysięga* (z tomu *Przysięga*, Poznań 1917), *Za frontem* (Warszawa 1919), *Wojenka, wojenka, cóżeś ty za pani!* („Tygodnik Ilustrowany 1924, nr 51). Beata Utkowska

w książce *Poza powieścią. Małe formy epickie Reymonta* (Kraków 2004) analizuje i wycisza kilkadziesiąt innych utworów, które znajdują się w rękopisach noblisty w zbiorach Biblioteki Ossolineum (większość z nich to teksty, które nie miały ostatecznej redakcji albo były plagiatem, jak szkic *W dzień letni* z roku 1891: plagiat *Pokusy* Żeromskiego; zob. s. 419–420 omawianej monografii).

Można założyć z dużą dozą pewności, iż do 2025 roku nie będziemy mieć na półkach kompletu dzieł Reymonta (nawet bez opracowania krytycznego; *Korespondencja. 1890–1925* też powinna być poprawiona adiustacyjnie i rozszerzona o ujawniające się nowe listy pisarza; na końcu tego tomu dodano 9 listów rodzinnych, K 811–822). Zresztą diariusz Żeromskiego do roku 2025 również nie będzie wydany w całości, bo zaplanowano w owym czasie wydać tylko tomy 27–29. Podaję tu wszędzie daty publikacji, by czytelnik uświadomił sobie, jak długa to i pracochłonna robota filologiczna! Może się ciągnąć przez kilka pokoleń...

Erotyczne epistoły

Kilku badaczy zauważyło już, że styl Reymonta zagarnia i obejmuje kilka dychotomicznie potraktowanych pojęć historycznoliterackich. Chodzi mi o parę realizm – naturalizm oraz impresjonizm – ekspresjonizm (lub preekspresjonizm). Łątwo owe tendencje narracyjne pokazać na materiale epistolografii noblisty. Głównym tematem listów do rodziny są sprawy finansowe i plotki o życiu rozgałęzionej rodziny (Władysław, używający w domu swego pierwszego imienia, czyli Stacha, miał 10 siostr i 2 braci). Ta sama modlitwa o posiadanie pieniędzy w kraju (pilnując linii kolejowej zarabiał miesięcznie ok. 20 rubli) i poza jego granicami (w Paryżu nie miał na czynsz i lubił mieszkać u znajomych) niezmiennie towarzyszyła czeladnikowi literackiemu, czekającemu stale na obiecane honoraria z redakcji gazet i wydawnictw książkowych. Nawet gdy dostał olbrzymią sumę, związaną z Nagrodą Nobla, to żył skromnie, z miesiąca na miesiąc z odsetków, jakie otrzymywał po złożeniu tych pieniędzy u bankiera. Opisy pobytów w szpitalu (tyfus, rany poniesione w katastrofie kolejowej) bywają realistyczną, przechodzącą w szczegóły naturalistyczne, niekoloryzowaną fabułą. Zresztą także oszustwa wydawnicze (za granicą do roku 1918 nie musiano mu nic płacić, bo Rosja nie podpisała konwencji berneńskiej, dotyczącej praw autorskich) składają go do bujnych bluzgów. Podróż do Włoch, po Francji, a nawet te do Londynu (na seanse spirytystyczne, bo był na nich podziwianym medium!) wiązały się z barwnymi i wciąż zadziwiającymi, impresjonistycznymi opisami krajobrazów. Preekspresjonizm dostrzega się w kreśleniu miasta-pająka i miasta-mołocha, czyli fabrycznej Łodzi z jej tłumem robotników i garstką dziwacznych i sno-bistycznych milionerów. Jeden z podrozdziałów *Wstępu do Ziemi obiecanej* autorstwa Magdaleny Popiel nosi tytuł *Między impresjonizmem a ekspresjonizmem* (W.S. Reymont: *Ziemia obiecana*. Oprac. M. Popiel. Wrocław 1996, s. LXVIII–LXXIV; seria „Biblioteka Narodowa”).

Reymont był samoukiem, więc pozyskiwał słownictwo dzięki namiętnemu czytaniu gazet i pism literackich (dopie-

ro w trakcie pisania *Roku 1794* studiował dykcjonarz Lindego, podarowany mu przez Ossolineum). Nieco tekstów z utworów scenicznych pamiętał ze swojej włości z „bandami” bądź „trupami” teatralnymi. Myślę, iż cytowanie wiersza Mickiewicza pt. *Sen* (K 616–617 oraz K 589) z błędami („I spłyniesz z nieba” zamiast „I zstąpisz z niebios”; „Znowu mnie złożysz na twym łonie białem” zamiast „Znowu mię złożysz na twem łonie białem”; „Znowu mnie ramię” zamiast „Znowu mię ramię”) wzięło się właśnie z jakiejś zapamiętanej deklamacji teatralnej (bo tomu wieszczka nie miał pod ręką). Dla mnie zadziwiające jest nie tylko to, że Barbara Koc nie wyjaśniła źródła romantycznego cytatu, ale i to, że amant najpierw uwodził Antoninę Szczygielską (na początku 1894 roku) dwiema strofami Mickiewicza (nie podając autora, gdy po dwuwierszu Langego – „Świat zmarzłego śniegu pod płozami / Miłość jest naga, jak śmierć”, K 617 – ujawnił, skąd zaczerpnął oryginalną myśl), a potem w roku 1900 do Wandy ze Starzeńskich Szczukowej, 40-letniej wówczas kobiety, kreślił wizję swojego dzieła: „mam w planie i w projekcie już napisanym – powieść bardzo dziwną, bardzo denerwującą, bardzo nową jak na nasze stosunki, pod tytułem *I po dniach wielu, i po latach wielu...*” (K 589). Czy Szczukowa mogła znać ten wiersz z czułych spotkań z pisarzem? Bo *Sen* może mieć sens obiecanego raj Mahometan, ale i schadzek Selene z Erydymionem, a nawet aludować do Nietzscheańskiej idei wiecznych powrotów!

Recenzent pierwodruków zbiorów listów do Szczukowej (oprac. T. Jodełka-Burzecki, 1978) i Wandy z Pietrzkiwiczów Toczyłowskiej (oprac. B. Koc, 1981), Edmund Jankowski, pisze na łamach „Rocznika Literackiego” za rok 1981 (Warszawa 1986, s. 172): „Przeglądamy te listy i z początku zdaje się nam, że już je gdzieś czytaliśmy. Tak, w tej samej tonacji emfaticznych zaklęć, zapewnień, wspomnień palących pocałunków pisał Reymont listy do Wandy Szczukowej. [...] Przy bliższym wczycianiu się w listy Reymonta do obydwu Wand oprócz zasadniczego podobieństwa stylu, klimatu, frazeologii znajdziemy znaczące różnice. Nic dziwnego. Burzliwy romans ze Szczukową był spełniony, Toczyłowska natomiast okazała się nieugięta, pozornie nawet nieczuła (‘Ty posągu, Ty, cudzie lodowaty i straszny!’). W obu próbach miłosnego listowania używał autor ulubionego epitetu Przybyszewskiego, czyli słowa „straszny”. Jest ciekawe, iż określenie metaforyczno-ideologiczne „naga dusza” autora *Synów ziemi* pojawia się u Reymonta już w 1894 roku: „pokazuję Ci **duszę naga**, okrwawioną biedną duszę szaleńca i nieszczęśliwego. Dzisiaj pierwszy raz od lat wielu pomyślałem o samobójstwie, życie mi cięży” (K 618). Tak samo wcześniej nawiązuje Reymont do słynnego wtedy ekspresjonistycznego obrazu Edvarda Muncha pt. *Krzyk* (z roku 1893). Nasz bohater lubi całować krzykiem: „a **całuję Cię krzykiem** pragnienia, miłości i tęsknoty” (K 584, list do Wandy I); „Całuję całą potęgą, **całuję aż do krzyku**, aż do szaleństwa, aż do śmierci” (K 639, list do Wandy II).

Uważam, że modernistyczny język erotyczny, znany Reymontowi z wierszy i *Anioła śmierci* Tetmajera, nieszablono-wo łączy pisarz w swoich listach, a nawet w tetralogii o polskich chłopach, z leksyką realizmu i naturalizmu, a najchętniej z krajobrazami impresjonistycznymi. Lubi zadziwiać leksyką i poufałością z ówczesnymi celebrytami. Wie, iż Mieczysław Limanowski w Zakopanem miał ksywę „Zimorodek” (K 592), a Jan Lorentowicz – „piękny Blondyn” (K 138), Godebscy – to „Cipy” (K 277; bo Francuzom trudno było wymówić imię Godebskiego – Cyprian), Ferdynand Hoesick – „Barbanell”,



„Barbanell” lub „Barburat” czy „Barbuś” (K 211, 216, 219, 224, 228, 231), Wincenty Lutosławski – „Lutos” (K 549). Kazimierz Przerwa-Tetmajer jest pieszczotliwie nazywany „Kaziem” (K 217) i także scharakteryzowany: „Ten znowu uformowany z siarki i samczych popędów, szukał ciągle dziewczyn [...] przedkłada ładne łydki i pierś nad nieśmiertelność” (ib.). Ciekawe, czy Stefan Żeromski (tu ma ksywę „Żeroma”, K 217) w roku 1897 lubił wymawiać staropolski synonim słowa ‘bredzić, gadać głupoty’ (Linde pod hasłem Pierdolić: ‘pierdoły prawić, bzdurzyć’), jak donosi autor diariusza: „A Żeroma wrócił do czasów dowcipnych i uprawia przede wszystkim kult ‘pierdolenia’ – to jego ulubiony wyraz, który cała banda przyjęła” (ib.). Przecież autor *Popiołów* miał już wówczas żonę, czyli nie musiał popisywać się „studentkim” językiem: np. „macedonia” znana z jego *Dzienników*.

Reymont wyzyskał swoje „różnostylowe” stalowe pióro, by barwnie – sięgając aż po farby niechybnie naturalistyczne – opisać instytucję salonów artystycznych z epoki przełomu wieków (K 221): „Literacka kawa u **Józia Wolffa** [...] W pierwszym salonie na pufach, fotelikach i kanapkach à la Louis XV damska gwardia literacka z czcigodną panią Marrené na czele, która wciąż kręci binoklami, uśmiecha się podbródkiem tłustym i ma pozór **krowy starej, podrygującej za cielęciami**. A potem idą **wężowe** figury Hajot! [...] dystygowane suknie i uśmiechy Anatolów Krzyżanowskich [to pseudonim Natalii Korwin Szymanowskiej], czerwone niezaspokojoną żądzą staniki Komornickiej, wypięte, podobne do **wiązek pakul** piersi Ostoi, twarze **charciczek** starych Mellerowej, **mordy tatarsko-psie** Łopuszańskiej, **pyszczki** nikłe, rozmiękle w anemii, wyniszczone tajemną rozpustą różnych adeptek literatury. To damy – delektują się lekką herbatą i gadają, gadają... gadają...”. Aż chce się po- czytać więcej takich, satyrycznie wystylizowanych i pozostających nam w pamięci, listów i takiej zróżnicowanej stylis- tycznie *Korespondencji*!

Róże Orwella to kolejna książka Rebekki Solnit, której dorobek literacki jest już w Polsce dość dobrze znany dzięki pracy przekładowej tłumaczy Wydawnictwa Karakter. Jak dotąd wydano m.in.: *Mężczyźni objaśniają mi świat*, *Zew włóczęgi*, *Opowieści wędrownie*, *Nadzieja w mroku*, *Nieznane opowieści, niebywałe możliwości*, *Matka wszystkich pytań* i *Wspomnienia z nieistnienia*. Solnit w ostatnim czasie stała się jedną z najważniejszych eseistek ze względu na poglądy mogące uchodzić za remedium w czasach kryzysów politycznych, degradacji ekosystemów, dominacji neoliberalizmu i radykalizacji poglądów. Wydawane co kilka lat zbiory esejów są komentowane i rekomendowane, co przyczynia się do umacniania pozycji Solnit jako autorytetu w wielu dziedzinach. Jej myślenie o przyszłości trudno zakwalifikować jako utopijne, ponieważ zmiany okazują się możliwe po zlikwidowaniu barier, jakie funduje egoizm.

Solnit w swoich esejach unika moralizowania, jednak interesują ją zmiany długofalowe i te, które mają szansę wyeliminować nierówności (społeczne i ekonomiczne). Jej radykalizm nie jest radykalizmem fanatyczny, lecz wynika z obcowania z cudzym cierpieniem, które zmusza do zajęcia stanowiska, zmiany poglądów, uspołnienienia światopoglądu. Zmiany, jak twierdzi Solnit, są możliwe, jednak konieczne jest przeskalowanie myślenia i dostrzeżenie, tego co znajduje się dookoła. Eseistyka Solnit wyrasta z doświadczeń; trudno posądzić autorkę o koniunkturalizm. Jej eseje to studia przypadków, które rodzą się w konfrontacji z konkretnymi problemami. Autorka *Nadziei w mroku* jest jedną z tych pisarek, dla których twórczość i życie tworzą spójny nierozdzielny element. To, co przytrafia się w różnych momentach życia, może spowodować przyływ nowej opowieści zakorzenionej w konkretnych realiach, poszerzającej perspektywę. Pisanie zaś nie jest dla Solnit momentem eskapistycznego kontemplowania sztuki i snucia refleksji, które pozostają oddzielone od codziennego życia. Każda z jej książek kielkuje z jej własnych doświadczeń i dotyczy ludzi o różnym statusie materialnym, różnej płci i różnych przeszłościach. Od poszukiwania punktów wspólnych biografii czytelników i Solnit ważniejsze jest wspólne poszukiwanie jak najlepszych rozwiązań problemów o różnym natężeniu i różnej skali i stałe wychylenie w przyszłość.

Trudno odmówić autorce *Róż Orwella* intuicji i zaangażowania w sprawy przekraczające istnienie poszczególne. Solnit działa za pomocą słów i wierzy w możliwość zmiany *status quo*. Jej postawa – niezłomnej eseistki, która nie pozostawia wątpliwości, że pojedynczy głos ma szansę naruszyć dotychczasowe reguły – raz po raz manifestowana jest w erudycyjnych i świetnie skomponowanych tekstach. Okazuje się, że o lepszy świat można walczyć, zajmując się pisaniem. Jest ono odpowiednio sprofilowane, dąży do ukazywania rewersu każdej sytuacji, poszukiwania zadr, niekonsekwencji, nieprzyjemnych konsekwencji raz podjętych decyzji. Pisanie o Solnit jako tej, która pozostaje pod wpływem mroku, katastroficznych wizji

Blisko Orwella

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

w czasach technologicznego rozwoju, to tylko część prawdy. Co prawda, nie można zlekceważyć obaw Solnit o kondycję ludzkości, które pojawiają się w każdej z jej książek, jednak położenie akcentu na to, co wiąże się z nadzieją, zaangażowaniem, aktywizmem, myśleniem przyszłościowym może zapobiec indyferentyzmowi, dezintegracji więzi i zubożeniu – postawom konformistycznym, wynikającym z przeświadczenia o znikomych szansach na poprawę komfortu i jakości życia uciśnionych grup społecznych.

Zbiór esejów *Róże Orwella* to książka popularyzująca biografię autora *Folwarku zwierzęcego*. Solnit śledzi nie tylko koleje losu Orwella, lecz również poddaje szczegółowej analizie jego twórczość. Impulsem do powstania jej nowego zbioru tekstów była informacja o tym, że w 1936 roku pisarz zasadził róże, które nadal mogą znajdować się w pielęgnowanym przez niego niegdyś ogrodzie. Choć sama idea, że rośliny i drzewa przeżywają człowieka i stają się widomym znakiem jego egzystencji, nie jest zbyt odkrywcza, to jednak Solnit udało się nie uniknąć anegdotycznego trybu opowieści.

Jej celem było nie tylko zrekonstruowanie ekologicznej wrażliwości Orwella, lecz również ujawnienie złożonej kwestii polityczności natury. Próbując odpowiedzieć na pytanie o główny temat jej esejów, można śmiało uznać związek człowieka z naturą za temat koronny jej tekstów. Solnit, wierząc w piękno kwiatów, nie ztraca się w eskapistycznym uwielbieniu dla ich delikatnego piękna. Z detektywistyczną pasją tropi momenty, w których radość z róż mogłaby osunąć się w zupełnie inne emocje ze względu na wiedzę o warunkach, w jakich przyszło pracować ludziom odpowiedzialnym za opiekę nad nimi. Walka o prawa pracowniczego to tylko jedna z kwestii interesujących Solnit. Równie ważne okazują się procedury groźnego przestrzeni i odmawiania dostępu do

nich ludziom niemającym i nieuprzywilejowanym. Sam Orwell nie jest człowiekiem bez skazy. Dzięki eseistce wiadomo, że jego rodzina była w posiadaniu plantacji trzciny cukrowej. Co prawda, w 1833 roku potomkowie Charlesa Blaira i Mary Fane Blair utracili jamajską fortunę na skutek zniesienia niewolnictwa w imperium brytyjskim, jednak skaza na wizerunku pisarza okazała się odporna na zabiegi poprawy wizerunku. Pisarz przyjął pseudonim literacki, który sprawiał, że miał się przyoblec w angielskość po dwakroć.

Róże Orwella to publikacja wiążąca się z *Nadzieją w mroku*. Dobrze czytać je równolegle, ponieważ Solnit w najnowszej książce apologetycznie aktywizm, na który składają się drobne gesty mające znaczenie zarówno dla lokalnych społeczności, jak również dla ludzi mieszkających w innych zakątkach świata. Jej zajmująca opowieść o kulturowych reprezentacjach róży nie jest niewinna. Eseistka wpisuje kwiat w konteksty wykraczające poza biograficzny epizod z życia Orwella. Jego urok nie powinien unieważniać kwestii związanych z uprzywilejowaniem, wyzyskiem. Być może róża to najbardziej podejrzany kwiat w kulturze Zachodu. Róże ucieleśniają ulotne piękno, jednak skrywają również sensy znacznie bardziej przyziemne. Chyba nigdzie indziej sfera transcendentna nie wiąże się ze sferą pragmatyczną tak silnie jak w bukietach róż. Jego hipnotyczna moc uwodzi za sprawą ciągłych cyrkulacji pozytywnych symboli i słynnych przedstawień. Za każdą z róż kryje się jakaś historia. Niekoniecznie miłosa. Częściej są to relacje władzy dalekie od pożądanego wzorców.

Rebecca Solnit, *Róże Orwella*, przeł. Dawid Czech, Wydawnictwo Karakter, Kraków s. 344.



Powieść kryminalna, której akcja, umieszczona jest na statku wpływającym z Gdyni do Buenos Aires, a jej pasażerowie pierwszej klasy zmuszeni są podczas trzytygodniowego rejsu do poszukiwania mordercy, nieodparcie kojarzy się z pomysłem Agaty Christie, która opisała podobną zabawę literacką w pociągu. Na te pokrewieństwa zwraca uwagę w rekomendacji wydawniczej Maciej Siembieda, pisząc: „Transatlantykem Mariusza Czubaja podróżuje się równie emocjonująco jak Orient Expressem”.

Trudno się nie zgodzić, jednak gdyby Mariusz Czubaj nie nawiązał w powieści *Półmistrz* do podróży Witolda Gombrowicza, który w lipcu 1939 roku wypłynął jako pasażer transatlantyku „Chrobry” z Gdyni do Buenos Aires, aby już nigdy do Polski nie wrócić, umieszczenie akcji kryminału podczas identycznego rejsu fikcyjnego motorowca „Przyszłość” nie miałoby nobilitującego literacko charakteru. Autor *Ferdydurke*, jeden z pasażerów okrętu, wprawdzie postać drugoplanowa, nijak niewpływającą na przebieg sensacyjnych zdarzeń, dodaje fabule splendoru. Pomimo dyskretnych drwin Czubaja z wybitnego prozaika widocznych w formie opisu jego wyglądu „trzydziestolatek z modnym przedziałkiem niemal pośrodku głowy. Atrakcyjna twarz zdobyła lub, wedle uznania, szpeciły odstające uszy” oraz przyprawienia mu gęby chichoczącego prowokatora, plotącego bzdury na temat swoich twórczych planów i okazji do odpolczenia się podczas rejsu po oceanie. W dodatku powieściowy Gombrowicz wygłasza jako swoje poglądy współczesnej noblistki Olgi Tokarczuk, że nie pisze dla idiotów ani pod strzechy. Dopiero przed wpływieniem do końcowego portu Gombrowicz zyskuje w narracji na powadze, już bardziej serio opowiadając o pomysle napisania powieści *Transatlantyk*, będącej rozliczeniem z sarmackimi i romantycznymi duszami rodaków na emigracji i cytując jej fragmenty: „Czapkują, z dzióbka piją, że kawa, kawunia, Kawusia, Kawa nad Kawami, rarytas, delicja i Unikat...choć w głębi Ducha się krzywią, Pomstując przy tem... „Przy tem” to archaizm. Użyłem go celowo. Nazywa się to stylizacja językowa. Wracajmy!...Przy tem czarnej polewki wielce nienawidząc. Lecz teraz oto na kolanka Grubemu, hopla!, wskoczyć są gotowi jak ptakowie jacy...”

Takich historycznych rzeczywiście istniejących postaci pojawia się w kryminale *Półmistrz* więcej. Nacjonalistyczny dziennikarz Zaremba, czy grupa szachistów: Savielly Tartakower, Mieczysław Najdorf dodają powieści wiarygodności, mimo że fabuła jest zmyśleniem. Ci arcymistrzowie, głównie pochodzenia żydowskiego, płynący na szachową olimpiadę wydają się osiłą narracji, tymczasem tworzą tak naprawdę sztuczny tło na pokładzie, tło i zarazem zasłonę dymną. .

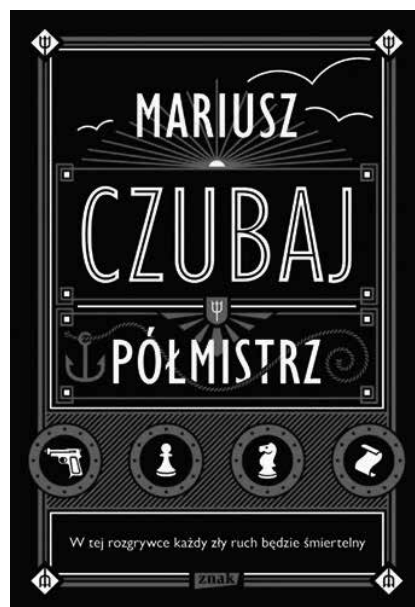
Statek szachistów

KSIAŻKI

Główny bohater, tajny detektyw, Edward Abramowski, nazwany tak na cześć znanego filozofa, też jest szachistą, ale z powodu choroby jaźni unikającym gry, być może jego postaci dotyczy tytuł *Półmistrz*. Od pierwszych słów wiadomo, że ma na statku do spełnienia specjalną misję. Jakiego rodzaju wyjdzie na jaw w trakcie wolno snującej się narracji i wraz z pojawieniem się pierwszego trupa. Czubaj jest prozaikiem na tyle doświadczonym, że wzmacnia napięcie poprzez trzymanie szczegółów w tajemnicy i tak do zakończenia akcji sączy kolejne rozwiązania zagadek. A tych w powieści co niemiara.

Prawie każdy z bohaterów czy bohaterki książki ma coś na sumieniu, co skrzętnie ukrywają. Tajemne mroki ludzkich dusz odsłaniają się same lub po zdemaskowaniu przez pasażerów. Z podsłuchanej przez detektywa rozmowy wynika, że Lusia Wolicowa nakłania sekretarza Terleckiego, z którym romansuje, do zabójstwa męża, bogatego nafciarza. Lojalny Abramowski w porywie lojalności ostrzega Wolicę przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Skutecznie, o czym daje znać narrator, lakonicznie opisując zejście małżeństwa z pokładu: „Lusia szła sztywno, a nafciarz niezgrabnie podążał za nią. Bagaże Terleckiego zostały na pokładzie”.

Prawda bywa bolesna, bo oto Abramowski też dowiaduje się, że wzbudzająca współczucie Nina szmuglująca za ocean niepełnosprawnego brata Juliusza miała usunąć z doczesnego świata detektywa, gdyby ten nie wykonał zadania. Pomimo obnażenia niecnego zadania Niny detektyw nie odbiera jej podarowanych zdobycznych diamentów, do końca rejsu zachowując dla niej sympatię. Tak to Czubaj gmatwa akcję, ukazuje bohaterów niejednobarwnych, których złe czyny wymuszane były przez niecnych mocodawców.



RYSZARD BEDNARCZYK

Takim trudnym do moralnej oceny jest także sam Abramowski, zmuszony szantażem do odnalezienia na statku podwójnego agenta i odzyskania spisu tajnych współpracowników polskiego wywiadu. Zabijając zdrającę, odzyskując listę nazwisk, uratuje brata aresztowanego przez polski wywiad. Mordować nie musi, bo ktoś prędkę posyła w zaświaty Maroczygo, udającego węgierskiego psychoanalityka. Morderstwo i współpraca z oficerami żeglugi ułatwiają Abramowskiemu wydedukowanie, gdzie Maroczy schował mikrofilmy, i odnalezienie ich w skrytce ortopedycznego buta.

Dziwny rejs trwa, szachiści rozgrywają partie szachów, a marynarze wyrzucają w morskie głębie kolejne worki z ciałami, bo końca tajemniczych zabójstw nie widać. Główny bohater nie zostanie pożarty przez rekiny, bo życie ochroni mu angielski agent Cornelius, któremu przekaze mikrofilmy. Rejs się kończy, pasażerowie schodzą na ląd, ale nie oznacza to kresu fabuły.

Rozpoczęta Prologiem powieść Czubaja ma swój Epilog, w którym po latach w Argentynie rządzonej przez Juana Perona Abramowski dokonuje zemsty. Odnajduje oficera wywiadu, który zmusił go do rejsu transatlantykami. Zabija go z zimną krwią za to, że zlecił mu niebezpieczne zadanie, wiedząc, że brat Abramowskiego nie żył. Po czym spokojnie niczym zawodowy zabójca idzie na partyjkę szachów z Najdorfem w kafejce w Buenos Aires. Po wendecie wreszcie jak po terapii uwolniony z szachowej niemocy przesuwając pionki i figury, nie odczuwając żadnych psychicznych dolegliwości. ■

Mariusz Czubaj, *Półmistrz*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s. 315.

Weronika Murek powraca ze zbiorem esejów zatytułowanych przewrotnie *Dziewczynki. Kilka esejów o stawaniu się*. Stawaniu się kim? – można by zapytać na wstępie. Dziewczynką? Czy kobietą z dziewczynki? Eseje podzielone na dziesięć rozdziałów opatrzone są rozbudowanymi, zabawnymi, wprowadzającymi do tematu, tytułami niczym z *Życia i myśli JM Pana Tristrama Shandy* Laurence’a Sterna, na przykład: „Rozdział, w którym omawiamy amerykańskie spojrzenie na dziewczynkę, dowiadujemy się, po co koniom zielone okulary, ile loczków miała na głowie Shirley Temple i kto straszył Nabokova w Halloween” czy też „Rozdział, w którym jesteśmy świadkami jednej krwawej przygody i kilku pomniejszych, malutkich, malusieńkich, związanych z malizną i z byciem tyci, tyci”. Wbrew pozorom jednak nie jest tylko śmiesznie, bo poruszane tematy związane z rolą i miejscem kobiet we współczesnym świecie, feminizmem czy różnicą między dziewczyniścią, dziewczynkowatością i kobiecością, wcale nie są zabawne i błahe.

Na początku Murek opisuje stereotypy związane z podziałem na to, co chłopięce a co dziewczęce. Nie baw się lalką, jesteś chłopcem. Nie kupię ci samochodziku, jesteś dziewczynką. Nie włącz na drzewo, dziewczynkom nie wypada. Rzucasz jak dziewczyna. Płaczesz jak baba. Itd. Następnie autorka analizuje trzy najbardziej zakorzenione w kulturze typy idealnej dziewczynki – Shirley Temple, Judy Garland (a właściwie jej roli Dorotki) oraz Nabokovskiej Lolity.

Shirley Temple była dziecięcą gwiazdą Hollywood. Jej anielską buzią i złote loczki znają wszyscy. Odkryta zaledwie w wieku czterech lat, zmuszona została do grania w filmowych burleskach, w których musiała udawać dorosłe kobiety w stylu Marleny Dietrich. Jej włosy z wiekiem ciemniały, ale przecież można było niszczyć je wodą utlenioną, by zachować anielski blond, loczki też nie były naturalne – codziennie musiała mieć na główce pięćdziesiąt cztery papiloty. Filmy takie jak *Złotowłosa brzdąc*, *Mała Miss Broadway* czy *Mały Pułkownik*, przyniosły jej sławę (już same tytuły filmów podkreślały jej dziewczęcość, małość, filigranowość, niewinność). Ale nie można było zatrzymać dorastania, jako nastolatka, a potem dorosła kobieta, Shirley Temple nie była już ukochanym dzieckiem Ameryki. Przeszła być dziewczynką, a co za tym idzie przestała być pożądana. Podobnie, zauważa Murek, rzecz miała się z Dorotką z powieści Lymana Francka Bauma. W książce *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*, Dorotka jest dzieckiem, dziewczynką. W filmie z 1939 roku w reżyserii Victora Fleminga w tej roli obsadzono szesnastoletnią wówczas Judy Garland (co ciekawe, na początku rolę miała dostać Temple). Za wszelką cenę starano się więc wrzucić ją na nowo w dziewczyniść, w dziewczynkowatość. Garland w filmie istnieje tylko w kontrze do męskości, jest dużo mniej wyemancypowana niż w powieści, ma warkoczki, różane policzki, piersi ściągnięte specjalnym gorsetem. Sukienka też uszyta była tak, by maskować kobiece kształty, a Judy musiała trzymać specjalną dietę, czasami poiono ją alkoholem i lekami. Wszystko, by stała się

Girls Work in Progress

KSIĄŻKI

MAGDALENA BOCZKOWSKA

dziewczynką – a raczej uosobieniem marzenia o dziewczynce.

Trzecią dziewczynką, opisywaną przez Murek, jest Lolita. Lolita jako „powidok marzenia o Ameryce”. Gdyby nie entuzjastyczna recenzja Grahama Greena powieść Nabokova pozostałaby zapewne w niszy powieści pornograficznych, których nikt nie chce wydawać. Tymczasem stała się swoistym kulturowym fenomenem, a imię Lolita stało się powszechnie synonimem młodej, dojrzewającej seksualnie dziewczynki. Sam Nabokov wyróżnia w książce pewien rodzaj małych dziewczynek o szczególnym uroku, określając je mianem „nimfetek”. To wymyślone przez niego określenie również przyjęło się w wielu językach, w tym w języku polskim. Słowo to pochodzi od greckiego słowa *nymphe* oznaczającego wiecznie młodą boginkę przyrody, ale także oblubienicę. Kojarzy się też ze słowem nimfomania oraz z angielskim słowem *nymph* określającym nimfę (larwę). Nimfetka związana jest więc jednocześnie ze szczególnym czarem i magią oraz z przepoczwazaniem się larwy w motyla, przeobrażenia dziewczynki w kobietę. A jak pisze Murek „dziewczynki są jeszcze trudniejsze do uchwycenia niż kobiety”.

W *Dziewczynkach* pisze Murek także o ciągłym problemie z kobiecą menstruacją – krew w reklamach podpasek i tamponów dalej jest niebieska. Przecież to męska krew jest lepsza, kojarzy się z krwią oddaną na placu boju; kobieca jest dalej traktowana jako nieczysta, wstydliva. Pisze o sikaniu niewinnym i triumfalnym, o Wonder Woman, Marylin Monroe, Pyzie z polskiej dobranocki, Czarodziejce z Księżycy czy o króliczkach Playboya. Te niezwykle erudycyjne i ironiczne teksty to bardziej zaproszenie do dalszych dyskusji, niż stawianie pytań i próba odpowiedzi, w końcu to tylko kilka esejów – jak czytamy w podtytule książki, a w kilku nie da się zmieścić wszystkiego. Murek każe więc czytelnikom dalej szukać innych kontekstów, już na własną rękę drążyć głębiej, mocniej, bardziej boleśnie. Zwłaszcza

cza w tekście poświęconym martwym dziewczynom. „Grzeczna dziewczynka może więc być martwa, ale znowu: martwa bez przesady. Grzeczna dziewczynka może być też żywa, ale znowu: nie zastraszająco żywa” – komentuje autorka. Fenomen *dead girls wanted* jest bez wątpienia fascynujący, zwłaszcza w kontekście „dziewczynkowania”. Jak mówił Hugh Hefner, jego króliczki mają być wesolutkie i niedojrzałe, bo doświadczenie i życie sprawia, że kobiety stają się skomplikowane, przestają być dziewczynkami. Może lepiej więc, by zawczasu stały się martwe? W książce *Dead Girls: Essays on Surviving American Obsession* Alice Bolin analizuje figurę martwej dziewczyny, wychodząc od postaci Laury Palmer z kultowego *Miasteczka Twin Peaks*. Czy martwa dziewczyna jest idealną ofiarą, bo budzi jednocześnie politowanie, grozę i rodzaj dziwnej satysfakcji „sama się prosiła”, bo zaczęła się stawać, przepoczwazać z dziewczynki? Czy dlatego patriarchalny świat tak fascynują takie postaci jak choćby Britney Spears, Lindsay Lohan, Anna Nicole Smith czy Amy Winehouse?

Zbiór Weroniki Murek jest więc mocno intertekstualnym głosem w dyskusji na temat kobiecości i dziewczyniści, które ciągle niestety są traktowane wyłącznie w kontrze do męskości i chłopięcości. „Bycie kobietą to bycie kimś mniej niż” – smutna konstatacja. Murek zaprasza do rozmowy, próbując przekonać, że bycie dziewczynką to praca na pełen etat i że nie chodzi w niej o różowe kokardki, loczki i lizaki. Że nie chodzi o słabość i niewinną wesolutkość. Że nie ma uniwersalnego doświadczenia bycia dziewczynką, bo każda jest oryginalna, indywidualna, samoswoja. I że każda dziewczynka może być, kimkolwiek ze chce, bo każda jest kimś więcej niż.

Weronika Murek, *Dziewczynki. Kilka esejów o stawaniu się*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022, s. 208.



Najnowszy zbiór poetycki Roberta Gawłowskiego pod tytułem *Peregryn* otwiera motto zaczerpnięte z myśli Hermana Hessego: „nie ma żadnej innej rzeczywistości prócz tej, jaką mamy w sobie”. Lektura wierszy wrocławskiego poety zadziwia rzeczywistością, która składa się na świat przeżyć tytułowego Peregryna. Symboliczny bohater znakomitej liryki pośredniej Roberta Gawłowskiego staje w jednym rzędzie z takimi postaciami jak Pan Cogito Zbigniewa Herberta i Pan Amo Marka Rapnickiego. Podmiot wierszy towarzyszy Peregrynowi w jego podróży przez życie, a podróż ta jest poznawaniem czegoś, co jest ponad świat. Tym samym zewnętrzna rzeczywistość okazuje się być przestrzenią ludzkiego wnętrza, a tajemnica bytu odsłania się jako prawdziwe rozpoznanie sensu życia.

Przyjęty przez autora paradygmat twórczy sprawia, że uwaga czytelnika skupia się na zarówno na bohaterze lirycznym, jak i na osobie mówiącej. Kim jest ten, który opowiada o Peregrynie? Kim jest Peregryn? Liryka pośrednia może być tu maską, która stara się ukryć, że mamy do czynienia z jakąś formą wewnętrznego wyznania, z lirycznie utkaną historią niezwykłego życia twórczego. Bo przecież za podmiotem wierszy oraz za Peregrynem stoi ten, który aktem twórczego natchnienia wykreował przedstawną rzeczywistość. Robert Gawłowski po raz kolejny chce nam pokazać, że mamy w sobie znacznie więcej niż może się wydawać. Twórczość tego niezwykle uważnego na nieoczywistość poety zacieśnia się wokół prawd sięgających ku antycznemu źródłom kultury. Autor wydanego również w 2022 roku tomiku *Życie wieczne* kontynuuje poetyckie odkrycia innej rzeczywistości w człowieku, a Peregryn może być symboliczną figurą każdego z nas. Warto poznać siebie i z takiej strony, gdyż na co dzień towarzyszy nam stan, który dookreślił wiersz *Niepewność*, jeden z pierwszych utworów zbioru. Jego finałowa konstatacja brzmi: „Usta milczą, uszy nie słyszą, / oczy // zapomnialy”.

Poezja, a zwłaszcza jej maksymalistyczno-poznawcza odmiana, jest mową odświętną, która przypomina rzeczywistość będącą w człowieku od zawsze, lecz przyśloną cieniem przemijania. Przypadek Peregryna wskazuje, że istnieją „źródła głęboko skryte” (*Ojczyzna*), w których jesteśmy zakorzenieni. Co zrobić, by je odnaleźć? W tym samym utworze *Ojczyzna* pojawia się znacząca wskazówka: „I trzeba dobrze, dobrze patrzeć za trawką / lub listkiem, iść za ich głosem, przynikać / szelesty, gdy wzmaga się wiatr, // by dojsz do małej strużki źródła”. W podobnym tonie pisał Jan Paweł II, który w poemacie *Strumień* zamieszczonym w *Tryptyku Rzymskim*, w części zatytułowanej *Źródło*, dociekał tajemnicy początku. Wnikliwe prze-

Dar powrotu

KSIAŻKI

TOMASZ PYZIK

nikanie struktur udostępnionego świata prowadzi do zrozumienia bytu ponad doczesność. W liryku *Wieczność* czytamy: „I Peregryn zaczyna rozumieć, / że to, co przed nim / i to, co za nim, // to właśnie jest / Wieczność”. Niewątpliwą korzyścią płynącą z ontologicznego przenikania rzeczywistości jest uświadomienie istnienia drugiego wymiaru. Pojawia się odczuwanie Innego, znakomicie rozpisane w liryku *Dary powrotu*. Peregryn duchowo powraca do Tamtej przestrzeni, do Źródła wszechrzeczy, a jego percepcja Stworzenia, mimo doczesnych ograniczeń, nadzmysłowo podparta jest myślą o pełni, jaka znajduje się w perspektywie absolutnej. Ostatnie wersy *Darów powrotu* doskonale punktują to filozoficzne zagadnienie: „Peregryn wiedział aż nadto, że Stworzenie / nie ma jednego wymiaru, że drwi z oka. // Oko widzi niewiele i choć szulka związku, / przylega przecież do rzeczy zawsze // z jednej strony”.

Bohater poezji Gawłowskiego, uzyskawszy „dar powrotu”, odnalazł najgłębszy sens w ruinach świątyni: „Został tam jeno Bóg, opuszczony i skryty / w szparach, norkach, dziurach. // [...] Ale tam właśnie Peregryn dostrzegł swego / Pana i zawierzył mu siebie” – czytamy w utworze *Monastyr*. Wrocławski twórca mowy wiązanej włącza do swej lirycznej opowieści aluzje odnoszące się do współczesnego stanu duchowości oraz wskazuje jedyną drogę, która daje pewność uzdrowienia i powrotu do źródła, jakim jest życie wieczne. Przytoczona fraza z wiersza *Monastyr* to realizacja swoistego zaproszenia wypowiedzianego przez Jezusa: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni

i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11, 28). Spotkanie, które stało się doświadczeniem Peregryna, było przemieniające i otworzyło przestrzeń duszy na transcendencję rozświetlającą wszelkie ciemności. Na kartach tomu odnaleźć można metafizycznie czułe utwory, a nasycenie znaczeń nadaje im niemal mistyczną aurę. Wczytując się choćby w wiersze *Twarz cierpiącego* i *Oddany*, zostajemy włączeni w krąg nadzwyczajnej relacji, która zadziwia, przenosi nas Tam i wewnętrznym wycisza. Punktem kulminacyjnym zbioru jest, bez wątpienia, *Hymn cząstki, w którym Peregryn spada w otchłanie*. To jedyny utwór napisany w konwencji bezpośredniej, a jego urzekająca, niezwykle osobista forma wypowiedzi odsłania zanurzenie odautorskiego podmiotu w sakralnym Źródle bytu. Hymn ten jest pełnią rozkwitu literackiego tchnienia, jest pięknym kryształem o najszlachetniejszej strukturze słów.

Poezja Roberta Gawłowskiego ściśle przylega do metafizycznej sfery odczuwania, wydobywając z człowieczego bycia w świecie tę prawdę o istnieniu, która pokonuje marność i wątplenie. Pójście za Peregrynem wprowadza nas na fascynujący pielgrzymi szlak, dając coś więcej niż tylko czytelniczą satysfakcję płynącą z poznania tekstów przeszywających duszę. Będzie to przede wszystkim spotkanie z Innym. Z Innym, który jest w nas. Będzie to dar powrotu do Źródła. ■

Robert Gawłowski, *Peregryn*, Ośrodek Kultury i Sztuki, Wrocław 2022, s. 80.

Trójgłos o sztuce Jerzego Handermamera

Na skraju niepodległości

JAROSŁAW LEWICKI

W sztuce dochodzenie do niepodległości to przeżycie dojmujące, zwłaszcza jeśli się jest uczniem twórców o wyrazistej osobowości. Droga ta staje się tym trudniejsza, jeśli dodać do tego postmodernizm z jego wszechobecnymi cytatami; robi się wtedy gęsto i dość nieprzyjemnie. Niepodległość jednakże kusi, co prawda skazuje na bycie outsiderem, czyli bocznikiem nie pchającym się na afisz. To, co robię, to moje i wara tłuszczy od tego, to sfera niepodległego *sacrum*. Sztuka jest przeżyciem intymnym, zwłaszcza dla twórcy, to banalne twierdzenie oddaje jednak istotę *sacrum*. Sztuka niepodległa jest zawsze sferą *sacrum* dla twórcy i barbarzyńcy, którzy wdzierają się w tę przestrzeń, naruszają dobrostan malarza. Tak więc sprzeczność sama w sobie, otóż nie, autor godzi się z upublicznieniem swoich prac, ale uważa, że najmniej koniecznym elementem dzieła jest on sam. Wystawia nie siebie ze swoimi skłonnościami, idiosynkrazjami, powierzchownością, on pokazuje to, co w nim jest prawdziwie niepodległe – sztukę. Ocena jego twórczości dotyka jego naskórka, z jego możliwościami odbierania bolesności, ale nie może to zachwiać filozofią, która pozwala budować obraz, grafikę. Taki jest Jerzy Handermamer, można by powiedzieć o nim: hardy – sztukę potraktował poważnie, ba, wręcz konserwatywnie i co? Sensualne rozpięcie: góry – morze, architektura statku i miasta, domu. Tematy do bólu banalne. Gdzież tu przestrzeń dla niepodległości twórcy? Okazało się, że znalazł to Handermamer. Obcując z jego obrazami, wkracza się do tej wyższonej, wymarzonej krainy banalnego tematu i malarz

pełni tu rolę gospodarza absolutnego, chcesz to wejdź w jego świat, nie, to grube słowa cisną się na usta. Wszak sztuka subtelna nie może walić w łeb oglądającemu, tylko go w rejony niedostępne delikatnie zaprasza. Być może sprzeczność jest istotą twórczości. Autor – dzieło, dychotomia dramatyczna z elementami tragizmu. Piszę te słowa na marginesie wystawy dwojga uczniów Jerzego. On dał im możliwość bycia niepodległymi, czy z tego skorzystają, pytanie zostaje na razie otwarte.

Piękno – niezbędny attribut sztuki?

JERZY MADEYSKI

Są artyści, wymykający się rutynowym metodom kwalifikacji i oceny. Ich rozwój przebiega odmiennie niż rozwój większości twórców swego pokolenia, a sztuka nie mieści się w żadnym ze stworzonych przez krytykę przedziałów. Tworzona przez nich sztuka zaciekawia i niepokoi, wyrwa się z tła pozostałych artystycznych poczynąń i skłania, ba, wręcz zmusza do jej analizy i pozaartystycznych niekiedy refleksji. I wówczas rozpoczyna się poszukiwanie genezy jej odrębności dostrzeganej zazwyczaj w młodzieńczych na ogół fascynacjach, oraz wpływach, wywieranych przez mistrzów najrozmaitszego autoramentu. Wszystkie owe zabiegi stają się fundamentem struktury spójnej i zwykle logicznej, bo prawdopodobnej i możliwej do udowodnienia, ale tylko czasami trafiają w sedno zagadnienia, gdyż częściej są wytrychem, niż kluczem otwierającym drzwi do sztuki poddanego im artysty. Boć przecie uleganie wpływom, tudzież cała tzw. „przynależność pokoleniowa” do określonych formacji, do panujących w określonym miejscu i czasie nurtów artystycznych wraz z ich formalną i treściową problematyką jest typowa właśnie dla pozostałych, dla tych, od których outsiderzy – jak ich niegdyś zwano – tak zdecydowanie się różnią.

Jedynym naprawdę logicznym i przekonującym wytłumaczeniem odrębności ich sztuki jest osobowość. Niezależna i niepodległa, bo świadoma swych celów i upodobań. I potrafiąca walczyć o swoje racje.

Osobowość, określana często i chyba słusznie mianem romantycznej w właściwym tego słowa znaczeniu, bliżej więc prężnemu i niejako racjonalistycznemu romantyzmowi Goethego i Michałowskiego, niż omdlałemu i pełnemu wahań i rozterki neoromantyzmowi przełomu wieków. A właśnie jednym z owych trudnych do zdefiniowania i zakwalifikowania artystów jest Jerzy Handermamer, kresowiak, zagnany wiatrem historii z szerokich pejzaży Podola *via* bezludzie Bieszczad w jakże racjonalistyczne krajobrazy Śląska, w których – w przeciwieństwie do rubieży Rzeczypospolitej – natura się nie liczy, bo to człowiek i jego myśl jest wszystkim. W pejzaż, o którym marzył minister górnictwa, Goethe i minister hutnictwa, Piotr Michałowski, wielcy romantycy.



Kutry, akwaforta z mezzotintą, 1971

Sprzeczność? Tak, lecz tylko pozorna, gdyż romantyzm, ten prawdziwy, jest zdyscyplinowany i świadomy swych zadań, wśród których prym wiodą przemiany natury i ludzkiej świadomości. Tym zaś, co różni go od racjonalizmu jest instynkt walki i zdolność podejmowania ryzyka, aż po granice chłodnej kalkulacji, a nawet rozsądku. Artystyczny życiorys Jerzego Handermadera jest zapisem podjęcia takiej właśnie ryzyka.

Krystalizowanie się jego wizji artystycznej przypadło na lata szczególne. Na lata hegemonii koncepcji uniwersalnej „sztuki globalnej”, właściwej dla równie „globalnej wioski” z teorii Mc Luhana. Ujednoliconego międzynarodowego języka sztuki zatem, przebiegającego ponad granicami państw, kontynentów, a nawet filozofii i wyznawanej przez nią hierarchii wartości. Wtedy, w latach 50. i 60. abstrakcja święciła swe największe tryumfy. Zwłaszcza w swej miękkiej, lirycznej odmianie informel i ekspresyjnej tasyzmu. I więcej jeszcze. Granice pomiędzy sztuką i nie-sztuką uległy zatarciu w jej „poszerzonym polu”, bo obalono wszelkie kryteria i niewzruszone, zdałoby się, konstansy. Wszystko, wraz z koniecznością istnienia piękna jako niezbędnego atrybutu sztuki. Zaś piękno jest w swej najgłębszej istocie porządkiem. Porządkiem uczuć, myśli i form, użytych dla ich wyrażenia. Czyż zresztą jego definicji nie sformułował w XIII stuleciu, uważnym za szczytowy okres mistycyzmu św. Bonawentura w słowach „piękno nie jest niczym innym, jak równaniem liczbowym”, rozwijając skądinąd klasycznie w genezie teorii matematycznej istoty piękna, a wyprzedzając myśl Albertaiego – „pięknem jest harmonia” wszystkich części, którą osiąga się tam, gdzie nic nie może być zmienione, nic dodane ani nic opuszczone bez uszczuplenia doskonałej całości?” Jerzy Handermander stanął zatem w romantycznej obronie odwiecznych kanonów piękna i podległej mu sztuki. Ośmielił się być inny. I wygrał, choć wtedy, gdy ogłoszono nadejście „ery postartystycznej”, nic nie zapowiadało jego zwycięstwa. A wręcz przeciwnie.

Jerzy Handermander należy do gatunku peintre-graveurów, malarzy-grafików, łączących w swych dłoniach i wyobraźni obie metody wypowiedzi. Powstaje więc pytanie: czym jest w mierze przeważająca?

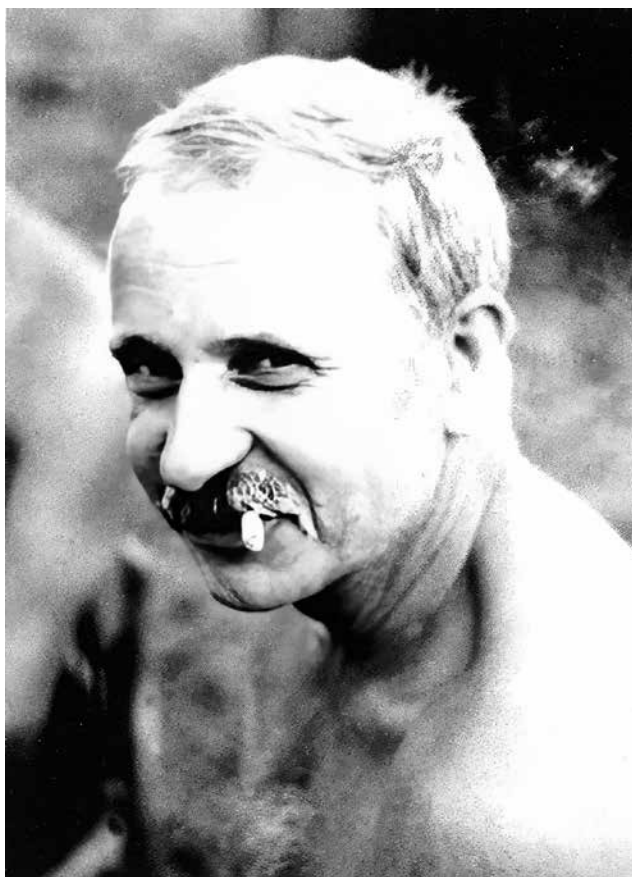
Lecz jest to pytanie retoryczne, boć przecie już stary Ingres pouczał młodego Degasa: „niech pan rysuje dużo linii, a będzie pan dobrym malarzem”. Bo linia – to dyscyplina, to przejaw i wyraz porządkujących myśli, budowy świata, to ład, to odbicie czystego pojęcia, czystego intelektu, zabarwionego kolorem emocji, czy też może w tym konkretnym wypadku – emocja koloru?

W tym momencie pojawia się kolejne pytanie: Jerzy Handermander jest pejzażystą. Maluje krajobrazy miejskie, porty rybackie i wolne od ludzkiej ingerencji krajobrazy górskie. Trzy zatem jego nader sobie odległe typy, lecz w sposób zbliżony, bądź nawet identyczny w założeniu: otóż artysta wydobywa na jaw jego strukturę i podkreśla liniami jej istotę, to co tworzy i determinuje panującą w nich harmonię.

W nich jednak, w rzeczywistości widzialnej, czy też niewidzialnej rzeczywistości umysłu i wrażliwości artysty? Czy zatem Handermander odkrywa porządek, świata, czy też narzuca go chaotycznej rzeczywistości, widząc ład piękna tam, gdzie istnieje on tylko intencjonalnie? Osobiście jestem skłonny przychylić się do drugiej możliwości. Handermander jest bowiem w sposób widoczny przychylny światu, który chciałby ukształtować na swój własny obraz i podobieństwo.

Jeden jeszcze, jakże wymowny rys różni go od wielu twórców jego i późniejszych generacji: jest w nim pełna odpowiedzialność za podejmowane decyzje.

Handermander nie stroni nie tylko od automatyzmów, lecz nawet od niedopowiedzeń, otwierających drogę do dowolnej interpretacji form. Panuje nad dziełem od początku do końca, komponując je z niezwykle pieczołowitością na wzór dawnych mistrzów, dla których suma włożonej pracy



Jerzy Handermander (7 lutego 1935 – 22 września 2013) – malarz i grafik, profesor sztuk plastycznych. Ukończył studia na katowickim wydziale grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie z wyróżnieniem. Od 1965 roku pracował w Studium Nauczycielskim w Katowicach oraz w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowniach Grafiki Warsztatowej, Malarstwa Architektonicznego, od 1974 roku w pracowni Malarstwa i Rysunku. W latach 90. XX wieku był tytuł profesorem nadzwyczajnym ASP. 20 sierpnia 2002 roku otrzymał tytuł profesora sztuk plastycznych. Był profesorem przew. kwal. II Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, pracował w tamtejszej Katedrze Wzornictwa. Jego pracownia znajdowała się na ostatnim piętrze kamienicy na rogu ulicy Wojewódzkiej w Katowicach. Odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

była kategorią estetyczną. Bo lubi precyzję i dobrą robotę, bo szanuje swe dzieło, siebie i widza, który przed nim staje i który – nie godząc się nawet z jego artystyczną koncepcją i takimiż rozstrzygnięciami – będzie go również za te właśnie cechy szanował.

Jak to już zostało powiedziane – czas przyznał rację artyście. Współczesna sztuka wycofuje się chyłkiem, lecz szybko z mrzonek o „sztuce formalnej” w której warsztat się nie liczy, boć przecie „Każdy może być artystą”, a zresztą „dzieło może być wykonane, artysta może wykonać dzieło, dzieło nie musi być wykonane”, jak głosi Lawrence Weiner, podobnie, jak z marzeń o sztuce globalnej. Znow zaczyna się liczyć jej lokalna, ba, partykularna w swej indywidualności odmiana, bo zrozumiano, że – jak powtórzył za Andre Gidéem krytyk Fuat Pekin: „każde dzieło sztuki, aby zyskać znaczenie ogólne, musi posiadać znaczenie indywidualne. Sztuka, oderwana od swych podstaw nie przekona nikogo i nie znajdzie oddźwięku w sercach i umysłach ludzi...”

Jerzemu Handermanderowi na pamiątkę spotkania

MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI

późne popołudnie dzień jak z blachy na ulicy
seledyn i szkło, połowa dziewięćdziesiątego ósmego
słysząc
wołania psy pisk opon, wróble przelatują nisko – „pan profesor
wrócił ze szpitala własnym samochodem”, niejasność
zagojona pod lodem z lęku, późne popołudnie napręża się – aż
do pracowni na ostatnim piętrze – ooo,
jaki stąd widok na miasto! teraz widać dobrze
jak nawleka nas co dnia
w ciemne dziedzińce i przedsionki przygód, więc
obraz rośnie rozbudzony w słonym powietrzu
obraz w obrazie podniebnej pracowni, wie pan co?
tyle razy chciałem powiedzieć
jak teraz
że obrazy nigdy nie śpią
tylko rosną
w jakieś wyższe okno czy coś

w tym rodzaju,
obrazy mówią „cicho „mój kochany, nie zaginaj
słów, jakże piękne to milczenie”, no
ale tak się tłumaczy tylko własną niepewność
w wierszach, więc teraz
słyszemy tylko
jak szeleści za szybą czy może w nas
ten śląski montparnasse
jak ktoś ładnie nazwał ulicę bladą na myśli
mając zapewne tutejszy deszcz chmury i nazwiska lokatorów
(obrazów czy malowideł) numery bram okna i dzwonki
– panie profesorze, tyle napiętego powietrza w tych płótnach
kutrach
i futrach:
mgły – szorstkiej wody i – ściemnień
kiedy horyzont mruży się za górą,
teraz to powietrze całe jest w jednym kącie pracowni

pan je wyzwała ze zbędnych pytań
jak się to mówi:
„przez dotyk”

Katowice, maj 1998 r.

Fala, akwaforta z mezzotintą, 1981 r.







Port, olej, 1981





Kamień w Bóbrce, olej, 1981



Wista Czarne, wiosna, olej, 1997 r.

Kompozytor normalnej muzyki

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



U*kiyo-e 4* to utwór, którego słucha się, powiedzmy to sobie wprost, z nieokiełznaną przyjemnością. Już sam skład zespołu wykonawczego jest nietypowy: klarnet, róg, fortepian i orkiestra smyczkowa. Zaś wykonawcy – znakomici. Przede wszystkim soliści: klarnecista o błyskotliwej technice Roman Widaszek, dysponujący pięknym tonem waltornista Tadeusz Tomaszewski, pianistka Joanna Domańska, której interpretacyjną wrażliwość da się tylko podziwiać, czyli w trzech słowach rewelacyjne Trio Śląskie, złożone z muzyków działających przy katowickiej Akademii oraz Narodowej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia (NOSPR). Gdyby na Śląsku grano moją muzykę sam bym dla nich napisał lub dał do grania już istniejący utwór na ten osobliwy skład. Towarzyszy im Sinfonietta Cracovia, zespół o ładnym, zbalansowanym brzmieniu, pod dyrekcją Jerzego Dybała, artyści obdarzonego talentem jakich mało. Sama kompozycja, powstała w 2018 jest, jak się od razu można domyślić, czwartą częścią cyklu *Ukiyo-e*, zainspirowanego gatunkiem japońskich drzeworytów i malowideł, który pod tą nazwą rozwijał się bujnie od XVII stulecia (wczesnym i czołowym przedstawicielem tegoż był Moronobu Hishikawa, 1618-1694). Termin *ukiyo-e* przetłumaczyć da się jako „obrazy ulotnego świata” (mój własny, przyziemny termin to „migawki codzienności”). Wśród obiektów artystycznej ekspresji wybijają się w gatunku *ukiyo-e* krajobrazy, przepojone metafizyczną poetyką; uchwycić nieuchwytne – tego zadania podejmowali się artyści reprezentujący ten gatunek i w wielu przypadkach osiągnęli ów ambitny cel to z niewiarygodną perfekcją. Interesujące odmiany *ukiyo-e* stanowią bardzo ekspresyjna sztuka erotyczna, subtelne portrety, szczególnie kobiece, a także sceny z życia miejskiego i wiejskiego. Sztuka przemijającego dnia, rejestracja chwili.

Utwór zbudowany jest z kilku narracyjnych okresów, dosyć podobnych acz ciekawie zróżnicowanych w szczegółach. Każdą z tych formotwórczych faz oparł kompozytor na wzorcu ekspresyjnym, który najprościej to ujmując prowadzi od stonowanej liryki do agresywnego dramatu; można porównać ten rodzaj narracji do następstwa kolejnych „fal” dźwiękowych, których cechą charakterystyczną jest stopniowa intensyfikacja ekspresji. Dla mnie spełnienie dzieła ma miejsce w ostatniej fazie, w której nasycenie faktury i ekspresji osiąga swoje maksimum, by następnie rozplynąć się

w muzycznym beczcasie. Jak mówi twórca, ta – od strony formalnej fazowa – kompozytorska technika odzwierciedla technikę drzeworytniczą *ukiyo-e*, w której każdy kolor kładziono na osobnej drewnianej płycie, a ostateczna wersja dzieła powstawała dopiero po nałożeniu kolejnych kolorów na papier – mamy tu więc do czynienia właśnie z periodycznym aktem twórczym. Stylistycznie dzieło wyraźnie nawiązuje do impresjonizmu oraz muzyki Bartóka, lecz nie stroni od z dużym smakiem stosowanych współczesnych środków barwowych, zarówno w głosach solistycznych jak i w partiach smyczków. Zacytuję tutaj słowa kompozytora, które napisał w komentarzu do utworu otwierającego cykl, *Ukiyo-e* na orkiestrę smyczkową (2012), a które śmiało odnieść można do *Ukiyo-e 4*: „Nie poddając się przygnębieniu, jak tykwa płynąca z nurtem rzeki – to właśnie nazywamy światem, który przemija” (Ryōi Asai – *Opowieści przemijającego świata*). *Inspiracją do napisania mojego utworu były japońskie drzeworyty ukiyo-e, czyli obrazy przemijającego świata z okresu Edo [...] Od strony emocjonalnej nawiązałem [...] do estetyki japońskiej. Kiedy na naszym kontynencie wznoszono budowle z marmuru, Japończycy zachwycali się przemijalnością. Miała ona charakteryzować każdą sztukę. Ta wrażliwość emocjonalna powiązana ze smutkiem i melancholią wynikała z zetknięcia się z ulotnością piękna zewnętrznego.*

Powtórzę: słucha się tej muzyki z nieskrępowaną przyjemnością; to jest sztuka, którą można się – i należy – w rzeczy samej delektować. Zrozumieli to słuchacze, którzy przyjęli wykonanie ze szczerym entuzjazmem, co w przypadku Nowej Muzyki jest nadal zbyt rzadkie. A przecież nie jest to muzyka „pod publiczność”, jakiej coraz więcej dzisiaj produkuje się (bo nie – tworzy). Co mnie się podoba w kompozycji to to, że nie stara się ona pokazać tego, czym nie jest, udowadniając nam na siłę swoją odrębność i doskonałość. Wręcz przeciwnie. To jest świetnie skomponowana muzyka, która mówi tyle ile trzeba, i której autor nie musi niczego udowadniać, pokazywać jaki jest wielki, genialny, niedościgły.

Twórcą tej doskonale wyważonej partytury jest Marcel Chyrzyński (ur. 1971; studiował w krakowskiej Akademii pod kierunkiem Krzysztofa Pendereckiego i Marka Chołoniewskiego), który, muszę przyznać, należy do moich ulubionych polskich kompozytorów, a to ze względu na pogodną mą-

drość, zdrowy rozsądek i dar tworzenia intrygujących dzieł, które konkurować mogą z utworami wchodzącymi w skład tzw. standardowego repertuaru – pod tą nazwą kryje się głównie muzyka klasyków wiedeńskich (Haydna, Mozarta, Beethovena), romantyczna oraz niektóre utwory dwudziestowieczne, głównie te z pierwszej połowy stulecia (mówię tu o dorobku m.in. Sibeliusa, Strawińskiego, Szostakowicza, Prokofiewa i Szymonowskiego). Jego siłą jest umiejętność harmonijnego łączenia środków tradycyjnych z najnowszymi, co nawiasem biorąc w tym przypadku nie ma nic wspólnego z postmodernistycznym eklektyzmem (lub eklektycznym postmodernizmem).

Stwierdziłem powyżej, iż Chyrzyński nie pisze „pod publiczność” – bo nie pisze – jest jednak w pełni świadomy potrzeby porozumienia z publicznością. Jak mi kiedyś powiedział: *Wydaje mi się, że muzyka lat sześćdziesiątych, która była niezbędna dla rozwoju muzyki współczesnej i dużo dla niej zrobiła, paradoksalnie uczyniła wiele złego dla obecnej publiczności. W tej chwili jak się pyta przeciętnego słuchacza, nawet nieraz (o zgrozo) instrumentalistę o muzykę współczesną, to od razu idzie ciąg skojarzeń: Penderecki, „Warszawska Jesień”, zgrzyty i „kwasy”. Choć sam Penderecki przez ostatnie półwiecze twórczości już tak nie komponował i znajdziemy wielu kompozytorów, którzy piszą muzykę postromantyczną, redukcyjną, o wiele bardziej „strawną” dla ucha przeciętnego słuchacza – to muzyka współczesna większości kojarzy się z „kwasami”. Zapewne wina to również upadającej edukacji muzycznej w szkołach na szczeblu I i II stopnia... Święta prawda!*

Chyrzyński komponuje muzykę, której obce są wszelakie „kwasy” i beznamiętne rżenia. Komponuje muzykę oryginalną, stylistycznie spójną, niezmiernie bogatą emocjonalnie. Komponuje muzykę w najlepszym tego słowa znaczeniu – normalną.

Ze starych i nowych przyokazyjek (5)

MAREK PIECHOTA

Uroki transakcentacji (2)

„Czarna krowa w kropki bordo
Gryzła trawę, kręcąc mordą”¹ –
Wolę, gdy z mym podniebieniem
Na polanie, nad strumieniem
Styka się łyk z gron spod² Bordeaux.

Tarnowskie Góry, Powielkanoc 2023 r.

1 Autorzy *Słów skrzydlatych* umieścili ten rymowany dystych wśród hasel anonimowych i objaśnili tak: „Wierszyk (1 poł. XX w.) zawierający wyrazy z głoską «r»”. (H. Markiewicz, A. Romanowski: *Skrzydlate słowa. Wielki słownik cytatów polskich i obcych*. Wyd. nowe, popr. i poszerz. Kraków 2005, s. 525).

2 Mam na myśli słynne wina o barwie ciemnowinowej z regionów: Médoc, Souternes, Saint-Émilion i Graves.

Z radości życia popandemicznego

Spotkał się ozdrowieniec z ozdrowieńcem:
cieszą się obaj, że jeden drugiego
nie musiał odprowadzać z wieńcem.

Tarnowskie Góry, 30 kwietnia 2021 r.

Meandry kariery

Lubimy oglądać,
jak mistrz Sean Connery
wciela się misternie
w rolę Jamesa Bonda,
wszelako
wystąpił także w westernie –
w „Shelako”.

Tarnowskie Góry, 5 maja 2021 r.

Pan de Mia (nikogo nie omija)¹

Cieszę się, wierz mi – nie kłamię,
W żyłach krąży mi Moderna²,
Jak w powieści pana Verne’a
I nie boli *sempiterna*³,
Bo mnie uszczypnięto w ramię.

Katowice, w południe 12 lutego 2021 r.

1 Czasem wspiera go Pan de Monia. 'Puszka Pandory' (wolałbym Pani Dory) – to temat na osobną opowieść.

2 Wszystkim, którym to słówko kojarzy się wyłącznie z okresem modernizmu w literaturze i sztuce końca XIX i początku XX wieku w Europie, względnie z Młodą Polską u nas, z jej hasłem „sztuka dla sztuki”, wyjaśniam, że chodzi mi tu o jedną z trzech (dwie pozostałe to Astra-Zeneca i Pfizer) szczepionek na COVID-19; staliśmy z moją Małgosią w Centrum Konferencyjnym w pobliżu katowickiego „Spodka” w kolejce do szczepienia dłuższej niż za masłem w stanie wojennym.

3 W wielotomowym dykcyonariuszu czytam: „**sempiterna** dawn., żart. tyłek, zadek. / – łac. r.ż. od *sempiternus* 'wiecznie trwały, wiekuisty'; *semper* 'zawsze' od *sem* – 'jeden' + *per* 'przez'; żart szkolny, eufemizm metonimiczny wg wersetu z Wulgaty (*Psalm* 77 a. 78, 66); *Et percussit inimicos suos in posteriora; opprobrium sempiternum dedit illis* 'I zaraził nieprzyjaciół swe na pośladkach; a na wieczną hańbę podał ich'. (W. Kopaliński: *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych z almanachem. Część druga od M (mir) do Ż. T. V*, Warszawa 2007, s. 148). Skoro pojawiła się w *Piśmie*, / Autocenzura nawet nie piśnie. W nowszych przekładach *Biblii* widzę frazy: „I od tyłu swych nieprzyjaciół poraził”, względnie: „Uderzył na tyły swych wrogów”. Niekiedy tłumacz teolog powinien jednak skonsultować się z ekspertami w zakresie wojskowości.

Tylko czas

Ludzie całe życie – osły:
Dziecko pragnie być dorosłym,
Starzec tęskni za kołyską –
Tylko czas ma czas na wszystko.

Że będzie pięknie, nadal się marzy,
Choć umierają nadzieja, wiara –
Codziennie w innej masce na twarzy,
W zaparowanych wciąż okularach...

Tarnowskie Góry, rano 12 lutego 2021 r.

Czucie deklinacji

Do użycia w dopełniaczu shirazu
poczułem sympatię od razu,
natomiast przed degustacją shiraza
powstrzymała mnie zrazu odraza.

Tarnowskie Góry, 2 maja 2023 r.

Dobre życie ptaszyn

que sunt caesaris, caesari; et que sunt Dei, Deo

[Mt 21, 22–21]

będzcie jako te ptaki niebieskie

[por. Mt 6, 26]

Prosecco (nie musi być z Veneto)

Nie za górami, nie za siódmą rzeką,
od Gór Tarnowskich całkiem niedaleko,
jest dom, gdzie można – nazwę go „Przystanią” –
z Panią Profesor¹ i jej córą Hanią
toczyć rozmowy i sączyć *Prosecco*.

O zbrodni, kiedy brat zazdrości bratu,
o szkodliwości *ego* autokratów,
zapachu kwiatów, pięknie poematów,
muzyce, sztuce – o szalemie w bez atu...

Uklon oddany – słuszny – dawnym wiekom,
ku współczesności zwrot, ku *vege*, *eco*²,
na stole smaki z kuchni wszystkich światów...
Nie! Nie zabraknie do rozmów tematów,
więc wartko płyną, sączy się *Prosecco*...

Świerklaniec, 18 maja 2023 r.

1 Prof. Alfreda Ganczarek-Bendkowska, nauczycielka historii
w liceum w Tarnowskich Górach (w latach 1972–1990, wczesniej
w Radzionkowie), wieloletnia Przewodnicząca Stowarzyszenia
Na Rzecz Odbudowy Budynku Liceum Imienia Stanisława Staszica
w Tarnowskich Górach; prowadzi własny blog:
www.tg.net.pl

2 Właściwie powinno być eko- jako pierwszy człon wyrazów
złożonych, a odsyłających do kwestii związanych ze środowiskiem
naturalnym lub jego ochroną. Równie dobrze, w rozmowach z
Panią Profesor mógłby to być Eco – Umberto Eco.

Campo di Fiori i hejt w sieci

Duma rozpiera łby człowiecze:
mamy już trzecie tysiąclecie
i tyle zmieniliśmy w świecie,
w tyle zostało Średniowiecze...
Dziś stopy płoną w Internecie,
na list żelazny albo glejt
nie licz, gdy cię dopadnie hejt.

Tarnowskie Góry, 28 czerwca 2023 r.

Ileż wyższy nad ludzi
Żywot ptaszyn! –
Nikt ich niebem nie łudzi
Ani piekłem nie straszy.

Ich dola nieprzekłeta,
Ze zgrzytot nie siwieją,
Wysiadują pisklęta
Z miłością i nadzieją,

I ukazują oczom
Tak radosne nastroje –
Tokują, lecz nie toczą
Religijnych wojen.

Nie wymyślają wrogów¹,
Kontemplują w zachwycie,
Śpiewem oddają Bogu,
Co boskie – dobrym życiem.

Tarnowskie Góry, 15 maja 2021 r.

1 To aluzja do nader interesującego referatu, który wygłosił Umberto Eco na Uniwersytecie Bolońskim 15 maja 2008 r. „podczas wieczoru poświęconego klasykom” (U. Eco: *Wymyślanie wrogów*, w: Tegoż: *Wymyślanie wrogów i inne teksty okolicznościowe*. Przeł. A. Gołębiowska i T. Kwiecień, Poznań 2012, s. 9–38).

Connemara

Dobra marka, dosyć stara¹,
Jak dla Marka (Zodiak – Baran):
Pachnie torfem, współbrzmiz z Orffem²,
Każdy łyk to smaczny morfem,
W szkle zielonym – Connemara³.

Tarnowskie Góry, Przedwielkanoc 2023 r.

1 To aluzja do nader interesującego referatu, który wygłosił Umberto Eco na Uniwersytecie Bolońskim 15 maja 2008 r. „podczas wieczoru poświęconego klasykom” (U. Eco: *Wymyślanie wrogów i inne teksty okolicznościowe*. Przeł. A. Gołębiowska i T. Kwiecień, Poznań 2012, s. 9–38).

2 Istotna jest nie tyle liczba lat starzenia w beczkach z porastających jeszcze tu i ówdzie Północną Amerykę dębów, ile inspiracja współczesnego irlandzkiego producenta osiemnastowieczną recepturą. To zresztą wersja no age statement.

3 Byliśmy z moją Małgosią 25 września 2010 roku na niepowtarzalnym koncercie – wśród kilkunastu tysięcy widzów i słuchaczy – w katowickim „Spodku”, spektaklu Carmina Burana wystawionym siłami Opery Śląskiej w Bytomiu (premiera 14 grudnia 2008), kantaty scenicznej na orkiestrę, chór i głosy solowe, skomponowanej w 1937 roku do zbioru trzynastowiecznych świeckich pieśni i poezji przez Carla Orffa.

Skalpel anatoma (2)

RYSZARD TWARDOŃ

Zanim ciało obsadzone w głównej roli w anatomicznym spektaklu odsłoni inne i ciemniejsze, niepokojące władzę, społeczeństwo i moralność aspekty i sensory, to anatomicznie odziane ze skóry zwłoki zaspakająć będą przez kilka stuleci *per autopsiam* ciekawość naukowej dłoni, sycić zachłanność i pożytkowość scjentystycznego rozumienia i potrzeby anatomicznej wiedzy. U progu ery renesansowej w walce o właściwe znaczenie i rozumienie ciała to „odarci ze skóry” zajmują bezspornie miejsce „gnijących transis” (Philippe Aries) z wieków średnich. Tak więc od kiedy na sceny teatralnej wstąpił renesansowy anatom, od kiedy w nauce o ciele tryumf świętuje skalpel odsłaniający podskórny świat funkcji i różnorodności tego, co sądzono, że jest somatycznie niezróżnicowane i znaczeniowo jednakie – w ludzkie ciało wstąpił duch badawczego poruszenia, intelektualnego ożywienia i sygnifikacji; na plan somatycznego myślenia wkroczył duch kartografizacji oraz fragmentaryzacji. Pierwsze udokumentowane świadectwo otwarcia ciała w nowożytności pochodzi z roku 1315; sekcja zwłok dokonana została w Bolonii przez profesora Mondino de Liuzzi i opisana w jego *Anatomii*. Poprzez rozstęp rozdzielanej po raz pierwszy skalpelem skóry ciała zaczynają prześwitywać pierwsze, niewidziane i niebadane jeszcze przez myśl elementy wewnętrznego świata, które ukazują nieznaną, wystającą ponad wewnętrzne wody szkieletowe wyspy i rozsiane po wewnętrznym bycie tajemnicze a niepokojące obiekty narządów.

Pewność co do rzeczy badanych, prawda o rzeczywistości świata przychodzi dopiero w zmysłowym towarzystwie – powiadają renesansowi anatomowie – wzroku i palców. „Ten, kto chce podziwiać dzieła natury – nie powinien ufać – powiada Wesaliusz – księgom anatomicznym, tylko polegać na własnych oczach”. W badaniach świata i człowieka zachęcano do opierania się na doświadczeniu i praktyce. Stąd też od czasu Wilhelma z Saliceto i Henryka de Monteville, od Fernela i Wesaliusza daje się zauważyć w nauce wołanie o doświadczenie bliższe sensualnemu i praktycznemu życiu – o poszerzenie somatycznej wiedzy, ograniczanej dotąd do ścisłych instrumentalnych celów, urzędowych motywów i specjalistycznych działań związanych z kręgami le-

karskimi czy sądowymi. Odwoływanie się do werdyktu zmysłów, wytyczające na ciele nowe szlaki badawcze i ustanawiające nowe relacje interpretacyjne, odsłoni nową architektoniczno-cieleśną świątynię, świątynię pełną szkieletowej stabilności układów, ciężaru belek kości, podpórek mięśni i przekładni ścięgien. Przeobrazi wodniste ciało w pełny materialnych dystansów i somatycznych odległości mikrokosmos, w którym doświadczeniowe pomiary i liczby oraz relacje coraz bardziej siebie przenikają i na siebie nachodzą, w miarę jak ich z czasem, w kolejnych sekcjach zaczyna przybywać. Wypełniając go nowymi spojrzeniami i nieznanymi sposobami przedstawiania, „renesansowa ręka” stopniowo odsłania nowy ontyczny świat.

Na początku rozcinanie zwłok miało za zadanie jedynie potwierdzać sądy i tezy autorytetów przeszłości, szczególnie Galena. Jak to trafnie wyraził Danielle Jacquart: „ciało najpierw czytano, potem dopiero oglądano”. Z czasem renesansowa anatomia wypełnia „wewnątrzcielesne” nowo zakreślonymi somatycznymi horyzontami i nieznanymi perspektywami przedstawiania. Wraz z kolejnymi sekcjami ukazują się „renesansowemu oku” byty mniej znane i jeszcze niewymieniane przez autorytety w księgach. Anatomowie, krojąc, mierząc i dzieląc, z każdym cięciem, z każdą nową sekcją zapisują nową kartę z elementami somatycznego rozbioru: giętkimi i trwałymi, ruchomymi i nieruchomymi, nieokreślonymi i już określonymi przez tradycję. Pojawiają się w ilustrowanych księgach części godne, kostne i solidne w swych przejawach, ale i wstydlive, płynne, niepokojące nietrwałością, tryskające i tracące kształt oraz korporalny sens zaraz po rozkrojeniu skóry.

„Anatomiczne odrodzenie” porusza wyobraźnię i intelekt do zastanowienia się nad naturą wcielonego życia, nad mechaniką i działaniem wewnętrznymi ucieleśnionych elementów oraz postawienia pytań fundamentalnych: „dlaczego” i „jak” to wszystko w ciele działa. Kwintesencją rozpropagowanego wśród filozofów dyskursu, przejętego później przez anatomów, odrzucających pojęcie ciała jako bytu zamkniętego, nietykalnego i zapieczetowanego zakazami, była metoda zwana „*analysin*”, którą sformułował Jean Fernel, powiadając, że „część jest ciałem przylegającym do swojej cało-

ści, obdarzonym wspólnym z nią życiem i stworzonym po to, aby mogła ona działać i go używać”. Począwszy, innymi słowy mówiąc, od renesansowej anatomii, to nie morfologiczna zewnętrzność, domena oka, światła i wysokości, lecz bytujące we wnętrzu „część” i „całość” przewodniczą będą poszukiwaniom podstawowych zasad budowy wcielonego życia, dominować w badawczej narracji. Pojęcie „całości” wiąże cielesny byt z wszechświatem, tam postrzegając miejsce jego funkcjonowania, zarządzania i ostateczne spełnienie. Pojęcie „części” pozwoliło powiązać somatyczne przedstawienia i sfunkcjonalizować stosunki między różnymi składnikami i procesami i ustanowić immanentną wartość cielesnego bytu. Część, „drażąc” wyobraźniową i materialno-podskórną spistość ciała, wprowadza do ciała nowe pytania, nowe podziały, przebiegi, linie i struktury, rozbijające na indywidualne w swych przejawach i właściwościach życiodajne węzły i kostne fragmenty. Fascynacja somatycznym szczegółem, wkraczając do bytu, dokonując wielorakich rozszczepień i wielostopniowych podziałów oraz przydziałów nazw do nowych anatomicznych desygnatów, staje się na kilka stuleci nową gwiazdą w nauce o ciele.

Renesans rozpoczął batalię o wyjaśnienie zewnętrznych i wewnętrznych relacji, powiązań i znaczeń bytu. Szczegółowe pytania, analityczne i badawcze pojmowanie ciała, jedno w powiązaniu z makrokosmosem, drugie chwytające szczegół, rozpocznie ciągnący się do dzisiaj prawdziwy spór o naturę jego budowy i funkcjonowania. Myśl anatomiczna, idąc od cielesnej powierzchni do głębi, od całości do części i od części do całości, od nieprzystępnego i złożonego do prostego i typowego odkrywała centymetr po centymetrze, metodycznie i konsekwentnie „piwniczne” i niewidoczne dotąd cielesne obszary. Dyskurs somatyczny poszukiwał odpowiedzi na pytanie: Na ile na losy somatycznego bytu, jego formę i zachowanie, brak czy istnienie pewnych wewnętrznych cech, ma wpływ dookólna natura i społeczny świat? Czy wcielone życie zależy – pytano – od całego ciała czy też od jego samodzielnych, mających własną naturę części? Czy poćwiartowane i ponownie złożone ciało utworzyć może integralną i funkcjonalną bytowo całość?

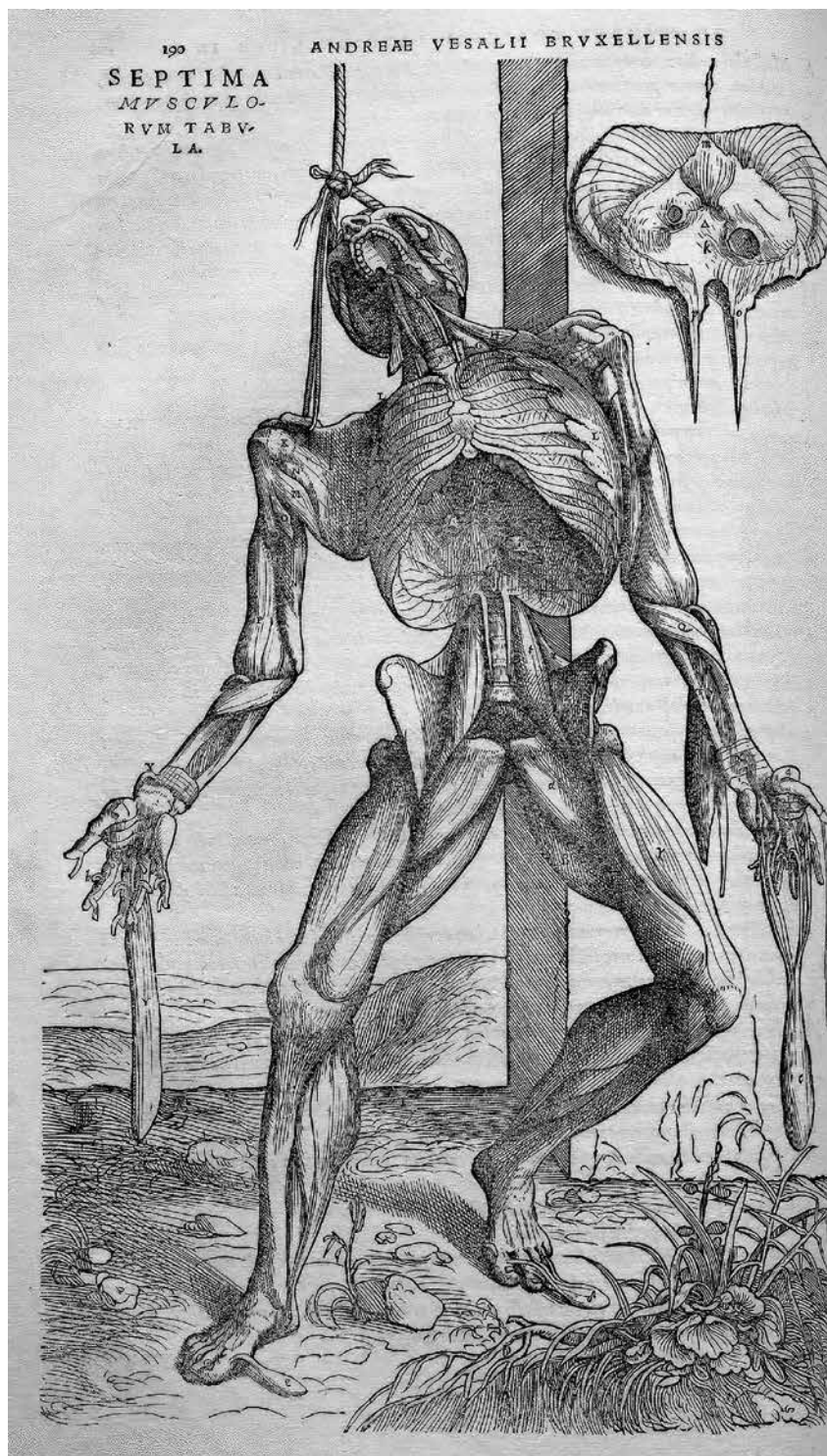
Nie zawsze, rzecz jasna, otwierając „somatycznie ciemności”, pojmowano właściwie funkcję odkrytego tam narządu czy wewnętrznej części. Uzbrojeni w anatomiczne mapy i rady autoritetów anatomowie nie wspominają jeszcze o możliwych w cielesnej budowie dysonansach i asymetrii, o anatomicznych krzywiznach w kościach i ich połączeniu. Czasem nie umiano wyprowadzić z oglądu martwej tkanki czy kości denata znaczących, poprawnych funkcjonalnie i przyczynowo, anatomicznych łączy, wniosków i rozróżnień. Otwarte renesansowym skalpelem ciało reprezentuje proste jeszcze nawarstwianie się wertykalnych części, dzięki ułożeniu których szkielet podtrzymuje równowagę i konstytucjonalną powagę ciała. „Wyobrażenie nóg jako prostych kolumn nie powoduje – powiada Vigarello – odsłonięcia krzywizn miednicy, wygięcia i łuku pleców (...). Rola krzywizny lędźwiowej nie jest w ogóle brana pod uwagę, podobnie jak ułożenie miednicy” („Pojawia się wewnętrzność pełna materialnej ciężkości, linii, podziałów oraz anatomicznych proporcji, ale jest ta przestrzeń jeszcze pozbawiona dynamiki i architektonicznego napięcia: zgięć i zakrzywień, łuków cielesnych i nagłych przeskoków wewnętrznej materii).

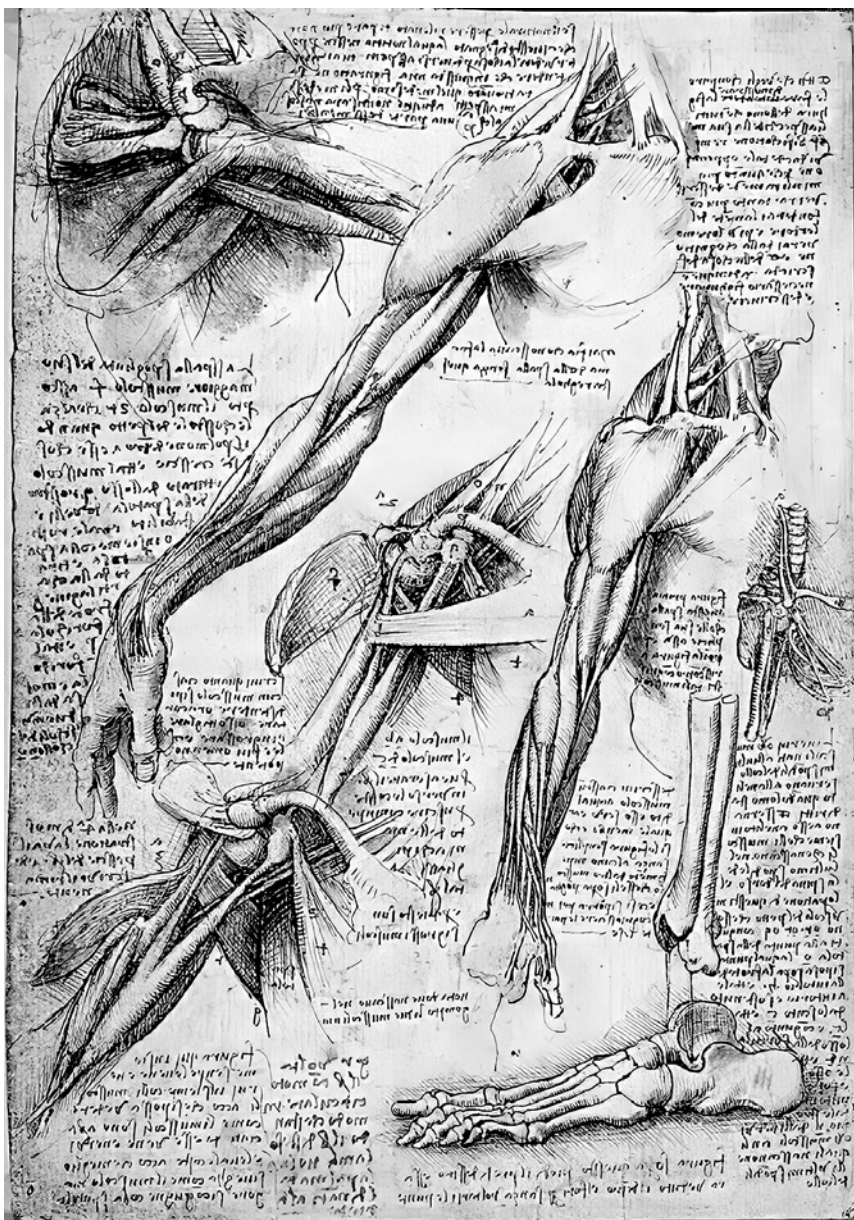
Renesansowa anatomia, rozpoczynając „dekonstrukcję” ciała w obecności rozumiejącego sensy audytorium, ożywi naukową i zbiorową ciekawość tą problematyczną stroną ludzkiego bytu. Paraliżowane jeszcze na początku Renesansu konwulsyjnym lękiem somatyczne poznanie przybiera już XVII i w XVIII wieku postać powszechnego zainteresowania się ciałem i jego wewnętrznymi funkcjami i elementami. Rozkrwanie ciała odbywa się już nie w ciemnych i leżących na uboczu cmentarnych ossuariach, lecz w oświetlonych, odpowiednio przygotowanych dla tego celu pomieszczeniach, z wyznaczoną dla widza oddzielną częścią. To tutaj przed oczyma żądnych somatycznej nowości widzów parzyło się zwyczajowo ciało wrzątkiem, tak aby można było na końcu poznawczego procesu i anatomicznego spektaklu wydzielić mięso od kości i „wydobyć część najszacowniejszą, suche kości” (Philippe Aries). Z tego kostnego materiału powstawał jaśniejący bielą i czystością szkielet: osteologiczny strzęp człowieka wystawiany przeważnie w salonie czy gabinecie, aby wśród zaproszonych gości wzbudził szacunek i powagę wobec spraw ostatecznych. Aby podkreślił swoją obecnością społeczny prestiż i intelektualne zainteresowanie właściciela „kościotrupa”. Zapoczątkowana w Renesansie fascynacja anatomiczna sięga swojego dyscyplinarnego i poznaw-

czego zenitu w XVIII wieku, przenikając do potocznej języka, do środków wyrazu dramaturgicznej oraz roman-sowej literatury.

Tomasz Biegunka, bohater molierowskiej komedii „Chory z urojenia”, zaprosi narzeczoną, Aniełę, na *rendes vous* nie do wykwintnej restauracji czy na spacer do miejskiego parku, lecz, jakże by inaczej, kierując się aktualną modą, na lekcję anatomii, obdarowując ukochaną dodatkowo anatomicznymi ilustracjami. Poprzez popularność i częstotliwość sekcja zwłok stała się od Renesansu po XVIII formą uroczystego spotkania, pełnym ra-

dości i niespodzianek, z szczegółami przygotowywanym publicznym zgromadzeniem; cyzelowaną „podobnie jak obrony prac doktorskich i przedstawienia teatralne, wielką ceremonią towarzyską, gdzie spotykało się całe miasto, pojawiały się maski, podawano chłodzące napoje i nie szczędzono innych atrakcji” (Aries 1989, s. 358). Również portrety rodzinne i grupowe wykonywane w otoczeniu sekcji zwłok zastępowały nierzadko sceny religijne. Wystawiane na pokaz szkielety przystrajane bywały w dostojne pozy postaci Rafaela i Michała Anioła czy też dzieł starożytnych.





Przy niewątpliwych towarzyskich, społecznych i naukowych korzyściach, anatomiczne zainteresowanie przypieczętowało także stopniową destrukcję cielesnego bytu jako funkcjonalnej i bytowej całości; ściślej: zapoczątkowało rozdrobnienie i redukcję wnętrza do izolowanych od siebie indywidualnych części i układów w miarę postępującego badawczego odsłaniania, dzielenia i zmysłowej demonstracji. Sekcje odbywające się przez kilka stuleci w Padwie czy Lejdzie, Paryżu czy Londynie wśród naukowego audytorium, ale i żądnej bulwersujących i ludycznych rozrywek „płatnej publiczności”, prowadzą do tego, iż obsadzone w anatomicznym spektaklu w głównej roli ciało traci stopniowo swój deklarowany scjentystyczny, jak i dydaktyczny oraz sakralny aspekt. Dochodzi do tego, iż ukazywanie tajemnic ciała gubi swój deklarowany naukowy wymiar, przeobraża się z czasem w lekcję (zdaniem krytyków) makabryczności i cielesnego

rzeźnictwa oraz sadyzmu, któremu patronuje do dzisiaj Markiz de Sade. Wraz z rosnącą popularnością anatomii i częstotliwością sekcji zwłok potajemnie ekshumacje i rozkrawanie cielesnego bytu stało się czynnością wyraźnie społecznie dwuznaczną, zaś „samodzielnych amatorów anatomii – przypomina Philippe Aries – podejrzewano o uprawianie rozpusty z trupami”. Nie brakowało i oficjalnych skarg o kradzież trupów czy przedstawienia makabrycznych scen podsycających zmysły jako wyraz nekrofilskiej osobowości i patologicznej rozwiązłości.

Tak więc nacinanie tkanek, czynności ćwiartowania i wyjmowania kości i narządów, zmanierowana przedstawieniowa celebracja organów – po jednej stronie, po drugiej – hałas, unoszący się w powietrzu odór gnicia, ściekająca podłogą posoka, krwisty kolor mięsa i opary gotowanych w kadziach kości – wszystko to uczyniło stopniowo z anatomicznego naukowego spekta-

klu smutny obraz somatycznej destrukcji i krwawą łaźnię. Żalodne miejsce, w którym rozkawałkowane ciało, główna ostoja osobowości, przeobraża się publicznie w byt makabryczny i groteskowy – merkantylną i symbolizującą nicosć rzecz, pozbawianą na oczach gawiedzi należnej mu czci i dobrej pamięci u potomnych. Stał się „anatomiczny spektakl” w oczach krytycznie myślących umysłów manifestacją i obrazem niebytu wydzierającego ostatnią iluzję, jaką nosi w sobie każdy z nas w zaprzeczaniu śmierci jako ostatecznej nicości. Ten rodzaj przedstawienia ludzkiej cielesności zepchnął spersonifikowany byt w przestrzeń ponizienia i odczłowieczenia – powiadają krytycy tej formy przedstawiania ciała – wyzyskiwanego dla nauki w ostatniej, pozgonnej roli za pośrednictwem trwałego substytutu wystawianego jako szkielet w pracowniach uniwersyteckich. Dokonująca się medyczna specjalizacja, zapoczątkowana przez naukę anatomii, prowadzi do rozkawałkowania i mechanizacji bytowej całości, do odsakralizowania i somatycznego materializmu.

*

Jedno jest pewne i to właśnie znaczenie sekcji jeszcze silnie uwydatnia: mianowicie owa renesansowa przemiana w postrzeganiu i rozumieniu ciała. Nie o to chodzi tutaj, aby przywołać wszystkie nazwiska, informacje i fakty z okresu renesansowego przełomu w zakresie anatomii. Wystarczy, aby w oparciu o zasygnalizowaną wiedzę i fakty uświadomić sobie, że proces anatomicznego poznawania dał początek pogłębionemu odkrywaniu znaczenia ciała. Odwaga renesansowych anatomów i prawdy przez nich odkrywane zapowiadają istotowe przemiany w postrzeganiu cielesnego bytu. Przyczynią się do zakończenia utrzymujących się na temat wewnętrzznego życia domysłów, często pełnych sprzeczności, rozpowszechnionych folklorystycznych wierzeń czy bajkowych, jawnych absurdów dotyczących budowy i funkcjonowania. Odległość, która dzieli nas dzisiaj od tych nauk, wynika między innymi właśnie z owego przesunięcia świadomości autocieleśnej.

Pod „powierzchnią” morfologicznej tożsamości i cielesnej widzialnej typologii renesansowa sztuka sekcyjna zaczyna odkrywać nie kapryśne humory, trwożliwe nieczystości, gnicie i rozpad form, nie kosmiczne powiązania i astralne uwikłania ciała, lecz zastygnięty od tysięcy przez skórę tajemniczy komórkowy homeostatyczny byt: specyficznie uporządkowane stosunki, korelacje i współzależności między różnymi, do tej pory wyizolowanymi segmentami i składnikami, konstytu-

ującymi ontologicznie ludzkie wcielenie. Tę szczególną siłę życiową, utrzymującą homeostatyczną równowagę, spójność i wewnętrzny ład cielesnego istnienia, ów system funkcjonalnych, kształtujących siebie stosunków, Immanuel Kant określił jako „wewnętrzną zasadę działania”: „Istota organizowana i organizująca samą siebie może być nazwana – powiada filozof – celem naturalnym”. Anatomia, innymi słowami, udostępniając wewnętrzne narządy i odsłaniając nieznane wcześniej przebiegi powiązań układu kostnego, dała asumpt do dokładniejszego zainteresowania się topografią i funkcjonalnością somatycznego mikroświata: do ustalenia proporcji, położenia i wielkości wewnętrznych części, do dalszego, precyzyjniejszego poznawania kształtów i przeznaczenia organów wewnątrzcielesnego.

Do XIX wieku człowiek określał będmie wewnętrzne ciało – powiedzmy bardzo ogólnie i ostrożnie – za pomocą zewnętrzno, tłumaczył „morfologicznie” przyczyny pojawienia i rozwoju zaburzeń chorobowych i wyzdrowienia, a także śmierci, które pozostawały we władzy planet, pór roku czy stanu pogody. W tym świetle znaczenie i wartość ciała nie tkwiła jeszcze w samościności wewnętrznych procesów i w istnieniu stabilnych struktur i funkcjonalnych fizjologicznych układów, wokół których XIX-wieczna nauka zbuduje ideę nowoczesnego ciała. Ale już od połowy XV wieku w myśleniu opisującym i badającym ludzkie ciało powoli zanika tradycyjna skłonność do tworzenia tajemniczych, wszechświatowych, „psychosomatycznych koligacji” i zoomorficznych porównań oraz „naturalnych” powiązań ciała ze światem zwierzęcym, widocznych tak mocno choćby u Arystotelesa. Wyzwalając się z kosmicznych powiązań, grzeszności oraz uwikłań intergatunkowych anatomiczna myśl ukonstytuuje nowe, obowiązujące mniej więcej po dziś dzień pojęcie ciała. Dopiero gdy do głosu w sprawie ciała i najszerzej pojętej cielesności dochodzą krytyczne dyskursy medyczne i kulturowe, społeczne i cywilne, gdy pojawia się możliwość badania i śledzenia ciała podczas sekcji zwłok, wtedy właśnie naukowca anatomia tworzy pierwsze, obowiązujące po dziś dzień prawdy ciała; to ona zapełnia ludzkie wnętrze doświadczeniowymi i funkcjonalnymi znaczeniami. Okrywanie znaczących analogii i podobieństw cielesnego bytu ze światem naturalnym i zodiakalnym ustępuje miejsca anatomicznej eksplikacji, ofiarującej somie powiązaną relacjąmi i szczegółami samopodtrzymującą się wewnętrzność, z jej materialnym ładem i porządkiem reprezentującym anatomiczne sensory, biologiczne oraz

fizjologiczne zdarzenia.

Jedno zdaje się być pewne i godne szczególnego podkreślenia: dopiero XIX wiek charakteryzujący się m. in. odkryciem narkozy, aseptyki i antyseptyka, stworzył możliwość bezbolesnych operacji i bezpiecznego leczenia. Dzięki XIX-wiecznej idei „organizacji”, odsyłającej do celowości zakorzenionej w biologicznym bycie, ludzkie ciało pozwala ujmować przejawiające się w nim procesy i biochemiczne i fizjologiczne elementy, jako wykorzystujące materię, energię i informację do ciągłego syntetyzowania siebie oraz metabolizowania z otoczenia składników potrzebnych do procesów biochemicznych samopodtrzymujący się w czasie bytu. XIX-wieczna chirurgia, fizjologia i biologia jako nauka o organizmach pozwoliły w pełni zrozumieć ludzkie ciało jako całość samodzielną i autoteliczną: zacząć postrzegać go jako w sobie istniejącą i samoorganizującą się w czasie biologiczną nadstrukturę, wspieraną zdolnością przystosowywania się do zmieniających się warunków i pojęciem samonaprawy. Nadstrukturę wykorzystującą materię i energię do ciągłego syntetyzowania samej siebie i metabolizowania z otoczenia składników potrzebnych do własnych procesów biochemicznych. Wprowadzony przez Waltera Canona, w 1939 roku, termin homeostazy, czyli rewindykowania własnej utraconej – strukturalnej i funkcjonalnej – tożsamości, stanie się dla człowieka jako bytu wcielonego fundamentem jego wolności, samodzielności i trwałości w czasie. Ludzkie ucieleśnienie odkrywa światu i nauce prawdy, daje możliwość pokonywania „o własnych” siłach ograniczeń, zaburzeń i zagrażających wewnętrznym procesom dysfunkcjonalnych niebezpieczeństw. Ludzki podmiot „z krwi i kości” stał się dla rozumu czymś więcej niż tylko „ożywioną rzeczą”, a rozkwitająca w XIX wieku biologia i fizjologia zaczyna być postrzegana jako samodzielna domena badań, z własnym językiem i pojęciami, odległa i inna niż fizyka.

Zanim to jednak wszystko nastąpi i w wiedzy o człowieku się ukonstytuuje, zanim nauka w XIX i XX wieku dostatecznie i właściwie zbada i zrozumie strukturę ciała, jej funkcje i znaczenia – to właśnie nauka sekcyjna stworzyła z humoralnego, płynnego jeszcze tworzy pierwszy autonomiczny i anatomiczny świat: ład stały, swoisty i spójny, powiązany kostnymi układami i inteligibilnymi współzależnościami oraz przezczuwaniymi życiodajnymi więziami i prekursorskimi znaczeniami. Wydobywana i przemieniana w nazwy, właściwości i oznaki korporalna wewnętrzność przemieniła wodniste uniwersum w twarde, oparte na relacjach

i kierunkach, znakach i opisie materialny tekst do odczytania i edukowania. Dzięki więc zapoczątkowanym przez anatomów badaniom, dzięki późniejszej odwadze i konsekwencji chirurgów i wynalezionej przez nich narkozie, wreszcie dzięki przypadkowi i uporowi, woli i konsekwencji chirurgicznych pionierów, o których wspomina w Jürgen Thorwald, nauka przeniknęła do wnętrza jamy brzusznej ciała. Za sprawą zręczności chirurgicznej ręki otwarto bramę tego, co przez tysiąclecia wydawało się być święte, nienaruszalne i znajdowało się poza zwykłą ludzką możliwością i wyobraźnią oraz odwagą: odsłonięto skalpelem mózg, żołądek i rdzeń pacierzowy. W roku 1896 to chirurgia uczyniła ostatni, decydujący krok w stronę poznania ciała; otworzyła zaryglowane przed tysiącletkami przez tabu odstraszącej nietykności drzwi do centrum wcielenego życia – serca.

Pojawiająca się wraz z Renesansem nowa somatyczna ciekawość, wrażliwość i nowy sposób badania wprowadzą w osobowe życie indywidualną odpowiedzialność za własne ciało. Człowiek nowożytny, szukając racji dla swego, również cielesnego, istnienia, wymykając się relacji tożsamościowej, ustanawiając nową podmiotowo-przedmiotową relację z sobą samym, mówiącą nie o byciu własnym ciałem, lecz o jego posiadaniu, badaniu i kształtowaniu, o indywidualnej i społecznej, medycznej oraz moralnej za niego odpowiedzialności. W wyniku wzrostu świadomości somatycznej, oddziaływania nauki, oświaty i postępów prawodawstwa, przeobrażenia higieny i obyczajowości, sposobów odżywiania, słowem: silnego unaukowienia, uspołecznienia roli ciała, jak i zindywidualizowania jego znaczenia, następuje połączenie poznania umysłu i ciała w jedno intelektualne zadanie, przed jakim staje w swoim życiu każdy człowiek. Osoba jako wcielenie nie tylko jest ciałem – podkreśla się w dyskursie o człowieku. Ona ma je również, jako swoje własne ciało (którego żywiołową i niespokojną naturę instynktów i zmysłów oraz wewnętrzność może opanowywać) badać, i pojmować.

Właśnie dlatego, że może je roztrząsać, pojmować, leczyc, korygować i eksperymentować z nim, przeżywać jako swoje, człowiek stał się od czasów Renesansu bytem zdolnym własne instynktowne przywiązanie do siebie cielesnego i środowiska przenikać, analizować i przekraczać je aktywnie dzięki pracy twórczej i naukowej myśli. Pojawił się wraz z naukowymi badaniami nowy sposób rozumienia i przedstawiania ciała jako nośnika trwałych relacji, związków i wartości indywidualnych i społecznych, medycznych i kulturowych.

Celebracja twórczej swobody

WERONIKA GÓRSKA

„Tutaj są takie panie, które wszystko wytlumaczają i nie krzyczą, jak w szkole”, „Można być sobą, mieć różne pomysły i nikt ich nie wyśmiewa”, „Mamy zadania aktorskie, śpiewamy, tańczymy, rysujemy, haftujemy, bawimy się na dworze”, „Najbardziej podobają mi się zajęcia w skansenie, bo tam są owieczki i można je głaskać”, „Poznałam nowych przyjaciół i szkoda, że w przyszłym roku będę za duża na te półkolonie” – tak o *Leście w Teatrze* mówiły ich uczestniczki i uczestnicy.

W tym roku odbyła się szesnasta edycja programu Instytutu Teatralnego imienia Zbigniewa Raszewskiego *Lato w Teatrze*, w ramach którego dwutygodniowe warsztaty dla dzieci zorganizowało trzydzieści sześć ośrodków w Polsce. Wśród nich po raz kolejny znalazł się Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach, który zaprosił do współpracy Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie. Zajęcia odbywały się w Parku Etnograficznym (powszechnie nazywanym skansenem) oraz w XIV Liceum Ogólnokształcącym imienia majora Henryka Sucharskiego w Katowicach. Realizację projektu wsparły Stowarzyszenie Pokolenie oraz Fundacja Jesteśmy dla Was.

– Niektóre dzieci, często rodzeństwa, pojawiają się na warsztatach w każde kolejne wakacje. Co roku tworzymy odmienną formułę. Podczas poprzedniej edycji realizowaliśmy słuchowisko *Ptaszarnia*, w którym uczestniczki i uczestnicy wcielali się w różne ptaki, nie tylko rozwijając artystyczne talenty, ale też zdobywając wiedzę ornitologiczną. Tegoroczna edycja, której efektem był spektakl *Święto*, zapoznała dzieci z tradycyjnymi uroczystościami i obrzędami, skłoniła do refleksji, co i dlatego warto celebrować, by następnie można było wymyślić własne święta – wyjaśnia Anna Nowak, kierowniczka Działu Edukacji i aktorka Ateneum, zarządzająca projektem.

Ponad trzydzieścioro dziewczynek i chłopców w wieku od sześciu do jedenastu lat, zarówno z Polski, jak i z Ukrainy, mogło wybrać pracę w grupach: aktorskiej, aktorsko-

-muzycznej albo aktorsko-plastycznej. Pierwsza, pod opieką artystek i artystów z Ateneum, skupiała się na odgrywaniu scenek i zadaniach aktorskich, druga uczyła się również gry na instrumentach, a trzecia przygotowywała dekoracje i kostiumy do finałowego przedstawienia. Wszystkie dzieci tworzyły też i śpiewały piosenki, zaś pracowniczki skansenu uczyły je ludowych tańców i rękodzieła, między innymi haftu oraz wyrobu biżuterii. Podczas Święta Kolorów każdy nosił ubrania ulubionej barwy, obchody Święta Kapeluszy polegały na przyozdabianiu nakryć głowy, zaś w trakcie Święta Warkoczyków zaplatano je sobie wzajemnie. Dziewczynki i chłopcy wymyślili też – niczym rasowi pedagodzy – Święto Owoców, podczas którego można przynieść na drugie śniadanie jedynie owoce, żadnych niezdrowych przekąsek.

W trakcie spektaklu *Święto*, będącego zwieńczeniem dwutygodniowej pracy i zabawy, na kolorowo udekorowanej estradzie Górnośląskiego Parku Etnograficznego dzieci najpierw zaśpiewały piosenkę (akompaniując sobie na akordeonie i instrumentach perkusyjnych) oraz zagrały scenkę, w której zaprezentowały się, odziane w adekwatne kostiumy, Moc Kota (lubi myszy, księżyc i drzemki), Moc Księżycy (przepada za spacerami po Drodze Mlecznej), a także Moc Przyrody, Moc Burzy, Moc Wody, Moc Łodu. Ponieważ każda z mocy chciała wieść prym, doszło do konfliktu, który rozwiązały Moc Prawdy oraz Moc Pomocy, tłumacząc, że każda z nich jest równie ważna i potrzebna. W ten sposób powstało Święto Mocy. Kolejne piosenki i scenki poświęcono Świętu Przyjaciół, podczas którego przechodzi

się przez Bramę Kwiatów do Krainy Przyjaźni i spotyka nawet z tymi bliskimi, którzy mieszkają daleko, a także Świętu Powrotu Zwierzątek, kiedy zmarli pupile odwiedzają stęsknione dzieci. Małe artystki i artyści zaprezentowali ponadto dwa ludowe tańce – polski i ukraiński.

Obok *Lata w Teatrze*, adresowanego do dzieci, Ateneum stworzyło wakacyjny projekt (*Nie)zwykle Heheszki*, skierowany do młodzieży. Jednym z elementów tej inicjatywy są lipcowe warsztaty literackie online oraz konkurs na tekst (esej/felieton, scenę kabaretową, monolog/stand-up lub piosenkę) dotyczący absurdów codzienności, w którym mogą brać udział osoby w wieku od trzynastu do dwudziestu lat. Drugim elementem są warsztaty teatralne, odbywające się w ostatnim tygodniu sierpnia, których zwieńczeniem jest widowisko kabaretowe. Zajęcia obejmują pracę nad tekstami nagrodzonymi w konkursie, tworzenie scenariusza widowiska kabaretowego, gry i zabawy teatralne, ćwiczenia dykcyjne i emisyjne, a także współtworzenie oprawy muzycznej i plastycznej spektaklu. Warsztaty teatralne są przeznaczone dla młodzieży w wieku od czternastu do osiemnastu lat. Kolejną wakacyjną ofertą jest wystawa ilustracji dla dzieci Justyny Stefańczyk *Inne światy*, prezentowana w Galerii Ateneum.

Dzieci i młodzież, pragnące zajęć się dramatopisarstwem, reżyserią, aktorstwem, scenografią lub po prostu kochające teatr, dzięki ofercie edukacyjnej Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach mogą rozwinąć posiadane zdolności i nabyć nowe, nawiązać przyjaźnie z rówieśnikami o podobnych zainteresowaniach, a przede wszystkim znakomicie się bawić. ■

Lato w teatrze, program Instytutu Teatralnego imienia Zbigniewa Raszewskiego, finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, organizatorzy: Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach i Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie, współpraca: XIV Liceum Ogólnokształcące imienia majora Henryka Sucharskiego w Katowicach, Stowarzyszenie Pokolenie, Fundacja Jesteśmy dla Was, Katowice i Chorzów, lipiec 2023 roku.



Celebracja twórczej swobody



Metropolia Kultury

kongres

19–20 października 2023

→ *Sosnowiec*

spotkania

prelekcje

warsztaty

KTW_
GZM_
2029



Górnośląsko
-Zagłębiowska
Metropolia



Sosnowiec łączy



KATOWICE
dla odmiany